

Leonardo Padura

Trans w Hawanie

Przekład Marcin Sarna

Wydawnictwo Znak

Kraków 2010

Tytuł oryginału

Mascaras

Copyright © Leonardo Padura Fuentes, 1997

First published in Spanish language by TUsquets Editores, Barcelona, 1997

Projekt okładki

Aleksandra i Daniel Mizielińscy

Fotografia na 1. stronie okładki

Copyright © Elisa Lazo de Valdez/Corbis

Fotografia autora na 4. stronie okładki

Copyright © Gamma/BE&W

Opieka redakcyjna

Ewa Bolińska

Adiustacja

Agnieszka Stęplewska

Korekta

Ewa Polańska

Barbara Wójcik

Łamanie

Agnieszka Szatkowska-Malak

Opracowanie typograficzne

Daniel Malak

Mariusz Warchoń

Wszystkie cytaty biblijne za Biblią Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2003

Copyright © for the translation by Marcin Sarna

ISBN 978-83-240-1328-9

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Raz jeszcze, jak serce podpowiada:

dla Ciebie, Lucia

Od autora

Oddając się we władanie poezji, w powieści tej, z większą lub mniejszą swobodą, posłużyłem się cytatami z Virgilia Piñery, Severo Sarduya, Dashiella Hammetta, Alibia Estéveza, Antonina Artauda, Elísea Diega, Dalii Acosty i Leonarda Padury, oraz wieloma innymi użytecznymi tekstami i fragmentami Ewangelii. Niejednokrotnie przeinaczam je, w niektórych wypadkach ulepszam, niemal zawsze rezygnuję z cudzysłowów.

Pragnę, korzystając z okazji, podziękować tym, którzy poświęcili swój czas i talent lekturze pierwszej wersji książki. To moi przyjaciele: Lourdes Gómez, Ambrosio Fornet, Alex Fleites, Norberto Codina, Arturo Arango, Rodolfo Pérez Valero, Justo Vasco, Gisela González, Elena Núñez i, oczywiście, Lucía López Coli. Na koniec, jak zawsze mam w zwyczaju czynić, chciałbym zaznaczyć, że postacie występujące w tej książce i wydarzenia składające się na jej treść są wytworami mojej wyobraźni, choć mogłoby się wydawać, że przynależą do rzeczywistości. Mario Conde jest metaforą - nie policjantem, a jego życie przebiega w świecie, jaki jest możliwy dzięki literaturze.

Lato 1989

PEDAGOG: [...] Nie, nie widzę wyjścia.

ORESTES: Pozostaje sofizmat.

PEDAGOG: W rzeczy samej. W mieście jak to wyniosłym, gdzie bohaterskie czyny nigdy się nie dokonały, pomników nigdy nie wzniesiono, cnót nikt nie prakty-

kuje, sofizmat jest najskuteczniejszą bronią. Jeśli któraś z uczonych kobiet powie ci, że jest płodną autorką tragedii, nie mów jej, że jest inaczej; jeśli mężczyzna zapewnia, iż jest uznanym krytykiem, utwierdź go w jego błędnym przekonaniu. Chodzi o miasto, nie zapominaj o tym, w którym wszyscy chcą być oszukiwani.

Virgilio Piñera, Elektra Garrigó, akt III

Nade wszystko warto podkreślić, że podobnie jak dzuma teatr to obłęd, który się udziela.

Antonin Artaud, Teatr i jego sobowtór

Wszyscy używamy masek.

Batman

Upał to przekłeta zaraza, która ogarnia wszystko. Podobnie jak peleryna z czerwonego jedwabiu, dopasowana i ciasna, upał nadchodzi, by okryć ciała, drzewa i przedmioty, wprowadza w ich istnienie ciemną truciznę rozpacz i śmierci, powolnej i nieuchronnej. Jest karą bez odwołania, nie uznaje okoliczności łagodzących, zdaje się dysponować chęcią unicestwienia całego widocznego gołym okiem uniwersum. Teraz złowieszczą siła gorąca jest skierowana ku pogrążonemu w herezji miastu, w stronę wybranej na ofiarę dzielnicy. Upał skazuje na mękę bezpańskie psy, chore na świerzb i porzucone, błądzące w poszukiwaniu kałuży na pustyni; dręczy starców powłóczących laskami, bardziej zmęczonymi niż nogi starych ludzi, którzy wbrew kanikule podążają ku linii frontu, gdzie każdego dnia toczy się walka o przetrwanie. Upał jest torturą dla niegdyś majestatycznych drzew, teraz uległych furii rosnących temperatur; dla martwego kurzu pokrywającego chodniki, tęskniącego za deszczem, który nie nadchodzi, albo za kojącym wiatrem, zdolnym przeobrazić tę nieruchomą masę we wznoszący się tuman lub błoto, w burzę lub kataklizm. Upał miażdży wszystko, tyranizuje

świat, pokonuje każdą przeszkodę, każdego, kto próbuje się przed nim bronić, i budzi gniew, wywołuje żal i zazdrość, jest prowodyrem najbardziej piekielnej nienawiści, jakby za cel postawił sobie doprowadzić świat do zagłady, skończyć z historią, z ludzkością,

-11 -

unicestwić pamięć... „Skąd, kurwa, bierze się ten upał?” - zaklął pod nosem, uchylając ciemne okulary, by zetrzeć pot zalewający mu twarz, i splunął na ulicę ciemnym, wątłym glutem, który wyśladował wprost na spragnionym wody kurzu.

Pot drażnił oczy porucznika Maria Condego. Mężczyzna skierował wzrok w stronę nieba, wzywając błagalnie choćby jedną litościwą chmurę. Wtedy do jego uszu dotarły odgłosy okrzyków radości. Gęsty harmider unosił się w powietrzu, brzmiał chóralnie, jakby wydobyty spod ziemi, prześlizgiwał się w gorącu popołudnia, dominując na chwilę nad hałasem samochodów osobowych i ciężarówek, mknących po Calzadzie i podstępnie żłobiących pamięć Condego. Ledwie doszedł do rogu ulicy, gdy jego oczom ukazał się taki widok: grupa chłopców radowała się, przybijając piątki i wznosząc okrzyki, podczas gdy pozostali kłócili się głośno, przybrawszy miny śmiertelnych wrogów, obwiniając się nawzajem o to, co było powodem świętowania tych pierwszych. Jak bowiem bez trudu wywnioskował po chwili przyglądania się widowisku, jedni wygrali, a drudzy przegrali. Byli to chłopcy w wieku od dwunastu do szesnastu lat, różnej postury, odmiennego koloru skóry. Conde od razu pomyślał, że gdyby cofnąć się pamięcią dwadzieścia lat, stanąć na tym samym rogu ulicy, w tej samej dzielnicy i przysłuchać się podobnemu rozgardiaszowi, można by ujrzeć niemal identyczny obraz: oto banda młodzieńców różnej karnacji, większych, mniejszych, wyklócających się o każdy detal albo żywo radujących się ze zwycięstwa. "tym, który cieszyłby się

najgłośniej, byłby Condzik, wnuk Rufina Condego. Mario poczuł nagle, że tu, właśnie w tym miejscu, czas się zatrzymał. Na tej ulicy od zawsze chodziło tylko o jedno - baseball; nawet gdy czasami pojawiała się jakaś perfidna futbolówka albo zdradziecka piłka do koszykówki, to tylko po to, by wylądować nabita na słup elektryczny. I wszystko wracało do normy, baseball - z kijem, bez kija, na cztery bazy albo rolling-un-fly, lub ze ścianą jako partnerem do gry - brał górę nad sezonowymi modami. To gra - nie było co do tego wątpliwości - która zawładnęła życiem młodych chłopców, stała się ich namiętnością, to nią Conde wraz z przyjaciółmi zarazili się jak wirusem.

12 -

Pomimo upału sierpniowe popołudnia były najlepszą porą, by pograć w baseball na rogu ulicy. Wszyscy spędzali wakacje w swojej dzielnicy i byli dyspozycyjni o każdej porze dnia. Nie było po prostu lepszego zajęcia niż rozegranie meczu baseballu, który zaczynał się w gorącym słońcu popołudnia i trwał do późnego wieczora. Jednak już od jakiegoś czasu Conde nie widział w tym miejscu zbyt dużej aktywności młodych ludzi. Zdawało się, że chłopcy wybierają inne rozrywki, kosztujące mniej energii i zapewniające ładniejszy zapach niż ten, który pokrywał ciało po długich godzinach biegania, odbijania piłki i pokrzykiwania w palącym letnim słońcu. Dlatego też Conde zadumał się, będąc świadkiem gry, której wciąż, jak się okazywało, oddawali się młodzi chłopcy w długie, niekończące się sierpniowe dni. Kiedyś było inaczej: życie sprowadzało się do całodziennych rozgrywek w baseball. Conde zatopił się we wspomnieniach. Nie zostało ich wielu w dzielnicy, bo gdy jednych wsadzano do więzienia, inni z niego wychodzili, a jeszcze inni przenosili się do tak różnych od siebie miejsc jak Alamar, Hialeah, Santiago de las Vegas, Union City, Cojimar albo

Sztokholm. Zaś jeden z nich, zaopatrzonego w bilet w jedną stronę, udał się na cmentarz Colón. Biedny Marquitos. Tak więc, nawet gdyby pojawiła się chęć, a oni mieliby siłę w nogach i ramionach, stara paczka z dawnych czasów nie mogłaby już dzisiaj zagrać meczu, tam, na rogu ulicy, a to dlatego, że życie wykluczyło taką możliwość, podobnie jak wiele innych.

Kiedy skończyli świętować i oskarżać się o porażkę, chłopcy postanowili rozegrać kolejny mecz. Dwóch z nich, którzy wyglądali na liderów każdej z grup, zaczęło wybierać zawodników do swoich drużyn. Wybierali z rozwagą, tak aby siła rażenia obu ekip była zbliżona, a wojna, tym razem bardziej wyrównana, mogła się rozpocząć na nowo. Wtedy w głowie Condego pojawiła się myśl: a może tak zapytać, czy pozwoliliby mu z nimi zagrać. Po ośmiu godzinach pracy w Biurze Informacji Centrali Policji dopadało go już zmęczenie, ale było przecież dopiero po szóstej po południu i nie miał ochoty wracać do gorącego, przepełnionego samotnością domu. Najlepsze, co mógł zrobić, to zagrać w baseball. O ile mu pozwolą.

- 13-

Podszedł do grupy chłopaków zgromadzonych wokół miejsca wybranego jako home-plate i zawołał syna czarnego Felicia. Felicio był jednym z jego kompanów do gry, z którym nie widzieli się już od dłuższego czasu. Conde pomyślał, że pewnie siedzi w więzieniu. Chłopak był równie czarny jak jego ojciec, odziedziczył też po nim zapach potu, intensywny i gorzki, który Conde znał na pamięć, przesiąkał nim zawsze, gdy spędzał czas z Feliciem.

- Rubén - przywołał chłopca, który spojrzał w jego stronę ze zdziwieniem - co byś powiedział, gdybym sobie z wami chwilkę pograł?

Chłopak wciąż patrzył na przybysza, jakby nie do końca rozu-

miał, co się dzieje, zaraz potem odwrócił wzrok w stronę kolegów.

Conde zrozumiał, że musi wyjaśnić, o co mu chodzi.

- Od dłuższego czasu nie grałem i naszła mnie ochota, żeby odbić kilka piłek...

Wtedy Rubén podszedł do pozostałych graczy - nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za decyzję. „W tym kraju lepiej wszystko konsultować” - pomyślał Conde, oczekując na werdykt. Zdania najwyraźniej były podzielone i na zgodę trzeba było chwilę czekać.

- W porządku - wydusił wreszcie Rubén, wywiązując się z roli pośrednika, ale ani on, ani pozostali nie wyglądali na zadowolonych z podjętej decyzji.

Gdy przeszli do ustalania składu drużyn, Conde zdjął koszulę i podwinął dwukrotnie nogawki spodni. Szczęśliwym trafem tego dnia nie zabrał z sobą broni. Przewiesił koszulę na murku przed domem Galicyjczyka Enrique - jego też już nie ma, zmarł dzień, a może dwadzieścia, a może sto lat temu - i usłyszał, że gra w drużynie Rubéna i że zajmie pozycję na środku pola. Patrząc na siebie, otoczonego chłopakami, jak on z obnażonymi torsami, Conde dostrzegł absurdalność i nienaturalność całej sytuacji.

Czuł na sobie szelmowskie spojrzenia młodych i pomyślał, że muszą oni widzieć w nim kogoś na wzór pierwszego misjonarza, który dociera do pradawnego plemienia. Był dla nich dziwadłem, mówił innym niż oni językiem, hołdował innym zwyczajom; niełatwo będzie mu się zintegrować ze środowiskiem, którego

- 14-

przedstawiciele wcale nie prosili o jego towarzystwo, nie chcieli ani nie byli w stanie go zrozumieć. Ponadto wszyscy chłopcy musieli wiedzieć, że jest policjantem, a w ich interesie nie było zostać przyłapanymi na brataniu się z Condem, bez względu

na stopień zażyłości, jaki łączył go z ich ojcami czy starszymi braćmi. Takie były odwieczne zasady obowiązujące w dzielnicy, pewne rzeczy się nie zmieniają.

Kiedy członkowie jego drużyny zaczęli zajmować pozycje, Conde chwycił koszulę i podszedł do Rubena. Chciał położyć rękę na ramieniu chłopaka, ale wzdrygnął się na myśl o warstwie potu, jaki pokrywa jego ciało.

- Wybacz, Ruben, ale właśnie sobie przypomniałem, że mają do mnie dzwonić. Zagramy przy innej okazji - powiedział.

I odszedł w stronę Calzady, czując, jak rozgrzane do czerwoności, bezlitosne, świecące prosto w oczy słońce spala jego ciało i duszę. Jest jak płomienisty miecz, wskazujący drogę bez powrotu, drogę z rajy na zawsze utraconego, tego samego, który kiedyś należał do niego. Było to w zamierzchłych czasach, które nigdy nie powrócą. Skoro ta ulica nie jest już jego, czy pozostawało coś, co miałby w posiadaniu? Bolesne poczucie wyobcowania, odmienności, przynależności do innego świata ogarnęło Condego z taką siłą, że nie pozostawało mu nic innego, jak zebrać się w sobie, schwycić ostatnie pokłady własnej dumy i poczynić wysiłek, by nie puścić się biegiem przed siebie. Kiedy rozum podpowiadał mu, że bieg w takim upale byłby szaleństwem, doznał olśnienia, zrozumiał powód niechęci ze strony chłopaków: „Że też nie wpadłem na to wcześniej” - pomyślał. - „Sukinsyny grają o pieniądze...”

- Co z tobą, brachu?

- Nie wiem. Chyba jestem zmęczony.

- Niezły skwar, co nie?

- Jak jasna cholera.

- Wyglądasz jak ostatnie nieszczęście.

- Mogę sobie wyobrazić - przyznał Conde, odkaszlnął i splunął przez okno na dziedziniec domu. Chudy Carlos przyglądał mu się



15-

z wysokości wózka inwalidzkiego, a potem machnął ręką. Wiedział, że kiedy jego kumpel zachowuje się w ten sposób, najlepsze, co można zrobić, to go zignorować. Zawsze powtarzał, że Conde to urodzony cierpiętnik, niepoprawny sentymentalista, masochista na własne życzenie, rasowy hipochondryk i typ nie do pocieszenia, drugiego takiego ze świecą szukać w całym świecie, a on dzisiaj nie miał najmniejszej ochoty tracić ani czasu, ani zdrowia na wydobywanie przyjaciela ze studni wypełnionej melancholią, w której ten z taką rozkoszą się pławił.

- Masz ochotę posłuchać muzyki? - zapytał.

-A ty?

- To tylko takie pytanie, żeby coś powiedzieć.

Conde podszedł do półki z kasetami. Przebiegł wzrokiem po najwyższym rzędzie, przyjrzał się tytułom i wykonawcom i tym razem nie zdziwił go eklektyczny gust muzyczny Chudego.

- Na co masz ochotę? The Beatles? Chicago? Fórmula V? Los Pasos? Creedence?

- O tak, Creedence - zawyrokował Chudy. Lubił słuchać spójnego wokalu Toma Fogerty'ego i oszczędnych gitar Creedence Clearwater Revival.

- To wciąż najlepsza wersja Proud Mary.

- Bez najmniejszej wątpliwości.

- Śpiewa jak czarny. Co ja, kurde, gadam: śpiewa jak sam Bóg.

- No, kurde - potwierdził Chudy i obaj spojrzeli na siebie w tej samej chwili: byli przekonani, że właśnie doświadczyli déjà vu. Taki sam dialog, te same słowa padły już niezliczoną ilość razy podczas niemal dwudziestu lat ich przyjaźni i zawsze działo się to w pokoju Chudego. Ta powtarzalność sprawiała, że mieli wrażenie, jakby poruszali się po zaczarowanym królestwie,

gdzie czas jest cykliczny i wieczny, gdzie wszystko jest nieskalane i niezmiennie. Wiele przesłanek, zarówno tych namacalnych, jak i tych skrywanych na skutek wstydu czy żalu, wskazywało, że jedyną trwałą rzeczą na tym świecie był nagrany na taśmie głos Toma Fogerty'ego i dźwięk gitar Creedence. Zaś powiększająca się łysina Condego i chorobliwa otyłość Chudego, który przecież chudy już nie był, oraz wrodzony smutek Maria i bezpowrotnie

16-  
utracona sprawność Carlosa stanowiły, oprócz tysiąca innych przykładów, niezbity dowód na realną i, jakby tego było mało, postępującą katastrofę.

- Zdaje się, że długo już się nie widziałeś z Czerwonym Canditem? - odezwał się Chudy, kiedy skończyli słuchać muzyki.

- Będzie już jakiś czas.

- Przyszedł tu któregoś popołudnia i powiedział, że rzucił interes z butami.

- I czym się teraz zajmuje?

Chudy spojrział na magnetofon, jakby coś w urządzeniu, a może w piosence przykuło jego uwagę.

- Dobrze się czujesz, stary?

- Dobrze... Wykombinował dostawcę i handluje piwem.

Conde pokręcił głową i roześmiał się. Na kilometr wyczuwał intencje kumpla.

- Zaproponował, żebyśmy któregoś dnia...

Conde powtórzył gest głową i jeszcze raz się roześmiał.

- Wiesz, Chudy, że ja się na to nie piszę. To nielegalne, jak coś się stanie...

- E tam, pieprzysz, Mario. Popatrz, jaki dziś upał, spójrz, jaką masz zakazaną gębę... Candito mieszka niedaleko stąd... Parę piwek. No śmiało, chodźże.

- Nie mogę, kurde, robić takich numerów. Nie zapominaj, że jestem policjantem - powiedział z urażoną dumą i uniósł szczupłe ramiona, jakby dźwigał dwie chorągiewki z napisem SOS - Nie kuś, Chudy.

Ten nie dawał za wygraną:

- Kurde, napaliłem się, żeby pojechać, pomyślałem, że dasz się namówić. Wiesz, że nie ruszam się stąd i nudzi mi się bardziej niż żabie pod kamieniem... Kilka zimnych piwek. Za moje urodziny, co ty na to? A w ogóle, to ty już prawie nie jesteś policjantem...

- Ale z ciebie kawał skurczybyka, Chudy. Urodziny masz dopiero za tydzień.

- Dobra, dajmy temu spokój. Nie chcesz, to nie jedziemy...

- 17-

Conde zatrzymał wózek inwalidzki przed wejściem do kamienicy. Przetarł spocone czoło i spojrzał w głąb upstrzonego drzwiami korytarza. Ramiona ciążyły mu od wysiłku, jaki włożył w pchanie przez ponad dziesięć przecznic - do tego dwa wzniesienia i tyle samo zjazdów - wózka z ważącym ponad sto kilogramów przyjacielem. Mrugająca w głębi korytarza żarówka rzucała cienie, a z wnętrza pootwieranych mieszkań dobywał się blask włączonych ekranów telewizora i było słychać rozmowy bohaterów telenoweli. „Mamo, kto jest winny temu, co się stało? Powiedz, mamo” - rozbrzmiewał pytający głos kogoś, kto w kolejnych odcinkach serialu imitującego prawdziwe życie z pewnością doświadczył niejednej tragedii. Conde schował chusteczkę i skierował się w stronę drzwi mieszkania Candita, jedynych, które były zamknięte. Popychając wózek, opuścił głowę, chcąc być jak najmniej widoczny. „Wciąż jestem policjantem” - myślał, podczas gdy w jego głowie coraz głośniej pobrzmiwał dźwięk schłodzonych butelek nielegalnego piwa i perspektywa błędnego zapomnienia, jakie dawało spożycie

chmielowego napoju w większej ilości.

Zapukał i drzwi otworzyły się, jakby ktoś na nich czekał.

Cuqui, Mulatka mieszkająca aktualnie z Canditem, nie musiała się specjalnie wysilać i wstawać, by je otworzyć, wystarczyło, że wykonała ruch ręką i już jej dłoń sięgała zasuwę w drzwiach.

Podobnie jak reszta sąsiadów, ona także oglądała telenowelę.

Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie, niczym u bohatera, który w końcu odkrywa całą prawdę. „To ja jestem wszystkiemu winien” - pomyślał Conde, ale powstrzymał się przed wypowiedzeniem tych słów na głos.

- Wejdźcie, proszę - powiedziała, choć w jej głosie słychać było niepewność bohaterki taniej powieści: nie dowierzała własnym oczom i może dlatego cicho, niemal niesłyszalnie dla przybyłych, zawołała:

- Candito, masz gości.

Jak w teatrze kukielkowym, Czerwony Candito wychylił ruda czuprynę zza firany odgradzającej kuchnię od pokoju i Conde od razu zrozumiał przekaz: „mieć gości” oznaczało co innego niż „mieć klientów”, Candito musiał więc zachować środki ostrożności.

18-

Gdy zorientował się, kto przyszedł, twarz Mulata rozpromieniła się i ruszył na powitanie.

- A niech cię, Carlos, przekonałeś go - powiedział, ściskając dłonie starych kumpli ze szkoły.

- Mówiłem, że przyjdę, to jestem, jakieś zażalenia?

- Żadnych. Rozgośćcie się, jeszcze coś mi zostało. Cuqui, weź przygotuj wyprawkę dla druhów i przestań już gapić się w ten telewizor, raz-dwa. Kiedy nie spojrzę, cały czas gadają o tych samych pierdołach...

Candito rozporządził i tak poprzesuwał meble, żeby Chudy mógł

przemieszczać się po pokoju. Potem odsłonił firanę przy wejściu do kuchni i otworzył drzwi prowadzące na dziedziniec: widok sześciu stołów zajętych przez klientów sprawił, że Conde w naturalnym odruchu zatrzymał się. Candito spojrział mu w oczy i potwierdził:

- Jest w porządku, możesz wejść.

Stojąc jeszcze w kuchni, Conde przyjrzał się towarzystwu: prawie sami mężczyźni, tylko trzy kobiety; próbował rozpoznać jakąś znajomą twarz. Instynktownie sięgnął do pasa, by po raz kolejny się przekonać, że nie zabrał ze sobą broni. Nie rozpoznawszy jednak nikogo, uspokoił się. Ktoś z obecnych mógł przecież mieć za sobą przesłuchanie na komisariacie, a on mógł być przesłuchującym. Możliwość ponownego spotkania w takim miejscu jak to nie podo-  
bała mu się zanadto.

Okrągłe stoły, z żelaznymi nogami i blatami z taniego marmuru, były zavalone pustymi butelkami. Zimne światło lampy rozjaśniało lokal, zaś z włączonego na cały regulator magnetofonu sączyły się rzewne piosenki José Feliciano, którego głos próbował zagłuszyć pokrzykiwania pijących. Przy zlewie stały dwa metalowe zbiorniki, zroszone od rozpuszczającego się w ciepłe lodu. Candito skierował się w stronę stojącego w rogu stołu, który był zajmowany przez dwóch typów o obliczach budzących przerażenie. Chwilę porozmawiali szeptem, potem mężczyźni pokiwali głowami i opuścili swoje miejsca: jeden z nich był okazałych rozmiarów blondynem, liczył ponad sześć stóp wzrostu, miał długi ramiona i twarz pokrytą kraterami, jakich nie powstydziliby się powierzchnia Księżyca. Drugi, mniejszy i o skórze

- 19-

tak czarnej, że aż niebieskiej, musiał być potomkiem w pierwszej linii samego kromaniończyka: wyglądał jak emanacja Darwinowskiej teorii ewolucji, wąskie czoło odbijało żółte blaski rzuca-

przez oczy dzikiego zwierza. Czerwony Candito gestem poprosił Condego, by podjechał wózkiem Carlosa, drugą rękę wyciągnął w stronę mężczyzn, pokazując trzy palce.

- Coś powiedział tym jaskiniowcom? - zapytał Conde, zasiadając do stołu.

- Spokojnie, Conde, spokojnie. Czuj się anonimowy. To moi wspólnicy w interesie.

Conde utkwiał wzrok w ogromnym blondynie, który nadchodził z piwem. Ten bez słowa ustawił butelki na stole i odszedł w stronę zbiorników.

- To twoi goryle, nie?

- Wspólnicy, Condziku, i robią, co trzeba.

- Ej, Candito - odezwał się Chudy - po ile sprzedajesz lagera?

- Zależy jak z dostawą, Carlos. Teraz trochę się pokomplikowało,

więc po trzy pesiaki. Ale spokojna głowa, wasz przydział stawia

gospodarz i ani słowa sprzeciwu, okej? - roześmiał się, a Cuqui

zjawiała się z talerzem wypełnionym kawałkami szynki, sera i herbatnikami. - Spisujesz się na piątkę, czarnulko, a teraz zmykaj do

tego twego filmu - i pożegnał ją czułym klepnięciem w pośladki.

Poczucie braterstwa przy piwie uspokoiło nieco rozgrzanego

ducha Condego, który szybko pożałował, że pierwszą butelkę wy-

chylił prawie na jednym oddechu. Teraz przeszkadzała mu tylko

agresywna muzyka i niejaki dyskomfort, który odczuwał, siedząc

tyłem do klientów. Rozumiał jednak, że to Candito musi mieć na

oku wszystkie stoły, a w chwili, gdy blondyn zabrał mu sprzed

nosa pustą butelkę i postawił nową, wypełnioną napojem, posta-

nowił przestać się czymkolwiek przejmować. Statek bezpiecznie

zawijał do portu.

- Co u ciebie, Conde? - Candito pociągnął kilka łyków. - Od jakiegoś czasu ani słycho o tobie.

Conde skosztował szynki.

- Chwilowo mam trochę pod górkę, zawiesili mnie za historię z jednym takim. Posadzili mnie przy wypełnianiu papierków

- 20-

i nie wypuszczają na ulicę... Ty też, z tego, co widzę, zmieniłeś zainteresowania.

Candito pociągnął duży łyk z butelki.

- Tak już jest, Conde, sam dobrze wiesz: nie ma co się zarzynać.

Biznes z butami zaczął się sypać i człowiek musiał się przekwalifikować. Wiesz, jak jest, ulica to ciężki kawałek chleba: nie masz kapusty, garnek pusty.

- Jak cię przydybią, będziesz miał niezłą grandę. Przed solidnymi cięgami sam Bóg cię nie ustrzeże... A jak jeszcze mnie tu wywęszą, do końca życia się nie wykaraskam.

- Nie gotuj się, Conde, nie ma obawy, ja ci mówię.

- Chodzisz wciąż do kościoła?

- Chodzę, czasami. Trzeba trzymać sztamę z niektórymi typami... Z policjantami, dla przykładu.

- Przestań już pieprzyć, Candito.

- Dajcie spokój, panowie - wtrącił się Chudy. - Mamy tutaj prawdziwą słodycz. Czerwony, niech przyniosą jeszcze.

Candito uniósł dłoń i pokazał trzy palce.

Blondyn zaserwował nową kolejkę. Z głośników magnetofonu dochodził teraz śpiewny pijacki głos Vicentica Valdésa - zapewniał, że wie, gdzie Księżycowi zapodziały się kolczyki - a Conde, popijając trzecie piwo, wreszcie poczuł się zrelaksowany. Dziesięcioletni staż w policji sprawiał, że wciąż chodził spięty. Tylko w niektórych miejscach, jak na przykład w domu Chudego, udawało mu się wyzbyć licznych obsesji i wtedy jego żołądek uspokajał się, wracała lekkość dawnych czasów, tych samych, o których teraz rozma-

wiali. Szkolne lata w La Víbora, wypełnione ciągłym rozmyśleniem o przyszłości. Wtedy Chudy był rzeczywiście chudy i chodził na własnych nogach, nie zdążył jeszcze odnieść ran na wojnie w Angoli; Andrés planował zostać baseballistą; Królik upierał się przy napisaniu na nowo historii, na głowie Czerwonego Candito lśniło wzburzone rude afro, zaś Conde szamotał się w strugach potu ze swoją maszyną Underwood, popełniając pierwsze opowiadania.

- Pamiętasz, Conde? - zapytał Candito, a Mario odpowiedział, że tak, pamięta i tę sympatyczną historię, której jeszcze nie zdążył usłyszeć.

21 -

Blondyn doniósł czwartą kolejną piwa, a Cuqui przygotowała drugi talerz z przystawkami, na które rzucił się Chudy Carlos. Conde nachylił się, by chwycić plasterek szynki, gdy nagle Candito zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło, na którym jeszcze przed chwilą siedział.

- Ten skurwysyn! - krzyknął ktoś z obecnych.

Nie mając czasu się podnieść, Conde odwrócił głowę, żeby zobaczyć, jak jakiś Mulat zasłania twarz, by uchylić się przed ciosem blondyna, który nagle wyrósł naprzeciw niego z butelką w dłoni. W tym czasie pokrzykujący w jego stronę prehistoryczny Murzyn zaszedł przeciwnika od tyłu, zasadził się na małych nogach i sprowadził go do parteru po wymierzeniu serii szybkich sierpowych w nerki. Olbrzymi blondyn zdążył w tym czasie obrócić się plecami do kompana i obrzucił spojrzeniem pozostałe stoły; z rękami ułożonymi na biodrach patrzył ostrzegawczo: niech tylko któryś się poruszy... Ale nikt nie wykonał najmniejszego ruchu.

Conde wstał i zauważył, jak Candito przemyka obok niego, doskakuje Mulata i chwytą go za kołnierz. Z łuku brwiowego mężczyzny sączyła się krew, a stojący za nim niski czarny jedną ręką trzymał go



za włosy, a drugą okładał szczotką w okolicy ucha.

- Dość już! - krzyknął Candito, lecz czarny nie dawał za wygraną. -

Puść go, do kurwy nędzy! - i uwolnił Mulata z uchwytu, łapiąc za rękę czarnego, który dopiero wtedy spasował. Conde przyglądał się z niemal naukową ciekawością, jak bezwładne ciało Mulata osuwa się na bok, a głowa uderza o cement, wydając głuchy odgłos spadającego kokosa. Ofiara nie była w stanie dłużej utrzymać się na nogach.

Blondyn podszedł do magnetofonu, żeby zmienić kasetę: nową gwiazdą wieczoru został Daniel Santos. Następnie, bez pośpiechu, wrócił do Mulata i chwycił go pod pachy, w czasie gdy czarny łapał leżącego za nogi. Wynieśli go przez drzwi znajdujące się w głębi dziedzińca, których Conde wcześniej nie zauważył.

Candito obrzucił wzrokiem pozostałych klientów. Przez chwilę słyhać było tylko głos Daniela Santosa.

- Wszystko gra? - odezwał się w końcu. - Jak ktoś ma ochotę na piwo, zgłasza się do mnie, okej? - i podniósł przewrócone przy wstawianiu krzesło.

- 22-

Conde już zdążył usiąść, a Chudy zaczął ocierać pot z czoła.

- Co to było, Czerwony? - spytał Chudy i wlał w siebie kolejną porcję płynu.

- Nie ma o czym gadać. Jak to się mówi: każda robota ma swój urok.

- Miał coś do mnie, co?

Teraz to Candito sięgnął po butelkę i nie patrząc mu w oczy, przegryzł piwo kawałkiem sera.

- Nie wiem, Conde, coś mu nie grało - westchnął głęboko, nie przestając mieć szczęką.

- Skąd ty, powiedz, Czerwony, to wszystko wiesz, przecież nawet słowem nie pisałeś? - Chudy nie mógł się nadziwić.

- Nie ma co czekać, aż się zaczną zwierzać, Carlos, jak coś jest na rzeczy, to się wie.

- Jasny gwint, o mało go nie zabili.

Czerwony uśmiechnął się i pogładził ręką po czole:

- Minusem tej roboty jest to, że tak już musi być, bracie. Hitaj obowiązuje prawo dżungli: respekt to respekt. Teraz ani on, ani żaden z tu obecnych, ani nikt, kto usłyszy, co się tu dzisiaj działo, nie odważy się tknąć cię palcem.

- I co z nim teraz zrobicie? - ciekawość zżerała Chudego, który nerwowo popijał piwo.

- Będzie odpoczywał, aż dojdzie do siebie. Potem zapłaci za to, co wypił, i pošlemy go do domu, żeby się wyspał. Przyda mu się dzisiaj trochę snu, nie sądzisz?

Chudy pokręcił głową i spojrzał na Condego, który siedział w milczeniu, najwyraźniej wsłuchany w bolero w wykonaniu Daniela Santosa.

- Widziałeś to, brachu?

- No.

- I rozumiesz coś z tego?

- Nic. Z każdym dniem rozumiem mniej... Ej, Czerwony, przynieś więcej piwa.

Najgorsze ze wszystkiego było poczucie pustki. Podczas gdy dzwonek budzika świdrował w mózgu Condego, informując go raz po raz, że jest za kwadrans siódma, a powieki zmagaly się z ciężarem snu i piwną grawitacją, pustka powracała na swoje miejsce, rozlewając się jak plama benzyny gwałtownie uwolniona na powierzchnię morza świadomości. Plama ta nie posiadała koloru, ponieważ pustka i nicość zawsze zaczynały się w tym samym miejscu. Każdego dnia, z właściwą sobie nieprzejednaną zdolnością do odnowy, korzystały z jego bezbronności i braku rzeczowych argumentów.

Za kwadrans siódma, treść przekazywana przez budzik była jedyną namacalną substancją pośród tego bezkresu.

Jakiś czas temu zaczął sobie wyobrażać, że tak właśnie musi wyglądać śmierć: przebudzenie poza atmosferą, uciążliwe, ale i bezbolesne, wyzbyte oczekiwań i zaskakujących zwrotów akcji. Tym właśnie była śmierć, czeluścią bez końca, światem zamieszkanym przez pustkę, ciemną i puszystą chmurą ogarniającą wszystko w sposób absolutny. Wtedy próbował przywołać momenty, w których nie doświadczał owego uczucia pustki czy bliskości śmierci. Gdy poranek rozsuwał się niczym kurtyna przed kolejnym spektaklem, przewidywalnym albo zaskakującym - to nie było ważne - jednak w jakimś sensie atrakcyjnym i koniecznym. Gdy niepostrzeżenie pojawiała się chęć przeżycia jeszcze jednego dnia. Takie

- 24-

samo wrażenie towarzyszyło mu, gdy powalony przez gorączkę próbował sobie wyobrazić, jak to jest być zdrowym. Zazwyczaj jednak przegrywał, bowiem wszechogarniające złe samopoczucie uniemożliwiało doznanie przyjemnych wrażeń.

Kiedy w takie poranki jak ten, gorące od chwili, gdy tylko wzeszło słońce, wychodził na ulicę, zabierając z sobą zapach wypitej w samotności kawy, bez pożegnalnego pocałunku kobiety czy nadziei na rychłą zmianę tego stanu rzeczy, Conde zastanawiał się, co trzyma go w postanowieniu, by wciąż nastawiać budzik na konkretną godzinę. Godzinę, kiedy próżnia, w jakiej się poruszał, wyrażała się najpełniej. I nie odnajdując żadnego przekonującego wytłumaczenia - czyżby chodziło o poczucie obowiązku, odpowiedzialność, konieczność radzenia sobie w życiu, przyzwyczajenie? - mierzył się z odwiecznie powracającym pytaniem, co on tu właściwie robi. Po co kroczy przed siebie, staje w kolejce do autobusu, każdego dnia coraz bardziej tłocznej i brutalnej, wypala

papierosa, który niszczy mu organizm, spotyka coraz bardziej obcych mu ludzi, którzy cierpią w narastającym z minuty na minutę upale. I odpowiadał sobie: to jego własna droga do piekła, to piekło za życia. Sięgnął do pasa i odkrył, że znowu nie zabrał z sobą broni. Poprosił ostatniego pasażera, który tak jak on czekał w kolejce do autobusu, o papierosa i zapalił trzeciego szluga tego dnia. Tak czy siak, kiedyś trzeba będzie umrzeć...

- Major Rangel chce cię widzieć.

Kiedy Conde usłyszał wiadomość przekazaną przez dyżurnego oficera, odzyskał nadzieję. „Przynajmniej napiję się dobrej kawy” - pomyślał i puścił w niepamięć smak niewiadomej proveniencji szarego napoju z fusami, który zamówił w drodze do centrali. Zobaczył kolejkę osób czekających na windę i zdecydował się wejść schodami. Nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego Stary go do siebie wzywał, skupił się więc na wygrzebaniu z zakamarków pamięci zapachu świeżo palonej kawy podanej w nieskazitelnie białej filiżance, jakich to zwykł używać szef. Aromat już docierał do jego nozdrzy. Trzy miesiące wcześniej, po publicznej bójce

- 25-

z porucznikiem Fabriciem, Conde stanął przed komisją dyscyplinarną, która ukarała go półrocznym oddelegowaniem do wypełniania fiszek i odbierania telefonów w Biurze Informacji Centrali, aż któregoś dnia, nieoczekiwanie, jego sprawa trafiła do ponownego rozpatrzenia i postanowiono, że wraca do pracy w terenie. Od tego czasu unikał spotkań ze Starym: kara Condego była, jak twierdził major, karą dla niego samego. Mimo dziwactw i roztrzepania, coraz bardziej rzucających się w oczy, porucznik od zawsze należał do czołówki. Był dobrym policjantem, a Stary darzył go zaufaniem i niejednokrotnie okazywał mu wyrazy uznania i sympatii, zarówno publicznie, jak i prywatnie. Dlatego w jakimś sensie

Conde czuł, że go zawiódł. Do tego wszystkiego Wydział Śledztw Wewnętrznych, któremu podlegała cała Centrala, napsuł ostatnio majorowi nieco krwi i wszyscy wiedzieli, że najlepiej omijać go szerokim łukiem, a jeśli nie dało się tego uniknąć, należało trzymać go na odległość.

Conde pchnął szklane drzwi i wszedł do sekretariatu przed gabinetem Starego. Za biurkiem, które dotąd okupowała Maruchi, szefowa biura majora, siedziała teraz inna kobieta, na oko pięćdziesięcioletnia, ubrana w mundur. Miała stopień porucznika. Marzenie o filizance kawy, do której oczyma wyobraźni Conde już przykładał usta, prysło jak bańka mydlana. Mario podszedł, przywitał się i oznajmił, że major go oczekuje. Sekretarka przycisnęła klawisz interkomu i powiadomiła szefa o jego wizycie.

- Porucznik Mario Conde.
- Niech wejdzie - odpowiedział głos i nowa sekretarka wstała, by otworzyć drzwi do gabinetu.

Major Antonio Rangel podniósł się z za biurka i wyciągnął dłoń w stronę Condego. Ten gest, niecodzienny u Starego, był sygnałem, że sprawy nie mają się najlepiej.

- Jak ci się pracowało w papierkach, Mario?
- Pracowało się.
- Usiądź.

Conde usadowił się w jednym z foteli naprzeciwko biurka i wypalił, nie mogąc się powstrzymać.

- Szefie, gdzie się podziała Maruchi?

- 26-

Major spuścił wzrok. Szukał czegoś w szufladzie, a po chwili wyciągnął cygaro. Nie prezentowało się najlepiej: ciemne, pomarszczone, niechętnie płomieniowi zapalniczki Starego.

- Przypomina kawałek drewna - odezwał się major, puścił dwa,

trzy kłęby dymu, cały czas przyglądając się z niedowierzaniem banderoli. Conde czekał na reakcję. - Nie do wiary. Proszę bardzo, czytam: „Tytoń selekcjonowany”. Wykonano w Holguin. Od kiedy to, kurwa ich wszystkich mać, w Holguin wyrabia się cygara? Ten kraj schodzi na psy... Przenieśli Maruchi. Nie wiem jeszcze gdzie ani dlaczego. Poza tym nie pytaj, nic nie mogę powiedzieć, nawet gdybym wiedział... Kapujesz?

- Wszystko jasne, majorze - zgodził się Conde i pomachał na pożegnanie kawie, którą z pewnością podałyby Maruchi. - Nie ma pan lepszych cygar?

- Nie mam, i nie twoja sprawa. Przejdźmy do rzeczy - powiedział major i poprawił się w fotelu. Wyglądał na zmęczonego. „Jakby i on wpadł w próżnię” - pomyślał Conde, który zawsze był pełen podziwu dla młodzieńczej witalności majora Rangela, niecodziennej u pięćdziesięcioośmioletniego mężczyzny. Zawdzięczał ją dbałości o siebie i zdrowemu trybowi życia, pływaniu w basenie i godzinom spędzonym na odbijaniu piłki na stadionie.

- Wezwałem cię, bo jest robota do wykonania. Na twarzy Condego pojawił się niemrawy uśmiech, postanowił wykorzystać chwilową przewagę.

- Nie zaproponuje mi pan kawy? Tuż przy ustniku cygara zarysował się cień: górna warga lekko się uniosła.

- Mamy już siódmy dzień miesiąca, a jeszcze nie dostaliśmy przydziału kawy... Nie wyglądasz dobrze. Widzisz, chodzi o to, że brakuje mi ludzi i nie miałem innego wyjścia, jak tymczasowo zawiesić ci karę. Musisz wspólnie z sierżantem Manuelem Palaciosem natychmiast zająć się sprawą: martwy transwestyta, znaleziony w Lesie Hawańskim.

- Transwestyta.

- Tak jak powiedziałem.
- Nie, powiedział pan „trass-westyta”. Mówi się „trans-westyta”.

- 27-

Major pokręcił głową.

- Nigdy nie planujesz spoważnieć, Conde? Myślisz, że życie to zabawa? - Nagle zmienił głos. Major posiadał zdolność przeobrażania tembru swojego głosu w zależności od poruszanego tematu lub intencji, godziny lub miejsca, i teraz brzmiał cierpko i oschle.

- Przepraszam, szefie.

- Nie wybaczam ci, Conde, nie wybaczam. Wiesz, ile ja mam na głowie? Myślisz, że łatwo jest pracować z bandą z Wydziału Śledztw Wewnętrznych wędzającą po całej Centrali? Wiesz, ile pytań zadają mi każdego dnia? Słyszałeś, że dwóch śledczych wyleciało za korupcję, a następni dwaj zostaną zawieszani za zaniedbania? Może słyszałeś też, że wszystkie te historie zapisują na moje konto? Nie, nie mogę ci wybaczyć... A w ogóle to czemu nie masz na sobie munduru? Nie mówiłem ci, że na czas przeniesienia masz się ubierać jak człowiek?

Conde podniósł się z fotela i wyjrzał przez okno. Budynek, nie-liczne drzewa i morze, spokojne na horyzoncie, znaczące granicę snów, przeznaczenia i niespełnionych obietnic.

- Kto wie coś więcej o sprawie? - zapytał i pomacał się w pasie, gdzie zazwyczaj nosił broń.

- Nikt, dopiero co znaleźli ciało. Manolo powinien na ciebie czekać w biurze. Bierz się do roboty, od zaraz.

Conde wykonał w tył zwrot i ruszył do drzwi. Chwycił za klamkę i zatrzymał się. Czuł się dziwnie. Nie wiedział, czy to ulga, czy może powinien czuć się wykorzystany, ale podejrzewał, że dla Starego cała ta sytuacja musiała być jeszcze mniej wygodna. O ile było mu wiadomo, pierwszy raz zdarzało się, że Stary zawieszał

karę swojemu podopiecznemu.

- Szkoda, że nie możesz mi wybaczyć ani zaprosić na kawę. Ale jako że ja darzę cię szczerą miłością, załatwię ci dobry tytoń - powiedział i wyszedł, nie czekając na komentarz. Nie podziękował też majorowi za powierzenie mu zadania. W ostatniej chwili uznał, że okazywanie wdzięczności byłoby nie na miejscu.

- 28-

Kiedy strażnik odsłonił ciało, fotograf natychmiast to wykorzystał i jeszcze raz nacisnął spust migawki, jakby wciąż szukając właściwego ujęcia, które udokumentowałoby śmierć tego przebranego niczym w karnawale nieboszczyka. Zmarły, zgodnie z danymi z dowodu osobistego, nazywał się Alexis Arayan Rodriguez. Teraz był już jedynie czerwonym pakunkiem, z którego wystawały białe, dobrze umięśnione nogi, kontrastujące z kolorem spalonej przez słońce trawy. Kobięca twarz, sina i napuchnięta, wieńczyła postać. Szyję krępowała mocno zaciśnięta czerwona wstążka śmierci. Conde opuścił dłoń, a strażnik, wyraźnie znudzony, zakrył ciało. Mario wyciągnął papierosa. Sierżant Manuel Palacios też poprosił o jednego. Conde poczęstował go bez entuzjazmu: Palacios wciąż powtarzał, że nie pali, a w rzeczywistości po prostu nigdy nie kupował papierosów. Conde spojrział w stronę rzeki.

Stojąc o poranku pod gęstymi koronami drzew Lasu Hawańskiego, można było odnieść wrażenie, że lato ku wielkiej radości miasta wyjechało na wakacje. Przyjemna bryza, łagodząca nieświeży oddech rzeki, wprawiała w ruch gałęzie topoli, niesfornych flamboyanów, migdałowców rozpostartych niczym cyrkowe namioty i podejrzanych wawrzynów, z płaczącymi się w wiszące warkocze cieniutkimi lianami. Condemu przypomniało się, gdy jako młody chłopak uczestniczył w przyjęciach urodzinowych, które urządzano w wynajmowanych w lesie po drugiej stronie



mostu glorietskach. Pamiętał, jak raz, wcielając się w Tarzana uczonego liana, roztrzaskał nowiusienkie buty ortopedyczne, które matka kazała mu włożyć na jedną z imprez. Na czarnej skórze butów, przyznawanych jedynie raz do roku, pojawiły się wtedy dwie szramy, dowody zbrodni. Kosztowały go one tydzień bez oglądania telewizji, nie mógł też śledzić kolejnych odcinków słuchowiska Guaytabó ani grać w baseball. Conde nigdy nie zapomniał tego doświadczenia, gdyż to właśnie tamtego tygodnia Indianin Guaytabó poznał starego Apolinarego Matiasa w warsztacie Tlirka Anatolia, co dało początek przyjaźni do grobowej deski dwóch wojowników o sprawiedliwość, walczących ze złem całego świata. A on nie mógł być świadkiem tego pamiętnego spotkania.

- 29-

Patrząc na rzekę, Conde pomyślał, że na szczęście dla niego w mieście wciąż dochodziło do kradzieży, popełniano morderstwa, dokonywano napadów, a przekręty miały się w najlepsze. Może zabrzmi to strasznie, ale tak właśnie było - ta śmierć przez uduszenie, której szczegóły lekarz sądowy starał się właśnie przybliżyć jemu i jego pomocnikowi Manuelowi Palaciosowi, pozwoliła mu wypełnić próżnię i poczuć, że jego mózg pracuje, a głowa służy do czegoś więcej aniżeli tylko do zmagania się z częstym kacem.

- Co o tym sądzisz, Conde? To mężczyzna. Przebrany za kobietę i umalowany. Skoro mamy już morderstwa popełniane na transwestytach, możemy się uważać za rozwinięty kraj. Jak tak dalej pójdzie, niedługo zaczniemy produkować rakiety i podróżować na Księżyc...

- Przestań pierdolić i zajmij się robotą - warknął Conde i wyrzucił niedopałek do rzeki. Czasami lubił być ostry, a ten lekarz z jakiegoś nie do końca znanego mu powodu wywoływał u niego

agresję. Być może był zbyt obyty ze śmiercią.

- Zajmuję się, wcale nie pierdołę... - odwarknął lekarz, a Conde pograżył się w domysłach na temat okoliczności zbrodni.

Zobaczył Alexisa Arayana, przebranego za kobietę, na oko niezbyt hojnie obdarzoną przez naturę, całego w czerwieni, w długiej, nie pierwszej nowości sukience, z czerwonym szalem okalającym ramiona, w pasie przepasanego jedwabną szarfą. Mężczyzna oddała się powoli z kimś pod ramię w ciemną czeluść Lasu Hawańskiego. Conde pomyślał, że gdy doszło do zbrodni, chłodna bryza koła noc, która przez to stała się przyjemniejsza i bardziej znośna niż w innych częściach miasta. Pozostałe ślady, na jakie natrafiono, należały do towarzysza ofiary, krępego mężczyzny, który zapewne z prawdziwą fascynacją musiał przyglądać się twarzy Arayana: wymodelowane brwi, cienie na powiekach w kolorze delikatnej purpury, rzęsy podkreślone tuszem i te usta, tak zachwycająco czerwone, nie mniej niż suknia, przynależna do niedookreślonej, z pewnością odległej przeszłości. Może doszło do pocałunków, może w ruch poszły ręce, miały miejsce pieszczoty, jakim oddały się smukłe palce Alexisa Arayana Rodrigueza, zakończone pociągniętymi lakierem paznokciami. Musieli się zatrzymać pod

- 30-

rozkwitłym, stuletnim flamboyanem. To tam doszło do tragedii pomyłonej miłości.

- Wiecie co? - Conde przerwał monolog lekarza sądowego i spojrzał na przykrytego trupa. - Czy wczoraj przypadkiem nie mieliśmy szóstego sierpnia?

- Mieliśmy, i co z tego? - zapytał lekarz.

- To, że czasami warto chodzić na lekcje religii... Szósty sierpnia to w Kościele katolickim Święto Przemienienia Pańskiego, czyli Transfiguracji. Według Biblii, tego dnia na górze Tabor doszło do

przemiany Chrystusa, a Bóg przemówił ludzkim głosem, nakazując trzem towarzyszącym mu uczniom, by podążali za jego słowem.

Nie wydaje się wam, że morderstwo transwestyty tego akurat dnia to coś więcej niż zwyczajny zbieg okoliczności?

Sierżant Palacios skrzyżował ramiona na swojej piersi niedożywionego kurczaka i przyjrzał się Condemu. Porucznik darzył sympatią to lekko zezujące spojrzenie przepełnione niepewnością: wiedział, że zaskoczył swojego kościstego partnera; pamiętał też, że ten lubił tego typu niespodzianki.

- A skąd, u licha, ty o tym wiesz, Conde? O ile mi wiadomo, od ponad trzydziestu lat nie przekroczyłeś progu kościoła.

- Aż tyle to nie, Manolo. Zawsze lubiłem tę historię, na religii wyobrażałem sobie, jak Bóg siedzi na chmurze i oświetla wzgórze reflektorem...

- Podejź no tu, Conde. A co jeśli Alexis stroił się tak codziennie? - spytał lekarz, a jego twarz ozdobił triumfalny uśmiech, co sprawiło, że Conde znalazł jeszcze jeden powód, by go znieubić.

- W takim wypadku nie ma żadnej tajemnicy - przyznał Conde. - Ale szkoda by było, nie? Transfiguracja Alexisa Arayäna... Brzmi nieźle. Dobra, wracaj do swoich spraw.

Ujrzał ich, jak stoją pod flamboyanem. Blask księżyca łagodnie odbijający się w listowiu nadawał parze - ogromnemu mężczyźnie i fałszywej kobiecie - srebrzystą poświatę, zaś powiew wiatru zrzucił na nich deszcz czerwonych płatków. Może pocałowali się, czule dotknęli i Alexis uklęknął, najpewniej z zamiarem sprawienia przyjemności swojemu towarzyszowi przy użyciu ust: resztki trawy na kolanach mogły świadczyć o takim zamiarze. W tym

31 -

momencie tragedia osiągnęła swój finał: jedwabna czerwona szarfa przewędrowała z pasa w stronę szyi Alexisa i obfitych kształtów

mężczyzna pozbawił oddechu kobietę, która wcale nią nie była, wyczekał, aż oczy wyjdą na wierzch, a mięśnie się rozluźnią.

- I tutaj właśnie coś mi nie pasuje, Conde. Z tego, co mówią nam ślady, dryblas wykonał robotę od frontu, co nie? Ale wygląda, jakby ofiara poddała się bez walki, nie szarpała się, nie szukała ratunku...

- Że niby nie ma śladów walki?

- Jeśli już była, to na słowa. Nic nie znalazłem pod paznokciami ofiary, chociaż dla pewności sprawdzę jeszcze raz przed sporządzeniem raportu... A teraz kolejna zagadka: morderca zaczął ciągnąć ofiarę w tamtą stronę, popatrz na trawę, widzisz? Jakby zamierzał wrzucić ciało do rzeki... Ale nie uciągnął dalej niż dwa metry. Dlaczego nie wrzucił go w końcu do rzeki, skoro wcześniej o tym pomyślał?

Conde spojrział na miejsce wskazane przez lekarza, potem na pokrowiec przykrywający ciało Alexisa Arayána, będącego teraz nieruchomym, czerwonym kształtem, którego widok zaalarmował porannego biegacza i sprawił, że zboczył on z codziennej trasy footing'u, żeby chwilę później odkryć trupa, już zawłaszczonego przez mrówki zachęczone szykującą się ucztą.

- Ale najdziwniejsze będzie teraz: po zabiciu transwestyty dryblas zdjął mu bloomer, znaczy się bieliznę, i wetknął palucha w odbył... Zauważyłem to, bo potem wytarł rękę w materiał. Co panowie na to? Dobra, tyle mam do powiedzenia. Po autopsji i analizie w laboratorium może będzie wiadomo więcej. A teraz muszę lecieć, mam następnego nieboszczyka w Habana Vieja...

- Powodzenia, Doktorku Chryzantema - pożegnał się Conde i odwrócił plecami.

Jeszcze raz popatrzył na brudną rzekę, w której wodach kiedyś doświadczał kąpieli. „To była inna rzeka” - pomyślał w duchu

Heraklita - „Nie tak brudna, przynajmniej nie w jej górnym biegu, na wysokości mostu La Chorrea, gdzie z kumplami chodzili łowić egzotyczne ryby, bo ktoś kiedyś odkrył, że chińskie karpie mogą się rozmnażać w rzekach i innych zbiornikach wodnych na wyspie.

- 32-

- No i jak, Manolo, podejmiesz się rozwiązania zagadki Doktora Chryzantemy? Jak to możliwe, żeby ktoś się dał tak po prostu udusić? I czemu morderca nie wrzucił ciała do rzeki? I po co zaglądał mu do tyłka?

Sierżant Manuel Palacios ułożył wąż ramiona na wysuszonej piersi. Za każdym razem, kiedy przychodziło mu pracować z Condem, obowiązywała ta sama zasada: to on musiał się pomylić pierwszy.

- Nie mam pojęcia, Conde - odezwał się.

Conde zaczął mu się przyglądać, zaskoczony jego rezerwą.

- Jak to, nie masz pojęcia, przecież zawsze wszystko wiesz.

- Dzisiaj jest inaczej... Słuchaj, Conde, co u licha się z tobą dzisiaj dzieje? Palma ci bije, stary...

Conde ponownie wbił w niego wzrok i zapalił papierosa. Manuel Palacios miał rację - co się z nim działo?

- Nie wiem co, Manolo, ale coś jest nie tak. Wyobraź sobie, że ucieszyłem się na wieść o przydzieleniu mi sprawy zabójstwa i możliwości opuszczenia murów Centrali. Coś mi chyba odważyło, stary, skoro cieszy mnie czyjaś śmierć. A ten lekarzyna działa mi na nerwy, jak... słowo daję.

Manuel Palacios pokiwał głową. Za dobrze znał Condego, żeby przejmować się jego wyznaniem, tym razem postanowił jednak obejść się z nim łagodnie.

- Co powiesz w takim razie na to: szanowany gość, żonaty i dzieciaty, zarywa łaskę. To nie w jego stylu, ale robi to. Ona to prawdziwa piękność, wysoka, zgrabna, i on się podkręca zdobyczą,

zabiera ją do lasu, całują się, macają, kobieta klęka, żeby mu obciągnąć, jak twierdzi pan lekarz, wtedy gość odkrywa, że kobieta to nie kobieta? Albo: dryblas też jest inny niż się wydaje, znaczy się pedał jak ten trup, i zabija Arayana w zemście za jakąś starą pedalską historię? Albo: wielgas jest zboczeńcem, który lubi chadzać z transwestytami, żeby potem ich załatwić, bo tak naprawdę nienawidzi pedałów, on sam jest transwestytą frustratem, bo ma małego i jest otyły? Ta wersja brzmi najlepiej, nie sądzisz?

Conde odkaslnął z papierosem w ustach.

- Z każdym dniem robisz się coraz bardziej inteligentny, jestem pod wrażeniem... Dziwna sprawa, Manolo. Nikt się nie daje

- 33-

udusić bez choćby jednego szarpnięcia się. I co takiego niby można schować w tyłku? Narkotyki? Skarb? I skąd wiedział, że ma tam szukać?... Może dlatego, że się znali, co ty na to? Ale jeśli morderca postanowił nie wrzucać go do wody, to dlatego, że jest pewien, iż nikt go nie skojarzy ani z tym miejscem, ani z transwestytą.

A sukienka, skąd on ją wytrzasnął? I dlaczego taki elegancki transwestyta spaceruje z dowodem osobistym przy sobie? Nie wydaje ci się to podejrzane? Powiedzieć ci, co myślę, Manolo? Nie podoba mi się to ani trochę. Za dużo tajemnic, a w tym kraju panuje zbyt duży upał i syf, żeby dodawać do tego jeszcze tajemnicę. Poza tym nigdy nie przepadałem za pedałami, żeby była jasność. Tak że jestem nieco uprzedzony...

- Widać - przyznał sierżant.

- Odwal się, Manolo.

„Najgorsze u zmarłych jest to, że zostawiają po sobie żywych” - pomyślał Conde, gdy kobieta potwierdziła:

- Tak, to mój syn, w co tym razem się wpakował?

I wydała się tak silna i pewna siebie, że bez owijania wypalił:

- Widzi pani, chodzi o to, że zeszłej nocy został zamordowany.

I wówczas kobieta zaczęła się kurczyć. Można było dostrzec, jak jej ciało, usadowione w fotelu pokrytym porządną skórą, ulega organicznej redukcji. Spomiędzy dłoni zasłaniających twarz dobył się stłumiony krzyk...

W dokumentach, które miał przy sobie Alexis Arayán, był wpisany ten adres zameldowania: dwupiętrowy pałac przy Siódmej Alei w dzielnicy Miramar, z zadbanym ogrodem i ścianami w kolorze połyskującej bieli, z całymi szybami w mieście bez szyb i dwoma samochodami zaparkowanymi na car-porch.

- Mercedes i toyota - wyjaśnił Manuel Palacios, który o samochodach wiedział absolutnie wszystko... - Powodzi się.

Wszystko na to wskazywało i tak faktycznie musiało być, gdyż w dowodzie Alexisa widniało: syn Faustina. Właśnie, Faustina Arayána, ostatniego kubańskiego delegata przy UNICEF-ie, dyplomaty

- 34-

z długim stażem, postaci z wyższych sfer, i Matilde Rodriguez, tej kobiety w wieku około sześćdziesięciu lat, które bardzo wygodnie przeżyła, kobiety o włosach w kolorze jasnego kasztana, z niezwykle starannie wypielegnowanymi dłońmi, tej samej, która nagle przemieniła się w osobę znacznie starszą, pozbawioną zuchwalej pewności siebie, z jaką przyjęła policjantów.

Jak spod ziemi, z niewiadomego zakamarka posiadłości, wyrosła Murzynka. Poruszała się bezszelestnie, jakby nie dotykała stopami ziemi. Conde zauważył zaczerwienione spojrzenie jej wytrzeszczonych i błyszczących oczu. Nie przywitawszy się z policjantami, usiadła przy Matilde i ściszonego głosem zaczęła ją pocieszać, wykonując przy tym niemal matczyne gesty. Podniosła się i po chwili wróciła ze szklanką wody oraz maleńką czerwoną

tabletką, którą wręczyła Matilde. Doświadczenie pozwoliło Condemu zauważyć delikatne drżenie dłoni Murzynki, gdy zbliżała je do roztrzęsionych rąk matki Alexisa. Nie spojrzawszy jeszcze ani razu w stronę Condego i Manola, Murzynka odezwała się:

- Ostatnio nie najlepiej u pani z nerwami - i pomagając kobiecie wstać, odprowadziła ją w stronę schodów.

Conde zatrzymał wzrok na Manolu Palaciosie i zapalił papierosa.

Manolo uniósł ręce, wzdychając: „no to kurwa mać”, i postanowili poczekać. Conde tymczasem zdecydował się skorzystać z biało-niebieskiej popielniczki, na której widniał napis: GRANADA. Wszystko w tym domu, w który tak nagle zawitała niespodziewana tragedia, wyglądało czysto i perfekcyjnie. Po dziesięciu minutach Murzynka zeszła po schodach i usiadła naprzeciwko gości. Wreszcie na nich spojrzała: jej oczy wciąż były zaczerwienione i błyszczały, jak w gorączce.

- Ostatnio nie najlepiej u pani z nerwami - powtórzyła, jakby rzuciła zaklęcie, a może nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- A co z towarzyszem Faustinem Arayanem?

- Przebywa w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wyszedł wcześniej - powiedziała, złączając dłonie i umieszczając je między nogami, jakby modliła się do obrazka leżącego na podłodze.

- Pani tutaj pracuje? - zapytał Manolo.

- 35-

-Tak.

- Od dawna?

- Ponad trzydzieści lat.

- Wie pani, o której Alexis wyszedł wczoraj z domu?

- Nie.

- Nie mieszkał tutaj?



- Nie.
- Ale to jego dom, tak?
- Tak.
- No to jak w końcu: jego dom czy nie jego, wyszedł czy nie wie pani, o której wyszedł?
- Tak, to jego dom, ale nie mieszkał tutaj, dlatego nie mógł stąd wyjść. Od miesięcy... Biedny Alexis.
- Gdzie w takim razie mieszkał?

Czarnoskóra kobieta spojrzała w stronę schodów, które prowadziły do pokoi. Zastanawiała się. Musiała dostać pozwolenie, żeby mówić? Teraz naprawdę wyglądała na zdenerwowaną, spuściła wzrok i przygryzła wargę.

- W domu kogoś innego... U Alberta Marquesa.
- Kto to taki? - dopytywał się Manuel Palacios, układając swoje niewielkie pośladki na krawędzi krzesła.

Murzynka ponownie spojrzała na schody i Conde doświadczył ciężkiego do wyrażenia uczucia, które kiedyś jedna z jego przyjaciółek, z racji braku właściwego słowa, nazywała: zawstydzieniem czyjaś śmiesznością. Ta kobieta, w pełni lata 1989 roku, poddawała się atawistycznemu instynktowi służalczości: była służącą i co najgorsze myślała jak służąca. Była skrepowana niewidzialnymi, ale trwałymi więzami genetycznymi, zaciskanymi przez całe pokolenia przodków, uciemionych niewolników. Fizyczna niewygodność zastąpiła szybko poczucie obcego wstydu i Conde zapragnął czym prędzej uciec z tego świata błyskotek i zbytków.

Kobieta ponownie utkwiała wzrok w Palaciosie i wydusiła:

- Wydaje mi się, że to przyjaciel Alexisa... Przyjaciel, z którym mieszkał. Biedny Alexis, Boże drogi...

- 36-

Potwierdziwszy istnienie adresu, który wydawał się wręcz nie-

prawdopodobny, Conde zamknął notes, w którym zapisał sporo danych z obfitej kartoteki Alberta Marquesa Basterrechei, i schował go w tylnej kieszeni spodni. Przyglądał się rosnącym w ogrodzie bugenwillom, które rozkwitły radośnie, co było dość niezwykle, biorąc pod uwagę straszliwe popołudniowe słońce, które je gnębiło. Magenta, fiolet, żółty, kwiaty jak zaczarowane motyle błędziły pośród gęstwiny liści, kolców i gałęzi, które wydawały się posiadać zdolność przetrwania każdego, lokalnego bądź uniwersalnego, kataklizmu. W dzikim cieniu ogrodu błędziły ścieżki z arogancko wystającymi grzywami trawy, nadając dodatkowego mrocznego charakteru stojącemu kawałek dalej domowi, oznaczonemu numerem 7, który trwał przy ulicy Milagros, a między Delicias i Buenaventura. Czy ten numer oraz trzy wyjątkowe nazwy ulic\* były pomysłem Alberta Marquesa, który chciał postawić dom u zbiegu ścieżek ziemskiego raj, pośród perfekcyjnej, edeńskiej glorii? Tak, to wyglądało na kolejny diabelski fortel, jeden z nieskończenie wielu, gdyż - zgodnie z danymi, jakie Conde zanotował w notesie, a wydobytych z wiekowej, ale wciąż aktualnej kartoteki, do której dostęp z uśmiechem na twarzy umożliwił mu pewien funkcjonariusz obsługujący Ministerstwo Kultury - wszystkiego można było się spodziewać po diabolicznym Albercie Marquésie. Homoseksualiście o długiej łupieżczej karierze, apatycznym polityku i błędnym ideologu, osobniku konfliktowym, prowokatorze i ksenofilu, hermetyku, oratorze posługującym się kwiecistym językiem, prawdopodobnym konsumencie marihuany i innych narkotyków, obrońcy zboczonych pedałów, człowieku o wątpliwym rodowodzie filozoficznym, pełnym małomieszczkańskich i klasowych przesądów, odnotowanych i sklasyfikowanych z pomocą moskiewskiego podręcznika do techniki i postępowania w zgodzie z duchem realnego socjalizmu... To niezwykle curriculum vitae było rezulta-

tem wspomnień, zapisanych, przetworzonych, zebranych, często Nazwy ulic, przy zbiegu których znajduje się dom Alberta Marqueasa, w języku hiszpańskim oznaczają: Milagros - cuda; Delicias - rozkosze; Buenaventura - pomyślność (przyp. tłum.).

- 37-

dosłownych cytatów wielu policyjnych informatorów i kolejnych przewodniczących Komitetu Obrony Rewolucji. Stanowiło wykaz z Krajowej Rady Kultury i obecnego Ministerstwa Kultury, rady politycznej ambasady kubańskiej w Paryżu, głos w sprawie zabrał nawet pewien franciszkański mnich, który w dalekiej przeszłości był osobistym spowiednikiem typha i jego kilku perwersyjnych kochanków, przesłuchiwanym w związku z ich przestępczą działalnością. „W co ja się, do kurwy nędzy, pakuję?”

Na próżno starając się oczyścić umysł z uprzedzeń - „uwielbiam przesady i nie znoszę pedałów” - Conde przemknął przez ogród i wszedł na czterostopniowe schody prowadzące do portyku, z zamiarem przyciśnięcia guzika dzwonka wystającego niczym sutek tuż pod numerem 7. Poglądził go raz i drugi, po czym powtórzył rytuał, ponieważ nie usłyszał dźwięku dzwonka, i kiedy szykował się, by nacisnąć przycisk po raz kolejny, drzwi powoli się otworzyły, a zza nich wyłoniła się ciemność, rozjaśniona bladą twarzą dramaturga i reżysera Alberta Marqueasa.

- O co jestem oskarżony tym razem? - zapytał mężczyzna, nadając ironiczny ton swemu głębokiemu głosowi. Conde starał się ukryć, jak bardzo zaskoczyły go otwarte znienacka, jakby samoczynnie drzwi i spektakularna bladość twarzy gospodarza oraz pytanie, jakim ten go przywitał. Postawił na uśmiech.

- Szukam Alberta Marqueasa.

- To ja, panie policjancie - odpowiedział mężczyzna i wyuczonym gestem teatralnym uchylił szerzej drzwi, jakby chcąc pokazać

się Condemu w całej okazałości. Był raczej pozbawiony koloru niż blady, chudy, czy nawet wychudzony, zaś jego głowę zdobiła zwiędła i oklapnięta fryzura. Od szyi po kostki spowijał go chiński szlafrok, który pamiętał panowanie dynastii Han: „Tak” - pomyślał policjant - „Na tym jedwabiu ciążyło przynajmniej dwa tysiące lat utrapienia”. Kolory materiału były równie wyblakłe jak twarz schowanego pod nim mężczyzny. Znoszony i szorstki, jakby dawno temu przestał być już jedwabiem, mienił się barwami, które świadczyły o wielu odbytych potyczkach, zaś plamy, może po kawie, bananach, jodynie, a może nawet krwi, nadawały nowy, nieregularny i niebywale smutny wzór temu nakryciu, uzurpującemu

- 38-

pochodzenie od historycznych władców... Conde jeszcze raz wysiłił się na uśmiech, przypomniał sobie o przylegającym do pośladka notesie z informacjami, i odważył się wystosować pytanie:

- Skąd pan wie, że jestem policjantem? Oczekiwał pan mojej wizyty?

Alberto Marqués zamrugnął uwodzicielsko powiekami, próbując jednocześnie doprowadzić do ładu zwiędłe nitki włosów.

- Nietrudno się domyślić, Sherlocku Holmesie... W taki upał, o tej porze dnia i z taką twarzą, przed drzwiami mojego domu, któż inny mógłby stać, jeśli nie policjant? Poza tym, słyszałem, co się stało z tym biedakiem Alexisem...

Conde pokiwał z wyrozumiałością głową. Już drugi raz ostatnio ktoś rozpoznał w nim policjanta po jego twarzy. Zaczynał wierzyć, że coś musi być na rzeczy. Jeśli kierowcy autobusów wyglądali na kierowców autobusów, lekarze mieli twarze lekarzy, a krawcy - krawców, po dziesięciu latach w zawodzie i on mógł nabrać cech policjanta, widocznych gołym okiem.

- Mogę wejść?

- A mogę pana nie wypuścić?... Proszę wchodzić - dodał i szeroko otworzył drzwi prowadzące w ciemność.

W domu nie odczuwało się mocy upału panującego na zewnątrz, chociaż wszystkie okna były zamknięte i znikąd nie dochodził dźwięk wentylatora. W chłodnym cieniu wnętrza Conde wypatrzył niewyraźny fresk zdobiący sufit, zauważył meble, równie ciemne jak pomieszczenie, rozstawione bez namysłu po pokoju przedzielonym na dwie części parą najpewniej późnodoryckich kolumn.

W głębi, w odległości jakichś pięciu metrów od miejsca, gdzie teraz stał, zaczynał się korytarz, on również ginał w mroku. Alberto

Marqués, nie zamknąwszy drzwi, podszedł do okna balkonowego

i otworzył je, wpuszczając do środka smugę natarczywego światła sierpniowego dnia, które rozświetliło ułożoną w szachownicę podłogę, nadając pomieszczeniu agresywnego i zupełnie nierealnego blasku. Pokój stał się sceną, na którą padło silne światło reflektora.

I wówczas Conde zrozumiał, gdzie się znajduje: oto wszedł w sam środek scenografii Ceny, sztuki Arthura Millera, którą trzydzieści lat wcześniej z niemałym sukcesem - do dziś komentowało się ją

- 39-

w niektórych kręgach (wzmiankę o tym znalazł również w karto-tece) - wystawił Alberto Marqués i którą przed dziesięcioma laty oglądał w adaptacji jednego z najbardziej ortodoksyjnych uczniów dramaturga. Wszedł na scenę, jakby był bohaterem sztuki i... no właśnie. Czy to dzieje się naprawdę?

- Proszę usiąść, panie policjancie - powiedział Alberto Marqués, wskazując z rezygnacją na mahoniowy fotel, poczerniały od tłuszczu i potu, i wtedy dopiero zamknął drzwi.

Conde wykorzystał tych kilka sekund, żeby lepiej przyjrzeć się mężczyźnie: spod szlafroka wystawały rachityczne, równie przeźrocyste jak twarz, żylaste łydki zakończone nagimi stopami o wy-

jątkowo grubych, szeroko rozstawionych palcach zwieńczonych zawiniętymi i połamanymi paznokciami. A co z zapachem? Nozdrza Condego, naznaczone dwudziestoletnim stażem aktywnego palacza, próbowały oddzielić zapach wilgoci od innych: stęchłego oleju i oparów znanych mu, ale trudnych do zidentyfikowania. Cały czas przyglądał się mężczyźnie w jedwabnym chińskim szlafroku, jak sadowi się w drugim fotelu, rozstawia nogi i starannie układa ramiona chuderlaka na drewnianych oparciach, jakby chciał je objąć i posiąść. Obserwował, jak końcówki jego szczupłych palców zginają się na brzegach.

- Dobrze, oddaję panu głos.
- Co pan może mi powiedzieć o tym, co się przydarzyło Alexisowi Arayânowi?
- Biedak... Zabili go w Lesie Hawańskim.
- Skąd pan o tym wie?
- Dostałem telefon, dzisiaj rano. Przyjaciel się dowiedział.
- Co to za przyjaciel?
- Taki jeden, mieszka w pobliżu i widział, co się stało. Popytał i zadzwonił do mnie.
- Kto to taki?

Alberto Marqués westchnął ostentacyjnie, zamrugnął powiekami, ale jego dłonie nawet nie drgnęły, wsparte na oparciach fotela.

- Dionisio Carmona, tak się nazywa, jeśli o to panu chodzi. Wystarczy? - zapytał, dając do zrozumienia gestem, że nie jest zadowolony z przebiegu rozmowy.

- 40-

Conde pomyślał, by zapytać o pozwolenie, ale postanowił tego nie robić. Skoro Alberto Marqués jest ironiczny, on będzie bezczelny. Miałby pozwolić, żeby ta ciota sobie z nim pogrywała? Zapalił papierosa i wypuścił dym w stronę rozmówcy.

- Może pan strzepywać na podłogę, panie policjancie.
- Porucznik Mario Conde.
- Może pan strzepywać na podłogę, panie policjancie poruczniku Mario Conde - powiedział mężczyzna i Conde posłuchał zalecenia. „Już ja ci dam popalić, ptaszku złotopióry” - pomyślał.
- Co pan jeszcze wie?

Alberto Marqués uniósł ramiona, zmrużył oczy i wydał z siebie kolejne, głośne westchnienie.

- No więc... że został powieszony. Boże drogi, to dopiero nie-szczęście.

„Może faktycznie czuł się poruszony tą śmiercią” - pomyślał Conde i postanowił kontynuować.

- Otóż nie, technicznie rzecz biorąc, został uduszony. Ściśnięto go za szyję, aż zabrakło mu tlenu. Przy użyciu czerwonej jedwabnej szarfy. A słyszał pan, że był przebrany za kobietę, ubrany na czerwono, z szalem i w ogóle?

Alberto Marqués pogładził się prawą ręką po policzkach i podbródku. „Touché” - podsumował Conde.

- Przebrany za kobietę? W czerwonej sukience? Długiej jak dawniej szlafroki?

- Właśnie takiej - odpowiedział Conde - wie pan coś więcej na ten temat? O ile mi wiadomo, Arayân wyszedł wczoraj z tego domu.

- Zgadza się, około siódmej wieczorem, ale zapewniam pana, że widziałem go na chwilę przed wyjściem i nie był przebrany za Elektry Garrigó.

Paryż nigdy nie zasypia i na zawsze zmienia każdego, kto choć przez chwilę miał okazję tam mieszkać... Tak po prostu jest, nawet jeśli słowa te wypowiedział Hemingway, najbardziej ego-tyczny i narcystyczny pisarz stulecia. Moje wspomnienie Paryża

ma błękitny odcień nostalgii, która od dwudziestu lat nie daje mi spokoju. Kiedy przyjechałem do Paryża, pamiętnego kwietnia 1969 roku, trwała wiosna, tak piękna, że aż zadawała ból, a jednocześnie człowiek był gotów na wszystko, by być bardziej szczęśliwym, o ile szczęśliwość istnieje, by stać się bardziej inteligentnym. Chciało się ogarnąć to wszystko, wiedzieć wszystko, by być bardziej wolnym, o ile też i taka możliwość istnieje, mogłaby istnieć lub kiedyś istniała. Pamiętam, jak odczuwałem magię łagodnego jak aksamit słońca, skąpanych w nim Pól Elizejskich, wielkich napoleońskich pałaców, frywolny urok kawiarni, wtedy lepiej rozumiałem to, co wydarzyło się rok wcześniej. Wciąż czuję, niczym czuły dotyk na skórze, popołudniowe światło grające feerią barw w rozecie Notre Dame, historyczny i ciemny pomruk Sekwany na wysokości Cité, i słyszę czarnego kataryniarza przy Luwrze, jak akompaniuje afrykańskiej małpce tańczącej wiedeńskiego walca. Pamiętam też recital The Rolling Stones, którzy starali się być większymi buntownikami niż The Beatles, stałem dwieście metrów od nich, pod chłodnym niebem paryskiej wiosny, pośród okrzyków zachwytu francuskich blond piękności, wyzwolonych, niesfornych córek i młodych matek rewolucji, która miała szansę się ziścić, a nigdy nie było jej to dane. Po tamtym maju nic już nigdy nie było takie samo, bo owszem, doszło do rewolucji: rewolucji w zwyczajach i rewolucji moralnej, jaka trwa przez cały dwudziesty wiek i jakiej Lew Dawidowicz Bronstein, alias Lew Trocki, nie mógłby sobie wymarzyć. Pamiętam wszystko, każdy dzień, każdą minutę, każdą rozmowę z Jeanem Paulem Sartre'em i nieodstępującą go Simone de Beauvoir, kolację z George'em Plimptonem, podczas której udzielałem wywiadu dla „Paris Review”, poszukiwanie esencji życia i rozumnego szaleństwa w pismach Antonina Artauda, w jego



zaangażowanym Teatrze i jego sobowtórze, nostalgię po śmierci Camusa, którego nie poznałem osobiście, a który zawsze był mi tak bliski. Pamiętam jak wraz z Nestorem Almendrosem, który był mi przewodnikiem, wyruszałem na ponowne spotkanie ze scenografią francuskiego kina, nagle urzeczywistnioną, i pamiętam wspólny z moim przyjacielem Cortszarem pościg za międzywojennym jazzem, którego archeologię studiowaliśmy w bogobojnych, barowych - 42-

jaskiniach... Pamiętam to wszystko tak wyraźnie, ponieważ miała to być moja ostatnia wizyta w Paryżu, prawie jak ostatnie tango, tak więc pamięć - ta stara spryciara - wzięła górę nad resztą i wytworzyła własną zapobiegliwą metodę obrony, dzięki której zachowałem każdą chwilę szczęścia, jakiej byłem uczestnikiem w trakcie tej wyprawy do Paryża, jakby pamięć już wtedy wiedziała, że będzie to moja ostatnia podróż do Miasta Światła.

Dlatego też nie zapomniałem dnia wypełnionego wszechobecnym przypadkiem i magnetyzmem, kiedy z Reciem i Tym Drugim weszliśmy wraz z ostatnim światłem popołudnia do dzielnicy Montparnasse, w poszukiwaniu greckiej restauracji o jednej tylko możliwej nazwie: Odyseja, i w której jako specjalność podawano danie z górskiego kozła. Czerpaliśmy radość z czasu, którego byliśmy panami, i z poczucia wolności. Szliśmy pod rękę jak niepokonany oddział wojska i wówczas Recio ujrzał jego, a właściwie ją. Wysoka, elegancka do bólu, kobieta, postać z innego wymiaru, taka, jaką mogła być Edith Piaf, gdyby nie była zawładniętym przez alkohol wróblem. Jakiż ona miała głos! Niepokojąco wysoka, piękno wydo-  
byte dzięki mistrzowskiemu sztafażowi ozdób, agresywna obecność piersi i usta jak metaliczny kwiat. Całym sobą czułem jej wyższość: ubrana była w czerwień, krzyczącą, ale i radosną. Odkryłem w niej tragiczną dumę, jaką zawsze widziałem w postaci niezłomnej Elek-

try: była objawieniem albo przepowiednią, cała w czerwieni.

- To transwestyta - powiedział Recio.

I ja (ale też Ten Drugi, którego imienia nie mam ochoty sobie przypominać, gdyż byłoby politycznie i ideologicznie niepoprawne ujawniać naszą przyjaźń, on, Recio i ja, z tamtego fantasmagorycznego Paryża, gdzie wszystko było możliwe, nawet to, że razem z nimi przemierzałem ulice miasta) stanąłem jak wryty, jak przemieniony w kamień, ubezwłasnowolniony.

- Boże drogi, jak to możliwe? - powiedział Ten Drugi, który nie omieszkał przywołać imienia Boga z odległych przestworzy paryskiego wyzwolenia, podczas gdy w hawańskich dysputach w jego słowach pobrzmiwała ideologia dialektycznego i historycznego materializmu i przekonanie, że religia to opium, marihuana, a nawet Marlboro dla mas...

- 43-

- Perfekcyjna - powiedziałem, wiedząc już o istnieniu paryskich transwestytów, którzy wylęgali na ulice, chcąc się pokazać, wmieszać w tłum, ale nigdy nie przypuszczałem, że możliwe jest takie widowisko: ta kobieta podbiłaby każdego mężczyznę, bo była doskonalsza od wszystkich kobiet razem wziętych, powiedziałbym nawet, że ona właśnie była Kobieta.

- Nie. Transwestyta nie udaje kobiety - podsumował Recio tym swoim wszechwiedzącym tonem, jakby rozpoczynał wykład. Zawsze perorował długimi zdaniami, wielowarstwowymi, barokowymi, w stylu Lezamy \*, które brzmiały jak karykatura tych używanych przez poczciwego Grubasa. - Dla niego, a la limite, kobieta nie istnieje, bo wie (i na tym polega cały jego dramat), że on, znaczy się ona, jest zjawiskiem, że jego królestwem i siłą wizerunku jest ukrycie defektu nieomyślnej natury...

I wyjaśnił nam teorię, jakoby kosmetyczne zjawisko, jakim jest

transwestyta (tak właśnie akcentował Recio, transwestyta), porażająca agresja drżących i metalizujących jak skrzydła motyla powiek, ustawiony głos, jakby należący do kogoś innego, zawsze w off-ie, wyuzdane usta domalowane do tych ukrytych, seksualność obecna tym mocniej, im bardziej skrywana, to wszystko jest objawieniem, czymś w rodzaju perfekcyjnej teatralnej maskarady. Powiedział i spojrzał na mnie, zupełnie jakby czuł się w obowiązku mówienia prosto do mnie.

To wówczas, gdy wypowiadał słowo „zjawisko”, wszystkie kawałki układanki złożyły się w jedną całość i odwróciłem się zaalarmowany, by odnaleźć wzrokiem transwestytę. Ale już go nie było, przepadł w magicznym mroku Paryża, niczym spadająca gwiazda... Zjawisko. Maskarada. Esencja przedstawienia, najprawdziwsza od czasu, gdy rytualne tańce zamieniły się w teatr, od kiedy pojawiła się świadomość twórczości artystycznej: transwestyta jako artysta sam w sobie... Ale już go nie było, a jedynym, kogo ujrzałem, był

\* Jose Lezama Lima (1910-1976) - wybitny prozaik i poeta kubański, znany z posługiwania się wyszukany, barokowym językiem. Skupia! wokół siebie całą rzeszę młodych twórców; w kręgu znajomych, z racji gabarytów, był nazywany Grubasem (przyp. tłum.}.

- 44-

Ten Drugi, nieruchomy i wyzbyty kontroli nad samym sobą, odmawiający ruchowi prawa istnienia, porażony możliwością bycia kimś, kim zawsze chciał być, możliwością zrobienia tego, na co zawsze miał ochotę, ale nigdy się nie odważył...

Przez szybę greckiej restauracji widać było szkarłatny blask Moulin Rouge. Dzięki niemu Ten Drugi, przebywający w Paryżu jako wysłannik Krajowej Rady Kultury, po tym, jak opublikował równie marną, co dobrze sprzedającą się książkę, z tych, co to wtedy cieszyły się w zacofanym i latynoamerykańskim świecie po-

pularnością, siedział otoczony szkarłatną poświatą, która nadawała jego twarzy wyrazu ekscytacji, a Recio, jakby nigdy nic, drażył temat, na głos kreślił kolejne rozdziały swojego eseju.

- Mistrzu - tak się do mnie czasami zwracał, przydając mi zalet - transwestyta, a mam tu na myśli świat ludzi, to wyimaginowane zjawisko i konwergencja trzech możliwości mimetyzmu - zrobił przerwę, by napić się bałkańskiego wina, które podano w naczyniach będących imitacją dawnych greckich amfor. - Pierwsza to transwestytyzm jako taki, przejawiający się w nieograniczonym potencjale metamorfozy, w transformacji, która nie ogranicza się jedynie do imitacji prawdziwego i określonego modelu, ale zmierza ku podążaniu za nieskończonymi wersjami rzeczywistości (i od samego początku „zabawy” akceptowanej, jaką jest). To rzeczywistość z każdym razem coraz bardziej ulotna i nieosiągalna (być coraz bardziej kobietą, aż do przekroczenia granicy, do wykroczenia poza kobietę)...

Druga to kamuflaż, przecież nie ma gwarancji, że przemiana kosmetyczna (a nawet chirurgiczna) mężczyzny w kobietę nie posiada ukrytego celu, jakim jest swego rodzaju zniknięcie, niewidzialność, d'effacement i wymazanie osobnika z agresywnego klanu, spośród brutalnej hordy innych samców. I ostatnia - powiedział Recio - zastraszenie, gdyż częste niedopasowanie ozdóbników albo przesadzenie z nimi, widoczna sztuczność, upstrzona maska, paraliżują lub przerażają, jak w wypadku niektórych zwierząt, które w celach obronnych lub kiedy szykują się do polowania, demonstrują przymioty, jakich nie posiadają. Okazują nagłą przewagę albo udają słabość, czy nie?

- 45-

Ten Drugi - wulgarny jak zawsze, ukryty za kulturą, której nigdy nie miał, nie przestając głośno ssać żeberek uprzednio skon-

sumowanego kozła - płacił Recio - odwrócił wzrok w stronę okna, jakby czegoś szukał.

- Ale to jak w końcu - zapytał - są ciotami czy nie?

Prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiałem, dlaczego Recio upierał się, by zabierać go z nami na te sentymentalne i uduchowione spacerunki po Paryżu. Bo Tego Drugiego - o czym wszyscy wiedzieli - interesowali tylko pedzie, a im więcej degrengolady, tym lepiej.

I jeśli Recio czuł potrzebę skrzyżowania z kimś miecza, w Paryżu miał do wyboru tysiące egzemplarzy, pięknych i słodkich...

- Po kubańsku rzecz ujmując, powiedziałbym, że tak, że są ciotami - powiedział w końcu Recio, którego swoją drogą też pociągali homoseksualiści. - Zupełnie jak ty - roześmiał się, wskazując na Drugiego - ale bardziej odważni, nie? Jeśli już o tym mowa, macie ochotę wybrać się jutro do kabaretu, gdzie występują transwestyci?

Zaproszenie podekscytowało mnie do tego stopnia, że pociągnąłem porządny łyk z jednej z amfor wypełnionych winem, coś, czego nie robiłem nigdy wcześniej, ani nigdy już nie zrobię. Ale w Paryżu możliwe było wszystko: także picie i upijanie się... Wróciliśmy do domu spacerem przez miasto i to właśnie tej nocy, w kawalerce Recia, zacząłem szkicować. Nad ranem był gotowy przyszły strój dla Elektry Garrigó, strój, który miała nosić postać z nowatorskiej i w tragicznych okolicznościach zdjętej z afisza sztuki. Fakt ten zdaniem biednego Virgilia Piñery dowodził, że jego dzieło było po prostu genialne.

Conde pomyślał: „Ptaszysko rozćwierkało się na całego”, i poczuł, że już dłużej nie zdoła walczyć z cisnącym go pęcherzem. Historia paryskiego transwestytyzmu przedstawiona przez Marquesa, której puentą była czerwona sukienka jego zamordowanego przyjaciela, przypominała bajkę, przygotowaną i odegraną na potrzeby

odwrócenia uwagi nieprzygotowanego na to amatora. Opowieść snuła się niczym pajęcza nić, chciał go w nią schwytać, zarówno

- 46-

intelektualnie, jak i fizycznie, co by mu się udało, gdyby tylko wyjawiał męczącą go potrzebę. Założył nogę na nogę, ale rezultat był jeszcze gorszy: ciśnienie w pęcherzu wypełnionym płynami spożyтыми dla złagodzenia skutków upału wzrosło i wiedział, że ma dwa wyjścia: wycofać się albo poprosić dramaturga o skorzystanie z toalety. Pierwsza opcja była równie niewłaściwa jak druga, nie chciał bowiem nawiązywać żadnego typu relacji z osobnikiem, u którego gościł, a nie mógł go tak po prostu zostawić, zwłaszcza gdy ten wyjawiał mu najciemniejsze tajemnice podwójnego życia Alexisa Arayána. Sfatygowany Marqués był głównym podejrzanym, może nawet rzeczywistym mordercą przebierańca. Chociaż po chwili zastanowienia, po tym jak raz jeszcze przyjrzał się gospodarzowi, cały czas powstrzymując nadchodzący wybuch pęcherza, Conde zadał sobie pytanie, czy te rączki siedmiolatka byłyby w stanie kogoś udusić? Skorzystanie z toalety w tym domu wydawało się Condemu pierwszym krokiem do odkrycia pokładów intymności: zobaczyć czyjaś łazienkę, to jak zajrzeć w jego duszę. Brudna bielizna, niespuszczona woda w ustępie, aromatyzowany płyn do kąpieli, można to było porównać jedynie do spowiedzi przed księdzem... albo sędzią.

- Muszę skorzystać z toalety - powiedział wreszcie, nie kontrolując reakcji mózgu.

Podejrzewał, że Marqués się roześmieje i tak też się stało. Mężczyzna obrzucił Condego oceniającym spojrzeniem. Mario poczuł, że został dokładnie zmierzony, zważony i wypunktowany.

- Musi pan przejść tamtędy, trzecie drzwi na lewo. Aha, żeby spuścić wodę, trzeba przytrzymać rączkę i poczekać, aż woda

zbierze wszystko co należy, rozumie pan, o co chodzi.

- Dziękuję - powiedział Conde i podniósł się. Zdradził go pęcherz i pot na czole. Ruszył w stronę ciemnego korytarza i przeszedł przez dwa pokoje. Znajdował się w zasięgu wzroku Marquesa, starał się więc nie rozglądać nadto ostentacyjnie, wiedział jednak, że przechodzi przez sypialnię i gabinet, ten był wypełniony książkami aż po sam sufit. Wówczas odkrył pochodzenie zapachu, którego wcześniej nie potrafił zidentyfikować. Był to ciężki zapach starego papieru, wilgotnego i zakurzonego. Zapach dobywał się

- 47-

z kolejnego pomieszczenia, które podobnie jak pozostałe było pogrążone w mroku, a gdzie najpewniej mieściła się biblioteka Alberta Marquesa. Nie miał wątpliwości, że pełno w niej było książek i nazwisk autorów wykluczonych przez niektóre ustawy oraz innych cudów wydawniczych, nie do wyobrażenia dla pospolitego czytelnika, którego profil Conde próbował teraz sobie zarysować tą częścią mózgu, której nie zajmowały myśli o jak najszybszym dotarciu do toalety.

Otworzył drzwi do łazienki: w odróżnieniu od reszty domu sprawiała wrażenie czystej i zorganizowanej, ale nie poświęcił dużo czasu na studiowanie wnętrza. Stał przed pisuarem, uwolnił zrozpaczony członek i oddał się czynności opróżniania pęcherza, czując, jak tam, ku dołowi, spływa cały ciężar świata. Strumień się nie kończył, płynął i płynął, kiedy wydało mu się, że za mleczną szybą w drzwiach, pękniętą i niezdarnie zlepioną taśmą, widzi czyjś cień. Przyglądał mu się? Conde zasłonił przyrodzenie dłonią i dokończył, spoglądając na drzwi. „Tego mi tylko jeszcze brakowało” - pomyślał, strzepując ostatnie krople moczu i wzdrygając się po zakończonej czynności. Pospiesznie schował pomniejszoną męskość w spodniach i zgodnie z instrukcją spuścił wodę. Żegnaj-

cie płynne wnętrzości.

Po wyjściu z łazienki zobaczył Marquesa siedzącego w fotelu w pokoju. Ruszył przed siebie i usiadł na swoim miejscu.

- To duża przyjemność móc się odlać, kiedy tylko ma się na to ochotę, nieprawdaż? - skomentował dramaturg i Conde już był pewien, że to on go obserwował. „Pojebany zboczeniec” - pomyślał - „to już lekka przesada”, i postanowił przejść do ofensywy.

- Co ma wspólnego cała ta historia o Paryżu z Alexisem Arayánem?

Marqués uśmiechnął się i wydał z siebie kilka dźwięków przypominających czkawkę.

- Proszę wybaczyć - powiedział. - No więc ma, chodzi o sukienkę, którą miał na sobie, i o to, że nie był transwestytą. Inaczej: nie był, jak to się mówi, praktykującym, chociaż czasami dla zabawy, owszem, przebierał się i odgrywał role. Zarówno żeńskie, jak i męskie, jednak nigdy nie wyszedłby na scenę, rozumie pan?

- 48-

Za bardzo był nieśmiały i za dużo jak na to zajęcie myślał, nadto się hamował... Wyrażam się jasno?... Miał jednak słabość do tej sukni zaprojektowanej wtedy nocą w Paryżu do mojej wersji Elektry Garrigó, którą miałem wystawiać w Hawanie i w paryskim Teatrze Narodów w 1971. I mimo że Alexis był homoseksualistą, co, jak podejrzewam, pan już wie, nigdy nie pomyślałbym, że posiada wystarczająco dużo odwagi, by zostać transwestytą i, o ile mi wiadomo, nigdy nie wyszedł na ulicę przebrany za kobietę.

- Dlaczego w takim razie zrobił to wczoraj?

- Nie wiem, to już pana robota, żeby się dowiedzieć... Za to panu płacą, nieprawdaż?

- Chyba tak - odparł Conde. - Jeszcze jedno, czy Alexis był katolikiem?



- Jak najbardziej. I półmistrykiem.
- Wspominał coś panu o dniu Transfiguracji?
- Transfiguracji? Jakiej Transfiguracji?
- Chrystusa... wczoraj było święto, szósty sierpnia.
- Nie, nie, nie wspominał nigdy... Wczoraj wyszedł stąd bez pożegnania, ale za bardzo się tym nie przejąłem, taki już był: trochę neurotyk, czasami zamykał się w sobie. Słyszałem, jak przechodził korytarzem, dlatego wiem, że musiało być około siódmej... Chciałbym, żeby była jasność: z Alexisem byliśmy tylko przyjaciółmi. Miał problemy w domu, rodzice każdego dnia grozili, że go wyrzucą na bruk, no i zapytał mnie, czy może u mnie zamieszkać. Ale nic więcej nas nie łączyło, rozumie pan? Każdy robił swoje, poza tym jestem już za stary na takie wygłupy...

Conde zapalił kolejnego papierosa i zapytał sam siebie: w co ja się wpakowałem? Ten świat był mu zupełnie obcy, egzotyczny, czuł się w nim całkowicie zagubiony, dręczyło go tysiące pytań, na które nie znajdował odpowiedzi. Na przykład: czy ten stary pedał gustował w podobnych sobie pedałach, czy może wolał normalnych mężczyzn? A mężczyzna, który przestaje z pedałami, jest jednym z nich czy nie? Czy dwóch pedałów może być przyjaciółmi i z sobą mieszkać, nie wchodząc jeden drugiemu do łóżka? Odpowiedział jednak:

- Rozumiem, jasne... Jak się poznaliście?

- 49-

Marqués ponownie się uśmiechnął i poprawił klapy szlafroka.

- Naprawdę pan nie wie?... To już osiemnaście lat, jak w roku Pańskim 1971 zamknięto mi usta. Zostałem napiętnowany, oczywiście że nie spełniałem żadnych wymogów, jakie przede mną stawiano. Wyobraża pan to sobie, napiętnować artystę? Jakby był

zwyczajnym psem. Byłoby to i zabawne, gdyby nie miało tragicznych konsekwencji. I jakby tego było mało, takie brzydkie słowo. „Napiętnować”. No więc zaczęła się cała ta historia z napiętnowaniem artystów, usunęli mnie z grupy teatralnej, ze stowarzyszenia ludzi teatru, a potem, jak już się przekonali, że nie mogę pracować w fabryce, co było wskazane, jeśli miałem zostać oczyszczony, bo kontakt z klasą robotniczą był w cenie - choć nikt nigdy nie pytał mnie, czy chcę się oczyszczać, tak jak nie pytano klasy robotniczej, czy miała ochotę poddawać mnie detoksykacyjnej terapii - dali mi posadę w maleńkiej bibliotece w Marianao, gdzie miałem katalogować książki. I wyznam panu coś, za co mam nadzieję nie wsadzi mnie pan do kicia, panie poruczniku: to był błąd z ich strony. Nie można pozwalać artyście przebywać w pobliżu dobrych książek, których on sam nie posiada, bo będzie je... wykraść. Choćby nie miał natury złodzieja, taki ktoś ukradnie książki. Niech pan sobie wyobrazi, że w tej bibliotece znajdował się egzemplarz Raju utraconego z ilustracjami Dorégo. Rozumie pan, o czym mówię? Jeśli pan sobie życzy, mogę panu pokazać...

- Nie trzeba - uciał Conde.

- No więc, pracowałem tam, Alexis przychodził się uczyć do biblioteki, mieściła się niedaleko liceum, do którego chodził. Tak się złożyło, że on wiedział, kim jestem i, co tu dużo mówić, byłem jego idolem. Biedak nie miał odwagi mnie zagadnąć, bo słyszał tyle różnych historii na mój temat... pan też je pewnie zna, czyż nie? Aż któregoś dnia zebrał się na odwagę i wyznał mi, że czytał dwie moje sztuki i że brał udział w przygotowaniach do wystawienia Elektry Garrigó, i to doświadczenie było najintensywniejszym, jakiego doznał w całym swoim życiu... Ten dzieciak mnie wielbił, a ze świecą szukać artysty, którego

- 50-

nie ujęłoby uwielbienie młodego adepta sztuki. No i zostaliśmy przyjaciółmi.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział Conde, zerkając na zegarek. Historia, którą właśnie usłyszał, zachwyciła go jak żadna spośród tych, jakie dotąd mu opowiadano i jakie przeczytał. Wyobraził sobie, jak mógł czuć się człowiek oklaskiwany przez publiczność i ceniony przez krytykę w anonimowej ciszy miejskiej biblioteki, gdzie jedynym, co mogło wzbudzać w nim jakieś emocje, była okazjonalna kradzież apetycznej książki. Nie było to łatwe.

- Czy Alexis był z kimś skonfliktowany? Pozostawał w stałym związku?

Tym razem Alberto Marqués nie uśmiechnął się ani nie mrugnął powiekami. Poruszył tylko długimi palcami spoczywającymi na oparciu fotela.

- Skonfliktowany w znaczeniu, jak się to potocznie rozumie - tego nie wiem. Był bardzo wrażliwym chłopcem, że tak to określe. Szukał spokoju i czułości, a w rodzinnym domu traktowano go jak trędowatego, wstydzono się za niego i przez to zamknął się w sobie, na każdym kroku widział czyhające niebezpieczeństwo. Poza tym wiedział, że nigdy nie będzie artystą, a o tym właśnie od zawsze marzył. Zaakceptował jednak fakt, że brak mu talentu, a to już coś, nie każdy to potrafi, nie uważa pan?

Conde zamyślił się: prawda. I zadał sobie pytanie: Czy to może mój przypadek? Nie, niemożliwe, nie zna mnie, a ja przecież mam talent. Kurwa mać z takim talentem.

- W miejscu, gdzie pracował, w Archiwum Dóbr Kulturalnych, kochali go, zwłaszcza artyści, zawsze stawał w ich obronie, bronił ich przed plugawymi mackami biurokratów, pijawkami pozbawionymi talentu. A teraz, zdaje mi się, że tak, był z kimś, to jakiś

malarz, niejaki Salvador K., nie znam go osobiście. Zaspokoilem pana ciekawość? Może chce pan skorzystać z toalety? - i teraz, owszem, uśmiechnął się.

Conde wstał: trafił na wymagającego przeciwnika, przynajmniej w gębie, pomyślał i wyciągnął rękę, by uścisnąć na pożegnanie wysuszoną dłoń słynnego Alberta Marquesa. Poczuł, jakby dotykał żabę.

51 -

- Nie wybieram się do toalety, ani też moja ciekawość nie została zaspokojona. I jeszcze nie usłyszałem zakończenia historii o transwestytach.

- Ach, no tak, księżniczko - nie mógł się powstrzymać Marqués, i dodał: - Proszę wybaczyć, ale mam słabość do tytułów szlacheckich. W takim razie zapraszam, kiedy tylko będzie pan miał ochotę. Żeby pan jednak wrócił, na zachętę pożyczę panu książkę o transwestytach napisaną przez Recia. Zadedykował ją mnie, proszę sobie wyobrazić... Zobacz pan, do czego może być zdolny człowiek - podsumował i wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

Conde przyjrzał się okładce książki - z poczwarki wyłaniał się motyl z groteskowo przetworzoną ludzką twarzą: oczy i włosy kobiety, usta i podbródek mężczyzny. Tytuł brzmiał Twarz i maska; zaś na pozór zakamuflowana dedykacja - „Dla ostatniego aktywnego członka kubańskiej elity” - była dość czytelna. Zapragnął udać się do domu i zanurzyć w lekturze książki, co być może naprowadziłoby go na jakiś nowy trop, a jeśli nie, przynajmniej dowiedziałby się czegoś więcej o ciemnym światku homoseksualistów. W wywodzie na temat transwestytyzmu Marqués wspomniał o trzech postawach: metamorfozie jako przekroczeniu obowiązującego modelu, kamuflażu jako formie zniknięcia i przebraniu

jako sposobowi zastraszenia. Który z nich wybrał Alexis Arayán, przebierając się za Elektry Garrigó w noc Transfiguracji? Koniec końców, cała historia zaczynała mu się podobać, ale jeśli chciał ją lepiej zrozumieć, musiał się dowiedzieć czegoś więcej. Kilku rzeczy był jednak pewien. Alberto Marqués nie mógł sam zabić Alexisa Arayána. Gdyby chciał udusić go własnymi rękami, potrzebowałby na to minimum dwóch godzin. Natomiast to, że Alberto Marqués miał wiele wspólnego z tą ubraną na czerwono śmiercią, było co najmniej oczywiste.

Kiedy Conde dostrzegł Manuela Palaciosą wylegającego się na błotniku samochodu, w cieniu pierwszego flamboyanu, który rósł przy Santa Catalina, zdał sobie sprawę, że się poci. Zupełnie jakby

- 52-

jego obciążony nowymi informacjami mózg nie zanotował wcześniej upału, który teraz dawał o sobie znać. Przeszedł ledwie cztery przecznice, a koszula już lepiła mu się do ciała. Dochodziła czwarta po południu i temperatura musiała wzrosnąć o kilka stopni.

- Jak poszło? - zapytał sierżant, a Conde przetarł czoło chusteczką.

- Strasznie dziwny typ, rozpieprzył mi całe popołudnie. Większy z niego pedał niż z wieloryba ssak - zawyrokował i roześmiał się, bo metafora nie była jego autorstwa: copyright należał do starego kumpla Mikiego Ślicznej Bużki. - Wiesz, jak nie znoszę pedałów... Ale ten to co innego... Skubaniec jeden, dał mi do myślenia... A z tobą co? Zwęszyłeś coś?

W trakcie przejazdu po Santa Catalina w stronę Centrali Manuel Palacios przedstawił pierwsze, zaskakujące rezultaty autopsji:

- Według tego, co twierdzi twój znajomek Doktor Chryzantema, nic typowi z tyłka nie wyciągnięto; przeciwnie, Conde, przeciwnie, wsadzono mu... Dwie monety o nominale jednego peso. Co ty na

to? Słyszałeś kiedyś o czymś takim?

Conde pokręcił przecząco głową. Ale sierżant nie dał mu czasu zastanowić się nad ujawnioną rewelacją:

- Morderca ma białą skórę, krew grupy AB, wiek między czterdzieści a sześćdziesiąt lat. Najprawdopodobniej jest praworęczny.

Czyli mamy jakieś półtora miliona podejrzanych...

Conde uznał, że żart nie jest wart jego reakcji i pozwolił sierżantowi Manuelowi Palaciosowi skończyć: śmierć nastąpiła w wyniku uduszenia, to prawda, morderca zacisnął szarfę, stojąc na wprost transwestyty, mimo to jedynym śladem, jaki pozostawił, jest niewielki fragment skóry pod paznokciem Alexisa. Ślady na ziemi potwierdzają, że dryblas musiał ważyć z dziewięćdziesiąt, sto kilogramów, stopa numer dziewięć, prawidłowego kształtu.

Wygląda na to, że miał na sobie blue jeans, na miejscu zbrodni znaleziono włókno materiału, zaczepiło się o krzak. Do fellatio raczej nie doszło, przynajmniej nie ma śladu po nasieniu w ustach nieboszczyka. Nie znaleziono odcisków palców, szarfa też nie dostarczyła nowych śladów. Na miejscu zbrodni śmieci, jakich pełno w takich miejscach: butelka, zużyty kondom, niedopałki,

- 53-

zardzewiały klucz, końcówki cygar, markowych i niemarkowych: Rey del Mundo, Montecristo, Coronas, i plastikowy grzebień bez sześciu kolców, a nawet ząb mądrości...

- W takim razie możemy być pewni, że nie doszło do walki - skomentował Conde po tym, jak Manolo zakończył wyliczankę. - A te monety...

- Niezły numer, nie? Ale mnie najbardziej zastanawia, dlaczego nie wrzucił go do rzeki. Gdybyśmy znaleźli go w wodzie, byłoby ciężko ustalić, jak się tam znalazł, a może i ponadgryzałyby go ryby, no wiesz, i wtedy to już ciężko byłoby go zidentyfikować.

Skrećamy do Centrali?

- Nie - powiedział Conde, którego myśli nagle zwróciły się ku mijanemu właśnie domowi. Należał do Tamary, najtrwalszej z utraconych miłości, kobiety, której ciało pachniało intensywnie perfumami, o której nie przestawał śnić od tysiąca i jednej nocy, i ogarnęło go współczucie dla samego siebie. - Jedźmy do Vedado, przypomniał mi się jeden znajomy, chcę z nim pogadać.

- Co cię do mnie, Conde, nieboraku, sprowadza? - zapytał i obrzucił zakłopotanym spojrzeniem stoły, czekając na reakcję klienteli na widok Condego. - Stary, jak cię ktoś tu rozpozna albo zorientuje się, że jesteś gliną, wyleją mi na głowę kubeł gówna... Przestań mówić szeptem.

- Jedynym, kto mówi szeptem, jesteś tutaj ty - odparował Conde donośnym głosem i chwycił stojącą na stole szklankę z rumem: wychylił duszkiem całą zawartość.

Śliczna Bużka nie miał odwagi ani go powstrzymać, ani spojrzeć raz jeszcze na inne stoły. Conde roześmiał się. Znali się od prawie dwudziestu lat, a on cały czas pozostawał taki sam: kawał gnoja. W czasach liceum Miki zasłynął łatwością, z jaką przychodziło mu zdobywanie kolejnych niewieścich serc i chełpił się rekordem posiadanych dziewczyn - rzecz jasna wszystkie obcłował. Sukces zawdzięczał swojej ślicznej buźce i nienaganej fryzurze. Z czasem jednak wszystko się zmieniło: miał więcej zmarszczek niż przeciętny facet w jego wieku: trzydziestu ośmiu

- 54-

lat, ślady po spóźnionym trądziku zrobiły się bardziej widoczne, wynikający z nadwagi drugi podbródek skrywał pod gęstym zarostem, kontrastującym z przerzedzonymi włosami porastającymi czoło, resztkami po niegdyś aroganckiej blond czuprynie. Przejście z wieku młodzieńczego w dorosłość okazało się dla Miki

Ślicznej Bużki procesem dewastacyjnym. Mimo to i na przekór wszelkim założeniom sprzed lat, Miki stał się jedynym rozpoznawalnym pisarzem spośród wszystkich kumpli z liceum, którzy wykazywali zainteresowanie pisaniem. Wiedział - podobnie jak Conde - że literatura, którą tworzył, jest nieodwracalnie skazana na całkowite zapomnienie, mimo że znalazła uznanie niektórych krytyków i wydawców, a to po tym, jak zdecydował się pisać o wieśniakach i konieczności współdziałania w czasie, gdy w gazetach pisano jedynie o wieśniakach i konieczności współdziałania, a także o robakach-bezpaństwowcach i wyrzutkach społecznych, gdy głośno wykrzykiwano podobne hasła na ulicach latem 1980... Legitymacja Związku Pisarzy kwalifikowała go jednak jako pisarza, tak więc każdego popołudnia Miki zaszywał się w barze Związku, żeby wypić kilka szklanek rumu, które, jak myślał Conde, mu się nie należały.

- Chcesz pogadać gdzie indziej? - zaproponował porucznik, rozczulony zakłopotaniem rzekomego pisarza.

- Nie ma potrzeby, nikt cię tutaj nie zna, do tego zaraz skończy się rum. Życzysz sobie podwójny?

Conde spojrział na bar, gdzie serwowano biały Bocoy. Udał niezdecydowanie i z wyrazem niechęci na twarzy oświadczył:

- Czemu nie, dobrze mi robi.

- Daj mi cztery pesos - powiedział Miki i wyciągnął dłoń.

Conde uśmiechnął się. „A jakże, kawał gnoja” - pomyślał i podał banknot o nominale dziesięciu pesos.

- Potrójny dla mnie i podwójny dla ciebie.

Czekając na Mikię, Conde zapalił papierosa i próbował podsłuchać rozmowy klientów siedzących najbliżej. Było ich trzech: Mulat, młody, ale ze śladami siwizny, który gadał jak najęty; gruby szatyn z brodą i garbem nieforemnego wielbłąda; i wysoki typ



z twarzą sodomity, który na pewno zachwyciłby swoim wyglądem

- 55-

samego Lombroso. Obrazek jak z dobrej powieści! Obgadywali bez entuzjazmu jakiegoś pisarza, który najwyraźniej osiągnął spory sukces ostatnią książką i pisał poczytne artykuły do wielu dzienników, sklasyfikowali go jako pieprzonego populistę. „Tak” - mówili, zapluwając żółcią podłogę lokalu - „wyobraź sobie, że wydaje kryminały, przeprowadza wywiady z baseballistami i muzykami grającymi salsę, pisze kroniki o alfonsach i o historii rumu: mówię, kurwa, jebany populistą, to i zdobywa tyle nagród”. Zaczynali mówić o sobie, że byli pisarzami, dla których liczyły się wartości estetyczne i nieobojętnymi na kontrasty społeczne, kiedy Miki wrócił z dwiema szklankami rumu.

- Jak mówiłem... dostała się nam ostatnia butelka. To jest coś, co mnie martwi coraz bardziej. Z każdym dniem kończy się coraz szybciej.

- Lubisz tu przychodzić, Miki, nie?

Pisarz łyknął rumu, wyciągając papierosa z paczki Condego.

- No tak, czemu nie. Jest rum, pogada się o jakimś gównie, czasami możesz wyhaczyć jakąś blondynę, którą wzięło na poezję. Właśnie czekałem na jedną taką, co ma więcej w kieszeni niż Bank Narodowy w sejfie. Nie mam pojęcia, skąd bierze kasę. Także jak tylko się zjawi moja poetka, znikasz, rozumiemy się?

Conde przytaknął, myśląc, czy zapytać, kim są panowie sąsiedzi i o kim właśnie mówią, ale pomyślał, że mogą go usłyszeć. Chętnie przeczytałby historię rumu, popijając ten kazirodczy i ahistoryczny alkohol nasączony molekułami niedestylowanej wody.

- Miki, co wiesz o malarzu, niejakim Salvadorze K.?

Pisarz uśmiechnął się i wychylił ze szklanki trochę rumu.

- Kawał gnoja z niego.

- Kurwa, chłopie, dla ciebie każdy jest gnojem, oportunistą, populistą albo pedałem.

- Dokładnie tak. A coś myślał? Że jesteśmy na Parnasie? Że po wejściu tutaj usłyszysz „Gniew, Bogini, opiewaj Achilla, syna Peleusa” albo inne badziewie? Nie ma bata i lepiej żebyś sobie to wbił do głowy: ten kogucik, o którym wspomniałeś, ma coś z nich wszystkich. Maluje obrazy pełne kolorów, które dobrze się sprzedają, ale to, co robi, to jedna wielka sraka... Chyba mieszka

- 56-

gdzieś tu w pobliżu, w okolicach N i Dziewiętnastej, u kobiety.

A co masz do niego?

- Nic, ktoś mi o nim wspomniał przy jakiejś okazji. Mówisz, że ma żonę?

- Nie, powiedziałem, że mieszka u kobiety.

- Uhm. Słuchaj, Miki, jesteś specjalistą od tego, co w życiu najgorsze, co mi powiesz o Albercie Marquésie?

Jeśli w tym momencie zatrzymasz się przed wejściem do Związku i krzykniesz: „Kim jest Alberto Marqués?”, natychmiast wyskoczy dwustu typów, rzucają się na kolana i zaczną składać hołd, i mówić: „Jest Bogiem, jest Bogiem”, i jeśli dasz im chwilkę, zorganizują jakąś akcję ku czci, wypunktują jego wielkość i tak dalej, na matkę przysięgam, że tak będzie... Ale jeśli zrobiłbyś to samo piętnaście lat wcześniej, zjawiłoby się dwustu typów, tych samych, co teraz, i z uniesioną pięścią, nabrzmiałą żyłą na szyi krzyczeliby, że to sam diabeł wcielony, wróg klas, apostata i jego prostata, niezła metafora, co?... Bo tutaj tak jest, Conde: kiedyś lepiej było nie wymawiać jego imienia, a teraz to żywy pomnik etycznego i estetycznego protestu, sam widzisz, jaka jazda. Co kawałek napatoczy się ktoś, kto opowiada, jak to odwiedził go u niego w domu, musiałbyś ich posłuchać: jakby odbyli pielgrzymkę do samej Mekki... Zasrańcy

jedni. Wyobraź sobie, teraz pieją, że jest on jednym z ojców kreolskiego postmodernizmu, że on, Grotowski i Artaud to trzej wielcy geniusze teatru dwudziestego wieku, że Virgilio Piñera\*, Roberto \* Virgilio Piñera (1912-1979) - kubański prozaik, poeta, dramaturg. Szybko znalazł się na cenzurowanym rewolucyjnego rządu, przede wszystkim z przyczyn natury obyczajowej - był homoseksualistą - ale także z uwagi na zdeklarowany antykomunizm. Należy do prekursorów teatru absurdu, jego twórczość charakteryzuje specyficzne, najczęściej makabryczne poczucie humoru, a los bohaterów zwykle dopełnia się tragicznie. Elektra Garrigó, pierwszy utwór sceniczny Piftery, nawiązuje do dramatu antycznego, łącząc elementy greckiej tragedii z symboliką lokalnego synkretyzmu religijnego. Podczas pobytu na emigracji w Argentynie tłumaczył wraz z Witoldem Gombrowiczem Ferdydurke (przyp. tłum.).

- 57-

Blanco i Vicente Revuelta zawdzięczają mu, że doszli tam, gdzie są; a nawet twierdzą, że pedalstwo to wartość, dzięki której wyraża się jego wrażliwość. Taka sprawa. Rozumiesz coś z tego? Widzisz, ja rozumiem; kiedy trzeba było go zdradzić, zdradzili go, a teraz, kiedy przestał stanowić niebezpieczeństwo, wielbią go, wiesz, jest w dobrym guście popłakać nad ofiarami ideologicznej walki. Co z tego wszystkiego zostaje? Gościu, który dostał porządnie w dupę, który tłumi w sobie nienawiść, jakiej nie powstydziliby się nazista, przemieniony w wielkiego bohatera, nie za to, co zrobił, ale za to, czego nie mógł uczynić, bo zrujnowali mu życie. I kiedy zdecydowano się dać mu jeszcze jedną szansę, on powiedział „Nie”, postanowił nie robić więcej teatru, nie publikować nowych sztuk, przeszedł na emeryturę. Pieprzony bohater, tak go teraz widzą... Najbardziej przerażające w tym wszystkim jest to, że facet musiał przelknąć jakieś dziesięć lat życia w milczeniu i samotności. Spośród tych dwustu wielbicieli dzisiaj, było może czterech, pięciu,

którzy odwiedzali go po tym, jak poszedł w odstawkę i zaczęła się chryja z pedałami, ideologicznie błędzącymi, idealistami, odszczepieńcami oraz całym tym realizmem społecznym i sztuką jako bronią ideologiczną w walce politycznej... Wykluczyli go z obiegu i zesłali do biblioteki czy jakoś tak, nie wiem dokładnie gdzie. Kurwa, dziesięć długich lat bez opublikowania ani jednej linijki w choćby najędźniejszej gazecie, krytykom piszącym o teatrze zakazano wymieniać jego imię, wymazano go z antologii i słowników poświęconych twórcom literatury. Cisza: przestał istnieć. Rozpłynął się w powietrzu, puff! Nie dlatego, że umarł albo opuścił kraj, co na jedno wychodzi. Nie. Został zmuszony do zmiany przyzwyczajzeń. Teraz mógł być sławny w kolejce po banany albo za chlebem, w szpitalu albo mleczarni... Straszne, nie? Ale nikt nie wspomina o tym, jaki był i że wciąż jest z niego kawał pedała. Słyszałeś historię o wynajmowaniu Murzynów? Genialna, mówię ci. Szło o to, że brał na stronę czarnego sodomitę i mówił, że da mu zarobić, ale pod jednym warunkiem: musi go wziąć z zaskoczenia, żeby było bardziej ekscytująco. I mówił czarnuchowi, żeby któregoś dnia tygodnia, między osiemnastą a dwudziestą pierwszą wszedł do jego domu, dorwał go z nienacka

- 58-

i zgwałcił. No i on codziennie siadał sobie i czytał, aż w końcu przychodził Murzyn, ściagał go po całym domu, dopadał, zdzierał z niego ubranie i sruuu! posuwał go ile wlezie. Słyszałeś kiedyś o większym pedałstwie? Albo historia, jak wychodził na ulicę polować na młodziaków... i cała masa podobnych. Pedał pierwsza klasa! Ale jest coś, co bije na głowę całe to pedałstwo, ruinę, zdradę przez stado przyjaciółek, kult, jaki mu się teraz oddaje, i to jest najprawdziwsza prawda w tym wszystkim. Chcesz o tym usłyszeć? Chcesz? No więc prawda jest taka, że ten zbereźnik,

który robi pod siebie, jak tylko ktoś na niego krzyknie, ma jaja większe niż.... Przetrwał jako człowiek i został, powiedział, że jak wyjedzie, wtedy na pewno umrze, nie dał powodów do satysfakcji ani tym tutaj, ani tym tam na zewnątrz: zamknął dziób i zaszył się we własnej dziupli... Żebym ja miał przynajmniej jedno takie jajo jak ten świr... O kurwa, znikasz człowieku, wchodzi moja poetka. Wiesz, jak na mnie woła ta crazy! Miki Rourke, niezły numer, co... Ja cię pierdołę, rum mi się skończył. Przerąbane, stary.

Conde puścił się szybkim krokiem Siedemnastą Ulicą. Czuł pewien niesmak i nie chodziło o reakcję na spożyty rum. Pędził niczym statek tnący fale, przyglądając się przepychowi wystawionemu na próbę czasu. Pałace wzdłuż ulicy przypominały o dumnej klasie, która kiedyś osiągnęła szczyty i za sprawą której miejsce to zaczęto nieoficjalnie nazywać Aleją Milionerów. Sukces tych bogaczy - którzy sami nie mogli uwierzyć, że nimi się stali, gdyż fortunę zawdzięczali sprytowi politycznemu, finansowemu i kontrabandzie - ten sukces potrzebował namacalnego potwierdzenia, toteż każdy z nich postanowił nadać swojemu majątkowi niezapomnianą formę, opłacając tych, którzy posiadali potrzebny talent i potrafili utrwalić ich dorobek w kamieniu, żelazie i szkle, wznosząc posiadłości najwspanialsze w całym mieście. Całkowicie pochłonięty obranym kursem, Conde nie zastanowił się, jak to jest mieszkać w czterdziestopokojowym domu, albo jak czuje się człowiek, który wita wschód słońca zza witraża z wizerunkiem świętego Jerzego dosiadającego smoka. Albo z rajskim ogrodem zdobiącym

- 59-

gigantyczne okno ponad wejściem. Podążając wzdłuż alei od trzech dekad zajmowanej przez siedziby firm, biura i budynki nabite mieszkańcami, Mario myślał o czasach, kiedy jako szesnastolatek pisał swoje pierwsze opowiadanie, a Alberta Marquesa skazywano

właśnie na zapomnienie, pozbawiano chwały i aplauzów. Opowiadanie zatytułowane Niedziela wybrano do publikacji w zerowym numerze „La Viboreña”, piśmie literackim powołanym na szkolnych warsztatach pisarskich. Historia w nim przedstawiona była nieskomplikowana i z życia wzięta: opisywał pobudkę w niedzielny poranek i to, jak matka zmuszała go do wizyty w miejscowym kościele, podczas gdy jego koledzy cieszyli się dniem bez lekcji i grali w baseball na rogu ulicy. Conde chciał opowiedzieć jeszcze o czymś więcej, o znanych mu przypadkach represji, czy wspomnieć przynajmniej o tej będącej jego udziałem w zamierzonych czasach, gdy doświadczał pierwszych sentymentalnych uniesień, ale nie udało mu się ująć tematu w tak szerokie ramy. Najbardziej frustrująca była jednak skala represji, które nastąpiły po tym, jak pismo zostało wydane. Pismo, które nigdy nie doczekało się numeru pierwszego. Za każdym razem, gdy wracał myślą do tamtych wydarzeń, Conde odczuwał wstyd, nieusuwalny, głęboko zakorzeniony, który osaczał go w sposób wręcz fizyczny. Było to jak chorobliwe odrętwienie, miał ochotę krzyczeć na cały głos, zrobić to, czego nie zrobił w dniu zebrania, na którym postanowiono, że pismo zostanie zamknięte, a warsztaty zlikwidowane, kiedy młodych autorów oskarżono o pisanie idealistycznych opowiadań, pokrętnych wierszy, niedopuszczalnych krytyk, historii nieodpowiadających bieżącej potrzebie kraju, kraju skupionego na tworzeniu nowego człowieka i społeczeństwa. Tak właśnie oświadczył dyrektor, ten sam, który rok później wyleciał z hukiem za niezliczone przekręty, a wszystkie popełnił w imię przodowania wśród dyrektorów szkół w mieście, kraju, całym świecie; nawet jeśli miałby budować swoją pozycję na kłamstwie, chodziło tylko o to, żeby inni myśleli, iż jest najlepszym dyrektorem, żeby takim go postrzegano, z wszystkimi wynikającymi z tego przywilejami i uznaniem... „Co wspólnego

z tym wszystkim, o czym usłyszał, miało jego opowiadanie?" - zapytał znów sam siebie, idąc z wiatrem w dół ulicy. Kiedy doszło do - 60-

tamtym wydarzeń, miał szesnaście lat, a Alberto Marqués dobiegał pięćdziesiątki. Wtedy wszystko kręciło się wokół tego pierwszego opowiadania i myślał, że umrze ze szczęścia, podczas gdy Alberto Marqués święcił sukcesy, żył przyzwyczajony do aplauzów, pochwał i gratulacji, które pewnego dnia zostały mu odebrane, bo zarówno on sam, jak i jego dzieło nie spełniali określonych parametrów, jakie nagle zostały uznane za niezbędne. Co musiał czuć ten człowiek o diabolicznym wyglądzie i niewyparzonym języku, patrząc, jak odbierają mu to, co ukochał najmocniej, co znał i potrafił robić najlepiej, wiedząc, że milczenie, na jakie jest skazywany, może trwać wiecznie? Conde próbował sobie wyobrazić Marquésa w tamtym czasie, ale podobnie jak nieraz w przeszłości wyobrażał sobie wschody słońca w mijanych pałacach, i teraz zawiodła go wyobraźnia, nie potrafił, brakowało mu doświadczenia. Pamiętał jednak swój wstyd, pierwsze ukłucie wściekłości, którą poczuł w wieku szesnastu lat, i pomyślał, że musiałby pomnożyć ją przez sto, wówczas może mógłby się zbliżyć do rozmiarów frustracji wtłoczonej w cztery ściany miejskiej biblioteki. Czy stanowił aż tak wielkie zagrożenie, żeby nakładać na niego tak niewspółmierną karę i dokonać artystycznej kastracji? Zwłaszcza że dziesięć lat później oznajmiono mu, że był to strategiczny błąd, niezrozumienie ze strony bezimiennych ekstremistów, o których dziś nikt nie pamięta? Nowa ideologia, nowa edukacja mas, nowy mózg nowego człowieka były narażone na zanieczyszczenie i mogły ulec zniszczeniu w wyniku działalności osobników pokroju Alberta Marquésa? Czy może bardziej szkodliwa była oportunistyczna literatura tworzona przez jego byłego kolegę Mikiego Śliczną Bużkę, gotowego w każdej

chwili zaprzedać pisarstwo, a przy okazji wylać żółć na każdego, kto pisał, malował albo tańczył, kto zwyczajnie miał talent? Nie, nie było porównania, świat, nawet jeśli szary, nie mógł nabrać kolorów proponowanych przez Mikięgo, którego nie nazywano już Śliczną Buźką. Conde zrozumiał, że historia ta sprawia, iż on sam jest jeszcze bardziej nijaki, niż dotąd sądził. Zrozumiał też, że pomimo niechęci do pedalstwa Alberta Marquésa, odczuwa cichą solidarność z tym buntownikiem, że zbliża go ona do dramaturga. Przez moment pożałował nawet, że może znaleźć na niego haka, 61 -

powiązać go z morderstwem, a w konsekwencji, z całym tym jego pedalstwem, frustracją, dumą i brzydotą zamknąć go w więzieniu, gdzie z jego poślądków zrobią donicę, a usługi sodomitów, choć nie z zaskoczenia, będą gratisowe... Wreszcie dotarł do morza...

- Wyciągnij z niego wszystko, bądź twardy, a jeśli będzie trzeba, wsadź mu palec w oko - przekazał Manolowi po tym, jak wyjaśnił mu, kim jest Salvador K. i poinformował o planowanej wizycie u malarza. Zanim go zobaczył, Conde wyrobił już sobie pewne wyobrażenie o tym człowieku: gość trochę ponad czterdziestoletni, jakieś sto kilogramów wagi, masa, która opierała się na dwóch równie ogromnych stopach, być może rozmiar dziewięć. Ramion nie powstydzilby się sam kulturysta, wyglądały jak stworzone do zaciśnięcia jedwabnej szarfki i uduszenia człowieka. Walka z nimi nie miała sensu.

Policjanci siedzieli w pokoju i zgodnie z przyjętą strategią odmówili poczęstunku wodą, herbatą, nawet kawą. Nie, ani kropli żadnego płynu.

Salvador K. sprawiał wrażenie podenerwowanego i usiłował zrobić dobre wrażenie na policjantach.

- Chodzi o kontrolę, czy tak?



- Nie, nie - odparł Manuel Palacios i usiadł na skraju fotela. Condemu podobał się agresywny styl jego rachitycznego podwładnego. - Chodzi o coś poważniejszego i wie pan o tym. Chce pan porozmawiać tutaj, czy przeniesiemy się w inne miejsce?

Malarz uśmiechnął się nerwowo. Robi w gacie, odpowiedziało Condemu doświadczenie.

- To znaczy o czym...?

- Dobra, zatem zostajemy tutaj. Co łączyło pana z Alexisem Arayánem?

Jako że mężczyzna nie przypadł mu do gustu, Conde ucieszył się, gdy zauważył, jak delikatny uśmiech, ten grymas nadziei, znika z twarzy Salvadora K.

- Znam go - powiedział, starając się zachować resztki godności. - Z Archiwum Dóbr Kulturalnych. Dlaczego pan pyta?

- 62-

- Z dwóch powodów. Pierwszy to taki, że wczoraj Alexis Arayán został zamordowany. Drugi, bo powiedziano nam, że byliście bliskimi przyjaciółmi.

Malarz próbował się podnieść, ale dał za wygraną. Ewidentnie nie miał opracowanego planu działania, a może rzeczywiście był zaskoczony.

- Został zamordowany?

- Zeszłej nocy, w Lesie Hawańskim. Został uduszony.

Malarz spojrzał w głąb mieszkania, jakby oczekiwał, że nagle ktoś się stamtąd wyłoni. Conde zawiesił wzrok na Salvadorze i przyszło mu do głowy pytanie, ale chwilowo wstrzymał się z jego zadaniem.

- Jest pan pewien, że chce rozmawiać o tym tutaj?

- Ależ tak, czemu nie?... A więc został zabity. Ale co ja z tym mam wspólnego?

Manuel Palacios pozwolił sobie na uśmiech.

- Słuchaj, Salvador, sprawa jest bardzo delikatna, niektórzy twierdzą, że między wami było coś więcej niż tylko przyjaźń.

Tym razem wstał. Wyglądał na mocno urażonego, muskularne ramiona napięły się.

- Słucham? Że co pan powiedział?

- To, co pan słyszał. Mam sformułować pytanie jaśniej? Otóż chodzi pogłoska, że utrzymywaliście relację homoseksualną.

Malarz próbował sprostać gromadzącym się nad jego głową chmurom.

- Wypraszam sobie...

- Dobrze, niech pan sobie wyprasza, proszę wyjść na ulicę i wykrzyzczyć to publicznie, ciekawe, co panu odpowiedzą.

Salvador zdawał się przez chwilę zastanawiać nad propozycją, ale w sumie pomysł nie spodobał mu się. Mięśnie rozluźniły się i ponownie zasiadł na swoim miejscu.

- Banda zazdrośników. To plotki, pomówienia, banda frustratów...

- Jasne, to pewnie o to chodzi... Tylko że Alexisa znaleziono martwego w przebraniu kobiety - powiedział Manuel Palacios i nie dając Salvadorowi czasu na reakcję, przeszedł do dalszego ataku. - Kiedy ostatni raz pan go widział?

- 63-

- Wczoraj rano, w Archiwum. Miałem kilka obrazów na sprzedaż. Przebrał się za kobietę?

- O czym rozmawialiście? Niech sobie pan przypomni.

- O obrazach. Nie spodobały mu się za bardzo. Taki był, pakował się w różne historie, może dlatego go zabili.

- A o tej waszej historii co nam pan powie?

- Że to jakaś kalumnia. Niech ktoś przyjdzie i powie mi prosto w twarz, że mnie widział...

- To będzie trudne, racja. W takim razie zaprzecza pan, że pozostawał z Aryanem w bliższym kontakcie?
- Oczywiście, że zaprzeczam - powiedział. Zdawał się odzy-skiwać pewność siebie.
- Jaką ma pan grupę krwi?  
Pewność siebie zniknęła. Conde spojrział spod oka na Palaciosą. On nie zapytałby o to w tym momencie. Zdecydowanie Manuel Palacios był sprawniejszym przepytującym.
- Szczerze mówiąc, nie wiem - odpowiedział i rzeczywiście wyglądał na zaskoczonego.
- Proszę się nie martwić, bez problemu możemy to sprawdzić w szpitalu. Do którego pan należy?
- Do tego na rogu Siedemnastej i J.
- Nie widział się pan z nim w nocy?
- Powiedziałem już, że nie. Ale co ma z tym wszystkim wspól-nego moja grupa krwi?
- A gdzie był pan wczoraj między dwudziestą a północą?
- Malowałem, w studio przy Dwudziestej Pierwszej i Osiem-nastej. Niech pan posłucha, ja o niczym nie wiem...
- Aha, czy ktoś może to potwierdzić?  
Salvador utkwiał wzrok w podłodze, jakby próbował złapać punkt zaczepienia, który raz po raz oddalał się od niego. Strach i zagubienie zdominowały jego postać. Były równie widoczne jak jego mięśnie.
- Nie wiem, czy ktoś mnie widział. Nie wiem, tylko ja tam pracuję, przyszedłem do studia około osiemnastej i pracowałem do północy, jakoś tak.
- I nikt pana nie widział. Co za pech!
- 64-
- To jest garaż - próbował wyjaśniać dalej - znajduje się obok

budynku, jeśli nikt nie parkuje w tym miejscu...

- Dwudziesta Pierwsza i Osiemnasta są położone w pobliżu Lasu Hawańskiego, prawda?

Mężczyzna nie odpowiedział.

- Posłuchaj, Salvadorze - wtrącił się Conde. Pomyślał, że to dobry moment, by skierować rozmowę na inny tor. - Co oznacza to K.?

- Moje nazwisko brzmi Kindelän, dlatego podpisuję się jako Salvador K.

- Logiczne. Inna rzecz, o którą chcę zapytać: jest tu sporo reprodukcji znanych obrazów, ale żaden z nich nie jest pańskim dziełem. Czy nie jest to trochę dziwne?

Na twarzy malarza wreszcie pojawił się uśmiech. Wyglądał, jakby odzyskał równowagę, i głośno westchnął.

- Nie słyszał pan nigdy anegdoty o przyjaciółach Picassa, którzy przyszli do niego do domu na obiad i nigdzie nie mogli dostrzec ani jednego obrazu malarza? Jeden z nich pyta mistrza: Dlaczego nie ma tu ani jednego twojego dzieła? Na co Picasso odpowiada: Nie mogę sobie pozwolić na taki luksus. Obrazy Picassa są bardzo drogie...

Conde w ślad za Salvadorem wysilił się na uśmiech.

- Rozumiem, rozumiem... Jeszcze jedno pytanie, jeśli można. Słyszałem, że Alexis był katolikiem. Wie pan może, czy praktykował, czy bywał w kościele?

- Tak, myślę, że tak.

- A wczoraj, gdy go pan widział, albo któregoś innego dnia, wspominał może coś o święcie Transfiguracji?

Malarz spuścił wzrok, udawał, że sili się na wysiłek. Conde był przekonany, że zastanawia się nad najtrafniejszą odpowiedzią.

- Nie wiem, nie przypominam sobie. Ale pamiętam, że miał

wczoraj z sobą w biurze Biblię... Ale jaki to ma związek?

- Zwykła ciekawość policjanta... Ach, Salvadorze, jeszcze coś, jak pan myśli, czemu wczoraj przebrał się za kobietę?

- A skąd mam wiedzieć... I dlaczego powinienem wiedzieć coś na ten temat? Mówiłem już, że to plotki...

- 65-

- Dobrze, jasne, nie musi pan nic wiedzieć. No, to na dzisiaj wystarczy - podsumował Conde, zupełnie jakby całe to spotkanie mocno go zmęczyło. Bardziej niż przesłuchiwany, najbardziej zaskoczony nagłym przerwaniem przesłuchania był sierżant. Conde, podnosząc się, mruknął coś, podkreślając znużenie, i spojrzał w oczy malarzowi. - Jeszcze tu wrócimy, Salvadorze, bądź tego pewien, i lepiej, żeby wszystko się zgadzało, bo coś jest na rzeczy. Do widzenia.

Malarz coś jeszcze mówił, gdy wyszli na ulicę i wsiedli do samochodu. Sierżant Manuel Palacios zapalił silnik i ruszył gwałtownie, skręcając w pierwszą ulicę za rogiem.

- A więc Transfiguracja... Dlaczego wyszliśmy, Conde? Nie widziałeś, że już go miałem?

Conde zapalił papierosa i opuścił szybę.

- Zwolnij, zwolnij - nakazał sierżantowi i dorzucił: - Na co liczyłeś, że koleś przyzna się, że jest sodomitą, który wykorzystuje innego do sprzedawania swoich obrazów, a wczoraj postanowił go zabić, bo ten mu powiedział, że jego obrazy nie są warte funta kłaków? Kurwa, Manolo, wyciągnąłeś od niego, co trzeba było, i więcej się już nie dało... Niech teraz sprawdzą krew i zajrzą do Archiwum i do tego studia przy Dwudziestej Pierwszej i Osiemnastej, zobaczymy, czy ktoś go tam widział wczoraj w nocy. Powiedz w Centrali, żeby dali ci kogoś do pomocy, najlepiej Crespa i Greca, i odwieź mnie do domu, muszę przeczytać jedną książkę.

Położ się wcześniej, bo jutro jedziemy się zobaczyć z Faustinem Arayānem i jeszcze jakimś dziesięcioma osobami... Zdradzić ci coś? Jesteś lepszym gliną ode mnie... Szkoda tylko, że jesteś taki chudy i czasami zezujesz.

Conde zorientował się, że czyta tekst, jakby miał na sobie maskę, którą nosił Alexis Arayān. Uświadomił sobie, że nie chodzi mu jedynie o odkrycie tajemnicy tej śmierci, ale że chce czegoś więcej, ponownego spotkania z Albertem Marquesem. Treść każdego akapitu tej książki była bronią, jakiej miał użyć w pojedynku na słowa z artystą. Każda nowa idea pozwoli się zbliżyć do niego,

- 66-

zrówna szanse w dialogu, umożliwi wykazanie się wiedzą i doprowadzi do sedna tej plugawej historii, która w końcu zaczynała go fascynować tak, jak lubił to najbardziej: jako wyzwanie dla inteligencji. Jako policjant nabrał złych przyzwyczajęń, wydawało mu się, że posiada na wszystko gotowe odpowiedzi, na każdym kroku dopatrywał się odzwierciedlenia własnych obsesji. Historia martwego transwestyty zawierała wszystkie składniki, które mogły go zwabić i pociągnąć za sobą, do samego końca. Dlatego twarz Alexisa Arayana, fałszywej kobiety, jawiła mu się jako graficzne dopełnienie transformizmu i cielesnej autokreacji opisanych przez Recia, dzięki któremu wiele rzeczy stawało się dla Condego jasnych. Transwestytyzm był czymś o wiele bardziej fundamentalnym i biologicznym, aniżeli tylko zwykłym aktem pedalstwa i ekshibicjonizmu, potrzebą wyjścia na ulicę w przebraniu kobiety, jak to postrzegał w głębi swej prostolinijnej męskości. Choć tak naprawdę nigdy nie uważał, że przebieranie się ma jedynie pomóc w skuteczniejszym podrywie. No bo kogo to miało podrywać? Tak zwani prawdziwi mężczyźni, spoceni heteroseksualiści z zarośniętymi klatami piersiowymi nigdy dobrowolnie nie poszliby do

łóżka z transwestytą: z kobietą owszem, ale nie z tanią podróbką kobiety, której natura nie obdarzyła nadto łaskawie w cielesne otwory. Pasywny homoseksualista z kolei wybrałby towarzystwo mężczyzny-prawdziwego samca, z jakiegoś powodu był w końcu homoseksualistą, i do tego pasywnym. Natomiast homoseksualista aktywny, ukryty w ciele mężczyzny prawdziwego samca - pospolicity sodomita - nie potrzebuje ekstrawagancji, nierzadko plugawej, żeby obudzić w sobie wyuzdany instynkt i dokonać penetracji per angustam viam.

Książka w filozoficzny sposób starała się wyjaśnić tę zagadkę. Problem, jak wierzył Conde, polegał nie na byciu, lecz sprawianiu wrażenia; nie chodziło o akt, a o przedstawienie; nie o cel, ale środek jako cel sam w sobie - zakładanie maski dla samej przyjemności jej noszenia, ukrywanie się jako wyraz wyższej prawdy. Dlatego wydała mu się logiczną identyfikacją transwestytyzmu ludzkiego i kamuflażu zwierząt nie z potrzebą przebrania w celach łowieckich lub obronnych, ale ze spełnieniem marzenia, jakie od zawsze - 67-

prześladowało człowieka: móc zniknąć. Bo nie było, koniec końców, prawdopodobne, żeby ta zmiana formy miała na celu jedynie schwytanie ofiary-samca, jak działo się to w przypadku niektórych owadów, które przybrawszy barwę pięknych i apetycznych kwiatów, zastawiały śmiertelną pułapkę na ulegających ich czarowi. Nie chodziło także o to, by maska dodawała grozy, odstraszała potencjalnych agresorów. Przeciwnie, chodziło o chęć założenia maski i zlanie z otoczeniem, o zanegowanie samej negacji i przyłączenie do plemienia kobiet, które przecież specjalizują się w zmianie wizerunku, co często prowadzi do jakże groteskowych efektów.

Ale jeśli chęć zniknięcia stanowiła ostateczny powód przemiany mężczyzny w kobietę, praktyczny rezultat tych działań, jak po-

kazało wiele analogicznych przykładów w świecie zwierząt, był ostatecznie skazany na demaskację - nie można ukryć wystającego jabłka Adama, dłoni, które rozmiarem przerastają największe dłonie kobiece, wąskich bioder, niezdolnych wydać na świat potomka...

W książce przywołano badania, jakie prowadzono w ciągu czterdziestu siedmiu lat, wskazujące, że w żołądkach ptaków znajdowano szczątki ofiar, które próbowały maskować tożsamość, jak również takich, które nie uciekały się do kamuflażu. A zatem przebranie okazywało się bezużyteczne, nie spełniało zadania i nie gwarantowało bezpieczeństwa? Recio wyciągał wniosek, powołując się na kogoś, kto najwyraźniej wiedział na ten temat dużo więcej niż on, że transwestyta potwierdza jedynie, iż „wśród istot żywych można zauważyć skłonność do zmiany, przebierania dla samego przebrania, przybrania postaci kogoś innego, co da się udowodnić, bezdyskusyjnie, i co nie przekłada się na żadną potrzebę biologiczną, jaka wynikałaby ze współzawodnictwa między gatunkami albo z selekcji naturalnej". W takim razie, z czego, u licha, wynikała? Czy chodzi jedynie o zwykłą grę pozorów? Nie, jasne, że nie. Ale czy to zupełny przypadek, że transwestyta katolik, który na dodatek nie był wcale transwestytą, przebiera się dokładnie w dniu Transfiguracji? „Też nie, za bardzo to wszystko dopracowane" - myślał Conde, zamykając książkę i spoglądając w okno, z którego było widać stary angielski zamek z białych kamieni, pokryty czerwonymi dachówkami z Chicago, wznoszący się naprzeciwko kamieniołomów, na 68 -

najwyższym wzgórzu w dzielnicy. Nagle przypomniał sobie Indianina Luisita, jedyne w dzielnicy zdeklarowanego pedzia z jego pokolenia. Pamiętał, że Luisito był traktowany jak trędowaty przez baseballowych wyjadaczy, wśród których wychował się Conde. Łajza i popychadło - tak na niego wołali. Nikt go nie kochał, nikt



nie akceptował, nieraz obrzucono go kamieniami, a jego matka, Mulatka Domitila, wybiegała wtedy z miotłą w ręce na pomoc synowi, przeklinając matki, ojców i wszystkich przodków młodocianych agresorów. Okrucieństwo przejawiało się też w nadawaniu przeróżnych przezwisk - Luizka, to było pierwsze i utrzymało się najdłużej; Luisito Kaczor; Gumowy Tyłeczek (nawiązanie do obfitych pośladków, wręcz stworzonych do używania sobie); albo Cynamonowy Kwiat, z racji ciemniejszego odcienia skóry. To było ciągle urąganie i wyrzucenie poza nawias historii, kulturowo zdekretowane od niepamiętnych czasów. „To jego wina; jak chce być taką panienką, to niech ma” - mówiono, a matki zakazywały swoim dzieciom zadawać się z dziwadłem, wynaturzonym i perwersyjnym, ofiarą najgorszej zarazy, jaką można sobie wyobrazić. Conde wiedział jednak, że niejeden z tych, którzy za dnia rzucali w niego kamieniami i potępiali go, nocami doświadczał innego typu stymulacji seksualnej pomiędzy niefrasobliwymi pośladkami Luisita: po tym, jak zdążyli już poeksperymentować z kózkami i świnkami, zabierali się do penetracji ciemnego tunelu Luisita w nie mniej mrocznych zakamarkach kamieniołomu. A jako że żaden z nich nigdy nie przyznał się do pocałunków ani czułości rozgrzewających grę wstępną („No stary, to już jest prawdziwe pedalstwo” - argumentowano podczas rozmów), wszyscy, którzy oddawali się tym praktykom, twierdzili, że ich relacja z Luisitem świadczy o ich męskości, której koniec stanowi czubek penisa... Luisito - tak; oni - nie: jakby homoseksualizm dotyczył tylko przyjmowania cudzego ciała, jak dzieje się to w wypadku kobiet. Później, kiedy poznajdywali sobie narzeczone i przestali całymi dniami grać w baseball oraz prześladować dzielnicowego niedojdę w osobie Luisita, zapomnieli o nim, a on zapomniał o nich. Wtedy przeniósł się w okolice La Rampa i El Prado, gdzie wraz

z innymi jemu podobnymi powoli i apatycznie przechadzał się

69 -

w oczekiwaniu namiętnych przygód. Aż nadszedł rok 1980, kiedy to dzięki swojemu statusowi homoseksualistów i wyrzutek społecznych otrzymali oni wszyscy pozwolenie na opuszczenie wyspy z portu Mariel i bez utrudnień wyruszyli na promach do Stanów Zjednoczonych. Ostatnią związaną z Indianinem Luisitem pamiątką, jaką posiadał Conde, były dwa zdjęcia krążące po dzielnicy, na których była uwieczniona jego postać. Wyglądał na nich, jakby pochodził z dwóch różnych epok, niczym Charles Atlas na swoich fotografiach: jedno ukazywało go siedzącego na błyszczącym fotelu, równie przegiętym jak on sam: Luisito i różowo-perłowy fotel, wymodelowane brwi, natapirowane włosy; drugie siedzącą na tym samym fotelu przygrubawą Mulatkę, niezbyt urodziwą, noszącą imię Louise Indira, kobietę, w jaką przy interwencji chirurgicznej przemienił się jedyny znany dzielnicy pedał jego pokolenia. Conde zastanowił się, czy Indianin Luisito opierał swój homoseksualizm, a potem nieodwracalną transfigurację, na jakichś fundamentach filozoficznych lub psychobiologicznych. A może najzwyczajniej od najmłodszych lat fascynowało go noszenie dziewczęcych ubranek i bawienie się lalkami, które z upływem czasu przemieniło się w potrzebę wprowadzania różnych rzeczy w odbyty?

Conde odwrócił wzrok od okna i porzucił myśli zaprzatające mu głowę, kiedy poczuł, jak żołądek drapieżnie buntuje się przeciwko zastalemu pustostanowi. Zbliżał się wieczór, a on przez cały dzień nic nie miał w ustach, nic poza dwiema niezbyt świeżymi rybami, które wygrzebał na dnie zamrażalnika. Spojrzał na zegarek: dochodziła dwudziesta, i postanowił zadzwonić.

- Jose, to ja.

- A któż by inny, Condziku.

- Staruszko, jeść mi się chce.
- I dlatego postanowiłeś zadzwonić do mnie o tej porze? Zawsze to samo... Ale tym razem masz fart, dzisiaj zaczęłam później, bo mi się co nieco pokomplikowało. Zaczekaj, niech pomyślę.
- Cokolwiek.
- Zamknij się, myślę. Mam smażoną fasolę i właśnie ugotowałam ryż... Zbieraj się i przychodź, mam pomysł.

70 -

- Wiejska micha - ogłosiła Josefina, a w jej oczach błysnęła duma i satysfakcja, jaką musiał mieć w oczach Archimedes, kiedy wychodził z wanny.

Chudy Carlos i Conde, jak dwaj uczniacy, przysłuchiwali się wyjaśnieniom kobiety. Element zaskoczenia stanowił część ich rytuału: niemożliwe stawało się możliwe, a marzenia przemieniały się w rzeczywistość, pragnienie, wspólne wszystkim Kubańczykom, by coś zjeść, przekraczało granicę urealnienia wyznaczaną przez przydziały, kartki i wieczny brak wszystkiego, a to dzięki magicznym trikomi, jakie tylko Josefina była w stanie wykonać.

- Mój wuj Marcelo, który, jak wiecie, był marynarzem, zakochał się pewnego razu w Cartagena de Indias i na parę lat zamieszkał w Kolumbii. Jego wybranka pochodziła ze wsi, jak to mawiają w Medellin, i nauczyła go przyrządzać wiejską wyżerkę, typową, jak mówi Marcelo, znaczy się, jak mawiał, świeć Panie nad jego duszą, dla regionów wiejskich. No i miałam już, jak zadzwoniłeś, przyszykowaną fasolę, pomyślałam i wpadła mi do głowy myśl: eureka, wiejska micha, no i kiedy fasola była gotowa, dorzuciłam ćwierć kilo siekanego mięsa, żeby się podgotowało w wywarze, rozumiecie? Potem podsmażyłam skwarki, grubiutkie i tłusciutkie, kilka dojrzałych bananów, po jajeczku na głowę, ale tylko dla was, bo mój woreczek żółciowy nie za bardzo lubi takie rzeczy

o tej porze, do tego kiełbasa, troszkę wołowinki, no i oczywiście sporo czosnku i cebuli, a do ryżu dodałam trochę słoninki, żeby dobrze zmiękł. Możecie to jeść osobno albo nałóżcie sobie na ryż.

Jak wolicie?

- Tak i tak - powiedzieli jednocześnie, a Conde stanął za wózkiem, na którym siedział Carlos. Podążając za matką Chudego, ruszyli w stronę jadalni z powagą, jaka towarzyszy wizytom w miejscach bardzo, bardzo świętych.

- Jose - zawołał kobietę Conde, przełykając fasolę z mięsem - uratowałaś mi życie.

- Staruszko - powiedział Carlos i wyciągnął dłoń, by pogłaskać rękę matki - zdobyłaś bazę. Wymięka mi podniebienie... Od dziś zostaję miłośnikiem wsi, przysięgam.

- Najgorsze, że mam tylko sześć piwek...

71 -

W trakcie kolacji Conde poczuł się zobowiązany opowiedzieć coś więcej o swojej nowej sytuacji zawodowej, czasowym zawieszeniu kary i nowej sprawie, nad którą pracował. Był to kolejny z ich rytuałów: Conde przedstawiał Chudemu i Josefinie historię w rozdziałach, dzień po dniu, aż do rozwiązania.

- To straszne, co mówisz, Condziku.

- A więc ten gość, to znaczy się ta babka nie kiwnęła palcem, nie szarpała się, nic? Ejże, nie uwierzę w to, co ty na to?

- A ten malarz... Miał kobietę i w ogóle, horror po prostu. Za moich czasów takie rzeczy się nie działy... Nie rozumiem tylko, po coś w całą tę historię wsadził Jezusa Chrystusa.

Conde uśmiechnął się, oblizując palce ubabrane w tłuszczu ze skwarków. Potem wytarł usta serwetką i zapalił papierosa, pociągawszy uprzednio długi łyk z drugiej butelki piwa.

- Słuchaj, Chudy - powiedział w końcu - masz jeszcze ten

egzemplarz La Viboreña

- No pewnie.
- Pożyczylbyś mi go.
- Nie ma sprawy, ale przegładasz na miejscu.
- Nie pieprz głupot, wezmę z sobą.
- Chyba śnisz. Sam go wyrzuciłeś, a ja wyciągałem ze śmieci.
- Przysięgam na twoją matkę, że nic mu się nie stanie - obiecał

Conde i uśmiechnął się, złożył palce w znak krzyża, i Josefina też się uśmiechnęła, bo zadowolenie na twarzy jej niepełnosprawnego od dziesięciu lat syna i tego wiecznie głodnego i zafrapowanego mężczyzny, który był dla niej niczym drugi pierworodny, były jedynym szczęściem, jakie jej zostało na tym świecie, gdzie woreczki żółciowe nie pracowały jak trzeba i działo się tyle przerażających rzeczy. Szczęście wydawało się przynależeć do przeszłości, kiedy jej syn i Conde zamykali się na całe popołudnia w pokoju, żeby się uczyć i słuchać muzyki, a ona wyobrażała sobie, że któregoś dnia dom zapelni się wnukami, Carlos powiesi na ścianie w pokoju dyplom inżyniera, a Conde podaruje jej swoją pierwszą wydaną książkę, wszystko będzie jak należy, naturalna kolej rzeczy, jak to w życiu. Mimo iż wiedziała, jak bardzo rzeczywistość zweryfikowała jej marzenia, nie przestała się uśmiechać i oznajmiła:

72 -

- Przygotuję kawę - i wyszła z pokoju.
- Słuchaj, Conde, dzisiaj popołudniu zadzwonił do mnie Andres.

Pytał o ciebie.

- Co tam u niego?
- Mówi, że w szpitalu się pokomplikowało, jutro wpadnie pogadać.
- W takim razie przekaz mu ode mnie, żeby kupił flaszkę, nie?

• Policjant dokończył drugie piwo i zapatrzył się w ciemność rysującą się za oknem. Jego żołądek, ciało, umysł były przyjemnie zmęczone, mózg się rozluźnił i Conde czuł, że dotyka krawędzi, za którą znajduje się miejsce na szczerłość i sentymentalizm, jakie towarzyszyły jego spotkaniom z Chudym Carlosem. Wszystkie tarcze, zbroje, hełmy czy maski, jakie zwykł przywdziewać - jak każdy bezbronny owad - poruszając się po tym świecie, rozbijały się o ziemię. Lekkość ducha, potrzebna i upragniona, zastępowała strach, zapobiegliwość i wygodne kłamstwa, znoszone jak para blue jeans czekających z niecierpliwością na wypranie. Po chwili powiedział:

- Nie mogę wyrzucić z głowy tej historii o Transfiguracji... Wiesz, że wciąż pamiętam chwilę, kiedy usłyszałem o niej po raz pierwszy? Poza tym, Chudzielcu, muszę ci powiedzieć, że zaczynam mieć ochotę pisać.

- O kurwa! - krzyknął Carlos i uderzył w stół pięścią wieńczącą ramię boksera wagi ciężkiej. - Co to się porobiło? Czyżbyś się zakochał?

- Oby!

- Oby! - powtórzył drugi i spojrzał z niedowierzaniem na butelkę po piwie: kurna, jak to się stało, że zdążył już opróżnić następną? Conde ze spokojem czekał na słowa, jakie miał zaraz usłyszeć. - Brachu, bujnij się po butelkę rumu, musimy to oblać.

- Dwadzieścia osiem lat - podliczył Conde.

Wypowiedział te słowa na głos, bo po prostu nie mógł w nie uwierzyć. Musiał aż posiłkować się palcami, sumując zawyżony 73 -

rachunek, który wystawił mu czas, ale niestety wszystko się zgadzało. Zaczęło to do niego docierać i ogarnęło go przerażenie na myśl o tym, co zostało utracone i czego nie można było już po-

wtórzyć. Wtedy czas odzyskał surowość i stał się realny, jak ból, którego źródło lokuje się w okolicach żołądka i przesuwają w stronę klatki piersiowej. Była przy nim jego matka, z białą chustą upinającą te jej jakże ciemne włosy, ubrana w lnianą sukienkę - czy rzeczywiście lnianą? - zmiękczoną wodą ze startą juką, w jakiej moczyła ją przed wyprasowaniem, i poczuł pod palcami konsystencję niebieskawego, przypominającego ślinę krochmalu, a potem sztywność materiału poddanego procesom prasowania i krochmalenia; jak wtedy, gdy mieli wejść do kościoła, a matka objęła go mocno, uczucie, którego nigdy nie zapomni. „Kiedyś będziesz świętym” - mówiła do niego. „Jesteś moim najukochańszym synkiem” - zapewniała, i poczuł jak czystość bieli ubrań, które oboje mieli na sobie tamtego niedzielnego poranka, przesywa najskrytsze zakamarki jego duszy: „Jestem nieskalany” - pomyślał, krocząc ku pierwszemu rzędowi ławek, żeby wysłuchać mszy celebrowanej przez ojca Mendozę, i przyjąć, wreszcie, tę nieco większych rozmiarów tabletkę, której smak, pamiętający zamierchłe epoki, powinien odmienić jego życie. Czując, jak osiada na języku, wiedział, że oto staje się członkiem uprzywilejowanego klanu, należy do tych, którzy mają prawo do zbawienia, pomyślał i łypnął okiem na matkę, a ona uśmiechnęła się do niego, jakaż piękność w białym stroju sprzed dwudziestu ośmiu lat.

Ojciec Mendoza przeniósł się z ołtarza pamięci do drzwi rzeczywistości, w które dwukrotnie zapukał Conde. Mimo iż ich duchowe stosunki nie powróciły do stanu z tamtej niedzieli, stanu nigdy nie odzyskanej niewinności, ksiądz i duchowy dysydent utrzymywali stosunki pełne wzajemnej uprzejmości, a kapłan upierał się, by widzieć w Condem mistyka bez wiary, zaś ten z kolei postrzegał ojca Mendozę jako przebiegłego starca, gotowego zrobić wszystko, żeby pozyskać - lub odzyskać - kolejnego wiernego. Przez lata

ich rozmowy, jeśli miały miejsce, odbywały się jednak na ulicy, w wyniku przypadkowych spotkań, ponieważ Conde nigdy nie przestąpił ponownie progu kościoła w dzielnicy, nie odwiedził

74 -

także przylegającego do niego domu zamieszkanego przez kapłana, gdzie pobierał pierwsze nauki katechizmu, konieczne, by przystąpić do komunii i dostąpić świętości oraz życia wiecznego.

- Boże najświętszy, czyżby stał się cud? - powiedział ojciec Mendoza, gdy jego przekrwione od niewyspania i pokryte mgłą upływu lat oczy ujrzały porannego gościa.

- Czas cudów już minął, ojcze. Jak się mamy?

Twarz księdza rozpromieniała, kiedy Conde przekroczył próg domu i skierował się w stronę salonu.

- Zawsze jest czas na cuda. U mnie stara bieda i ruina, sam widzisz.

- Widzę, ale nie jest tak źle. Starzejemy się wszyscy tak samo.

- Ale ja mam jakieś czterdzieści lat więcej niż ty. Co się stało? Przybywasz wyznać nieskończoną liczbę grzechów?

Conde usiadł na drewnianej sofie z pokryciem z trzciny, pamiętając, że jej wysokie oparcie było jedynym dobrem doczesnym, którego kapłan był gotów bronić do upadłego. Ksiądz zajął miejsce w fotelu i zaczął kiwać się radośnie.

- Niech ojciec nie zachodzi w głowę, decyzja sprzed lat została powzięta raz na zawsze.

- To właśnie największy twój grzech, Condziku: arogancja.

A drugi, co jak co, ale ja już swoje wiem, to, że czujesz lęk przed samym sobą... Wiesz dobrze, że któregoś dnia upadniesz...

- Niech ojciec nie będzie taki pewny. Wie ojciec, ile to już minęło czasu, od kiedy ostatni raz tu mnie widziano?

- Dwadzieścia osiem lat - odpowiedział ksiądz bez namysłu,



a Conde pomyślał, że strzelał i przypadkiem trafił.

- Dokładnie dwadzieścia osiem, ale proszę faktu mojej obecności nie przypisywać cudom.

Ksiądz uśmiechnął się ponownie.

- Nie masz się co martwić, nie z twojego powodu pamiętam to tak dokładnie... W dniu, kiedy przystępowałeś do pierwszej komunii, zmarł mój ojciec. Dowiedziałem się o tym dziesięć minut przed mszą. Była to najgorsza msza, jaką prowadziłem w życiu, albo najlepsza, jeszcze nie postanowiłem. I był to też ostatni raz, kiedy pojawiła się u mnie wątpliwość w dobroć Boga.

75 -

- Dlaczego tamtego dnia mówił ojciec o Transfiguracji?

Ksiądz prawie zamknął oczy, jakby potrzebował zajrzeć w głąb siebie.

- Nie ja jeden pamiętam tamten dzień, prawda?

- Prawda - przyznał Conde.

- Chwileczkę, pozwól się zaprosić na kawę. I pozwól, że zaznaczę, iż nie każdego zapraszam na kawę. Jeszcze tego by brakowało, codziennie mam tu ze dwudziestu petentów i jeszcze nie opanowałem dokonywania cudu rozmnożenia paczki kawy, jaka przysługuje mi na kartkę...

Ksiądz Mendoza zerwał się z fotela, jakby niesiony siłą odśrodkową wywołaną w wyniku bujania, i Conde z podziwem ocenił witalność starego duszpasterza. Przyjrzał się wnętrzu domu, na drewnianych ścianach widniały różne sceny drogi krzyżowej - znajdowały się na nich wszystkie upadki - i połyskująca statuetka Archanioła Rafała, replika tej, która znajdowała się w kościele i pod którą zasiadali - dwadzieścia osiem lat temu - chłopcy uczestniczący w katechezie, żeby słuchać lekcji panienci Mercedes i ojca Mendozy. „W pytę” - pomyślał, gdy kapłan wrócił z filiżanką kawy,

za którą jego żołądek, zniszczony alkoholem i brakiem snu, był niezmiernie wdzięczny.

- Palisz jeszcze? - zapytał Condego, który przytaknął. - Poczęstuj mnie jednym w takim razie, dzisiaj mogę sobie pozwolić na małą przyjemność.

Conde wyciągnął dwa papierosy z paczki i podał ogień księdzu, a potem odpalił sobie. Obaj wypuścili dym w tym samym momencie, gęsta chmura spowiła ich postacie.

- Chciałbym z ojcem porozmawiać o Transfiguracji. Zdarzyło się coś, co przypomniało mi o tym zdarzeniu, a nie jestem najmocniejszy z historii biblijnych.

Ksiądz, który tymczasem zdążył wrócić do kołysania się w fotelu, przyjrzał się papierosowi, potem powiedział:

- Wiedziałem, że przychodzisz z intereselem... Wiesz, dlaczego tamtego dnia wspomniałem o Przemienieniu Pańskim?

Conde, zmęczony wahadłowym ruchem ciała swojego rozmówcy, przeniósł wzrok na obraz przedstawiający przybycie na Kalwarię.

76 -

- Naprawdę mam zgadywać?

- Wybacz, starzeję się i głupieję, i dlatego zadaję głupie pytania... Zrobiłem to, bo czułem się bardzo źle, a w tym fragmencie, kiedy Bóg objawia się apostołom, Jezus jak mało kiedy rozumie, co skrywa ludzka dusza, i przemawia do uczniów: „Wstańcie, nie lękajcie się”... A nie każdemu jest dane zrozumienie rozmiaru strachu. A tamtego dnia, możesz sobie wyobrazić, jak nigdy wcześniej bałem się śmierci.

„Po sześciu dniach Jezus wziął z sobą Piotra, Jakuba i brata jego Jana i zaprowadził ich na górę wysoką, osobno. Tam przemienił się wobec nich: twarz Jego zajaśniała jak słońce, odzienie zaś stało się białe jak światło. A oto im się ukazali Mojżesz i Elias, którzy

rozmawiali z Nim. Wtedy Piotr rzekł do Jezusa: »Panie, dobrze, że tu jesteśmy; jeśli chcesz, postawię tu trzy namioty: jeden dla Ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza«. Gdy on jeszcze mówił, oto obłok świetlany osłonił ich, a z obłoku odezwał się głos: »To jest mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie, Jego słuchajcie!«. Uczniowie, słysząc to, upadli na twarz i bardzo się zlekli. A Jezus zbliżył się do nich, dotknął ich i rzekł: »Wstańcie, nie lękajcie się!«. Gdy podnieśli oczy, nikogo nie widzieli, tylko samego Jezusa.

A gdy schodzili z góry, Jezus przykazał im, mówiąc: »Nie opowiadajcie nikomu o tym widzeniu, aż Syn Człowieczy zmartwychwstanie«".

To siedemnasty rozdział z Mateusza. Marek i Łukasz też wspominają o Transfiguracji, ale słuchaj, to dopiero ciekawe, Marek ją widział w ten sposób: „Jego odzienie stało się lśniaco białe tak, jak żaden folusznik na ziemi wybielić nie zdoła”.

Widzisz, Conde, uczeni mówią, że stało się to na górze Tabor, która znajduje się jakieś siedemdziesiąt kilometrów od Cezarei. To taka dziwna góra, wyrastająca z Równiny Esdraelon, króluje samotnie, jakby wyskoczyła spod ziemi albo spadła z nieba. Na płaskowyżu Bizantyńczycy wzniesli bazylikę z dwiema kaplicami, kilka wieków później przebudowaną przez krzyżowców, którzy

77 -

przekazali ją benedyktynom. Po krucjatach muzułmanie przemienili ją w twierdzę obronną w 1212. Ostatnią informacją, jaką na jej temat posiadam, jest to, że w 1924 przyjęła dzisiejszy kształt, z centralnym frontonem i dwiema bocznymi wieżami.

Ważne jednak jest to, że na górze Tabor doszło do pierwszego publicznego objawienia boskiego charakteru Chrystusa. Wtedy jego Ojciec przedstawił go jako Mesjasza. Dlatego też uczniowie

ujrzeli, jak wygląd Jezusa, który musiał dotrzeć tam umorusany po długiej przeprawie przez morze i pustynię, całkowicie się zmienił: jego ubiór, skóra i włosy rozblęły, co w rzeczywistości było następstwem światłości wewnętrznej, koniecznej, by przyjąć objawienie jego ojca. I to wtedy ujawniła się wielkość Jezusa: jako taki, jakim został przedstawiony, czyli postać boska, nie traci właściwości ludzkich i jest w stanie zrozumieć przerażenie uczniów, którzy przybyli tam razem z nim i byli świadkami zdarzenia, które ich przerosło. Wiesz dlaczego? Bo myślę, że Jezus odczuł własny strach, gdy mówił o tym, w jaki sposób zostanie wypełnione jego dzieło: że jego chwała objawi się w zmartwychwstaniu, ale wcześniej będzie musiał przejść przez cierpienie i poświęcenie, czekające na niego na krzyżu, do którego musiało dojść, żeby wielki cud mógł nastąpić. Rozdzierające i piękne zarazem, prawda? Jeśli zatem On się wówczas przeląkł i zrozumiał, czym jest strach, dlaczego nam ma być obce to jakże ludzkie uczucie? Może najbliższe człowiekowi, Conde.

„Antypody” - pomyślał Conde, gotów puścić w zapomnienie biblijne transfiguracje, nadto oddalone od plugawych ziemskich przemian, kiedy patrzył na dom Faustina Arayâna i porównywał go z wilgotną i ciemną jaskinią, w której żył Alberto Marqués i skąd w swoją ostatnią nocną podróż wyruszył transwestyta Alexis. Obie przestrzenie życiowe dzieliła przepaść nie do zasypiania, bez możliwości przerzucenia między nimi mostów, z ugruntowanymi warstwami, obowiązującymi interesami, celami istniejącymi bądź zapomnianymi, przysługami, o jakie proszono lub które wyświadczone, wykorzystanymi albo nie okazjami, jakie oddalały je od

78 -

siebie i różniły, jak światło od mroku, ubóstwo od obfitości, ból od radości. Dokonując żywota, Alexis Arayan zespolił jednak te

niemożliwie dwie przeciwstawności, pochodzenie i przeznaczenie, w jedno.

W chwili, gdy samochód wjechał na Siódmą Aleję w dzielnicy Miramar, oświetlony łaskawym jeszcze o tej wczesnej porze blaskiem sierpniowego poranka, Conde wiedział, że oto wstępuje w inny świat. Świat o obliczu przyjemniejszym, lepiej domyty anizeli druga strona - tego samego przecież - miasta, którą dopiero co opuścili. I teraz, przed domem Faustina Arayana, przymierzał się do konkluzji autorskiego wywodu o antypodach: wnioskował, że pierwotni właściciele okazałego domu z wciąż nienaruszonymi szybami z pewnością także usiłowali zaznaczyć drastyczną różnicę między dwoma światami, z których lepszy - w ich mniemaniu - chcieli uczynić jeszcze doskonalszym poprzez budowę tej posiadłości: nieodzowne burżuazyjne pragnienie osiedlenia się w jednym miejscu... Może w Miami, może w Union City czy gdzie ich nie poniosło - o ile jeszcze, trzydzieści lat później, byli żywi - musieli tęsknić za pięknem budowli, przy której wznoszeniu realizowali swoje marzenia, wydając na nią grubą kasę, gdyż wierzyli, że będzie ona ich na wieczność. Ludzie jednak również się mylą, konkludował Conde, błądząc po labiryncie własnych rozproszonych myśli, wiedział, że gdyby to on był właścicielem takiego domu, chciałby mieć trzy psy biegające po ogrodzie. „A kto zbierałby gówna?” - zapytał sam siebie i odruchowo podniósł nogę, żeby nie wdepnąć w pamiątkę pozostawioną przez psa, co sprawiło, że natychmiast porzucił hodowlane marzenia na rzecz biblioteki, jaką zorganizowałby na drugim piętrze.

Podczas jazdy samochodem przez miasto Conde usłyszał z ust sierżanta Palaciososa kilka niepokojących wiadomości: Salvador K. miał krew grupy AB, tak jak morderca, i nikt w noc zbrodni nie widział go w okolicach jego pracowni, mieszczącej się przy Dwu-

dziesiątej Pierwszej i Osiemnastej, choć owszem, więcej niż jeden raz widziano go, jak wchodził tam w towarzystwie Alexisa Arayana. Z rachunków Condego wynikało, że te nowe fakty wysuwają malarza na prowadzenie wśród podejrzanych.

79 -

Manuel Palacios nacisnął przycisk dzwonka. Służąca otworzyła drzwi.

- Proszę, wejdźcie panowie - powiedziała, nie przywitawszy się, i wskazała na fotele stojące w pokoju. - Zaraz poproszę pana Faustina - dodała, po czym zniknęła, jakby była duchem.

Conde i Manolo spojrzeli po sobie, uśmiechnęli się i spokojnie czekali. Po dziesięciu minutach zjawił się Faustino Arayan.

Miał na sobie guayabere tak białą i uszytą z tak cienkiego materiału, że Conde nie odważyłby się założyć czegoś podobnego nawet na minutę: lśniąca bardziej niż biała, o delikatnych wykończeniach ozdobionych błyszczącą nicią i z markowym znaczkiem, dyskretnym, ale widocznym, wszytym w górną prawą kieszeń. Na spodniach w kolorze perłowej szarości znaczył się zaprasowany ze znanstwem kant, a mokasyny z czarnej gładkiej skóry wyglądały na wygodne i lekkie.

- Dzień dobry - powiedział, wyciągając dłoń: silną, dobrze uformowaną, o różowawym odcieniu, jak cała postać jej właściciela, którego sześćdziesiąt lat ujawniała jedynie łysina, zaokrąglająca błyszczącą, ogromną głowę.

- Przykro nam, że musimy pana nachodzić właśnie dzisiaj, towarzyszu Arayan. Wiemy, że wczorajszy dzień nie był dla pana łatwy...

- Nie ma sprawy, panowie, nie ma sprawy...

- Porucznik Mario Conde - przedstawił się Conde i wskazał na partnera: - A to sierżant Manuel Palacios.

- Jak mówię, poruczniku, nie ma sprawy. Taką ma pan pracę, ja sam też muszę dzisiaj wykonywać swoją, co zrobić, takie życie...

- Dziękuję za wyrozumiałość - powiedział Conde i popatrzył na popielniczkę Granada, czystą, jakby nigdy nie była używana.

- Momencik, pozwolę sobie poprosić o kawę, co panowie na to? - powiedział Faustino Arayan i nie czekając na odpowiedź, zawołał zniżonym głosem: - Mario Antonio.

Murzynka błyskawicznie, jakby tylko czekała na sygnał, zjawiała się z tacą, na której stały trzy filiżanki kawy. „Zręczna bestia” - pomyślał Conde, którego spotkał zaszczyt zostania obsłużonym

80 - jako pierwszy. Po podaniu kawy, kobieta odłożyła na bok tacę i po cichu usunęła się z salonu.

- Można zapalić?

- Tak, oczywiście. Może cygaro? Mam doskonale Montecristo. Conde zawahał się: „Nie powinienem, ale co tam” - pomyślał.

- Chętnie poczęstuję się jednym, ale to na później.

- No pewnie - odparł gospodarz i z półki pod stołem stojącym na środku pokoju wydobył cedrowe pudełko, w którym w doskonałej symbiozie spoczywało dwanaście cygar Montecristo, wykonanych z jasnego tytoniu i o obiecującym zapachu.

- Dziękuję - powiedział Conde i schował cygaro do kieszeni koszuli.

- W takim razie, poruczniku, proszę mówić, o co chodzi.

Wtedy Conde zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma nic do powiedzenia, albo zapomniał, co miał powiedzieć: nagromadzenie przepychu zbiło go z tropu, nie wiedział, którądy podążać. Wrócił w to miejsce w ramach rutynowego postępowania, a ten dom, tak nieskazitelny, olśniewająca guayabera, łysina, czarna służąca

o zdolnościach bezszelestnego, błyskawicznego przemieszczania się, popielniczka Granada bez śladu kurzu nie pasowały do eschatologicznej historii z uduszonym pedałem - z dwiema monetami w odbycie w roli głównej - spacerującym po mieście w teatralnym stroju, który zostanie splamiony płynami o niejednorodnej konsystencji, jak ująłby to Alberto Marqués.

- Jak się ma pańska żona? - zapytał, szukając sposobu, by rozpocząć temat.

Faustino stanowczo pokręcił głową.

- Jest w bardzo złym stanie. Wczoraj po powrocie z pogrzebu doktor Pérez Flores, znaczy Jorge, wszyscy znają go z imienia, przepisał jej środki uspokajające i lekarstwa na ciśnienie. Teraz odpoczywa. Nie chce uwierzyć w to, co się stało, chociaż wiedziała, że któregoś dnia dojdzie do czegoś złego i zobaczą na czym się skończyło - mężczyzna zrobił pauzę, a Conde postanowił mu nie przerywać. - Któż może wiedzieć, w co tym razem się wpakował.

Od małego Alexis przyprawiał nas o ból głowy. Nie tylko z powodu tego jego... problemu, ale przez charakter. Czasami nawet

81 -

myślałem, że nas nienawidzi, matki i mnie, zachowywał się bardzo despotycznie, zwłaszcza w stosunku do niej. Zawsze wyrzucał jej, że tyle czasu spędzaliśmy poza Kubą, a on musiał zostawać z Marią Antonią i teściową. Nie potrafił zrozumieć, że zmuszała mnie do tego praca. Nie mógł jeździć z nami. Kiedy miałby się uczyć? - choćby z tego powodu musiał zostawać w domu. Sześć miesięcy w Londynie, trzy w Brukseli, rok w Nowym Jorku, potem znów na Kubie... Możecie sobie wyobrazić. Wolałbym, żeby miał bardziej poukładane życie, żeby wychowywał się u boku rodziców, zapewniam was, że wtedy trzymałbym go krótko, ale w pracy zawsze zlecali mi zadania dużej wagi i z żoną zawsze



staraliśmy się zapewnić mu wszystko, czego potrzebował: dom, babcię, Marię Antonię, która kochała go jak własnego syna, szkołę, wszelkie wygody... wszystko. Czy to mało...? Muszę panom coś wyznać, żebyście mnie lepiej zrozumieli: nigdy nie było nam po drodze z synem. Myślę, że to przede wszystkim z mojej winy, nigdy nie ustąpiłem, chociaż początkowo starałem się z nim rozmawiać, pomóc mu. Teraz myślę, że to tylko pogorszyło sprawę. I zobaczcie, do czego doszło, jak to wszystko się skończyło. Czuję się winny, nie będę zaprzeczał, ale on też nie zachował się w porządku, ani w stosunku do mnie, ani do matki, od samego początku, od małego. A potem, jak się skumplował z tym typiszczem, tym całym Albertem Marquésem, już nie szło się z nim dogadać. Ten człowiek wyprał mu mózg, nasaczył mu go przyrządzoną przez siebie trucizną, zmienił go raz na zawsze, w każdym aspekcie, i nie chodzi o zarażenie miłością do teatru czy malowania. Nie, to coś gorszego. Chodziło o niewłaściwą postawę moralną i polityczną. Nie mogłem na to pozwolić, rozumiecie, panowie. Prestiż wypracowany przez tyle lat walki, pracy, poświęcenia - nie mógł tego zaprzepaścić ani Alexis, ani nikt inny, postawiłem więc sprawę jasno: kto chce mieszkać w tym domu i korzystać z jego wygód, nie może w ten sposób myśleć o własnym kraju ani wszystkiego krytykować, nie może babrać się w gównie w jakimś kościele ani zadawać się z wykolejeńcem w typie Alberta Marquesa... Hitaj ma się być za albo przeciw, i tak mu powiedziałem jednego dnia, nie był już dzieckiem, i wtedy wściekł się, gdybyście go tylko panowie widzieli,

82 -

i czego mi nie nawrzucał, że jestem dogmatykiem i ekstremistą, troglodytą, i sam nie wiem, co jeszcze... Wtedy oświadczył, że się wyprowadza. Jest mi wiadome, że po śmierci babki odwiedzał matkę i Marię Antonię, a kiedy miałem się pojawić, ulatniał się.

Nawet było mi to na rękę, bo nie miałem ochoty się z nim kłócić. Taka sytuacja ciążyła mi, rozumiecie?... Teraz jest mi przykro, wiadomo, może mogłem zrobić coś więcej dla Alexisa, zmusić go do leczenia, być drastyczniejszym w wychowaniu, nie wiem, ale nie dał mi takiej możliwości - powiedział i nachylił się w stronę pudełka z cygarami. Chwycił jedno, ale natychmiast je odłożył, jak gdyby nagle możliwość zapalenia urokliwego Montecristo wydała mu się czymś niewłaściwym.

- Faustino, przychodzi panu albo pana żonie jakiś pomysł, który mógłby wyjaśnić wydarzenia tamtej nocy?

Właściciel domu zaczął oglądać swoje dłonie, jakby była w nich zapisana cała prawda, a potem spojrzał na Condego, który bacznie mu się przyglądał.

- Co mam powiedzieć, poruczniku? To wszystko to rezultat mylnego wyboru... Alexis wybrał dla siebie drogę i sam pan widzi, dokąd zaszedł. Mogę panu powiedzieć, że to jest jak kara... Na samą myśl o tym jest mi wstyd. Przebrany za kobietę... Mam powiedzieć coś więcej? - Conde przytaknął jak uczeń oczekujący kontynuowania opowieści. - Ani jego matka, ani ja nie zasługiwaliśmy na to. Jedyne, czego pragnę, to żeby minął jakiś czas i żeby ten koszmar wreszcie się skończył. Rozumiecie, panowie...

- Rozumiemy - oznajmił Conde i spojrzał na swoje dłonie, być może w poszukiwaniu własnej prawdy.

- To wstyd - powtórzył Faustino, a Conde po raz pierwszy w trakcie rozmowy spojrzał mu w oczy: zobaczył zawilgocone źrenice, w których zdawał się dostrzegać prawdziwy ból i łzy, jakie być może powstrzymywał, żeby jego poczucie męskości nie ucierpiało w oczach przybyszów. Z trudem, zwłaszcza że chodziło o tak możnego i pewnego siebie mężczyznę, policjant przyłapał się na tym, że mógłby mu współczuć.

- Faustino, pan może nie kojarzyć. Znaczą się, ze względu na stosunki z Alexisem... Ale może pańska żona. Niech pan ją spyta,

83 -

proszę, czy Alexis poruszał kiedykolwiek temat Transfiguracji. Ciekawi mnie to, choć nie jestem w stanie wyjaśnić panu, dlaczego.

Chodzi mi coś po głowie i nie mogę się tego pozbyć...

Mario Conde rozluźnił się nieco, gdy samochód przejechał tunelem pod rzeką i znalazł się na Malecónie, zmierzając w stronę centrum miasta. Morze wprowadzało go w błogi stan, gotów był poddać mu się całkowicie. Tego poranka morze właśnie takie było: błękitne i spokojne, podobnie jak przedostająca się przez otwarte okna samochodu bryza, zapraszała do odpoczynku.

- Co o tym sądzisz, Manolo? - spytał w końcu sierżanta i zapalił papierosa.

Sierżant Manuel Palacios zjechał na prawy pas i zwolnił.

- Musi być mu ciężko. Zwłaszcza że jest na ustach połowy dyplomacji... Ale wiesz co, myślę, że w głębi duszy się cieszy. To jak z chorym na raka: skoro nie ma lekarstwa, lepiej skończyć wszystko szybko.

- No, może i tak być - przyznał Conde, nie wiedząc za bardzo, co myśleć.

- Co teraz? - zapytał Manuel Palacios, gotowy przycisnąć mocniej pedał gazu.

- Niewiele przychodzi mi do głowy... Salvador K. zdaje się głównym rozgrywającym, nie sądzisz? Ale z drugiej strony nie mamy żadnych konkretów przeciwko niemu... Szlag by ich wszystkich... - zaklął i cisnął niedopałek na ulicę.

- Aj, Conde, Conde - Manolo pokręcił głową, dziwiąc się zachowaniu kolegi. - Tyle już w tym robisz i tak się emocjonujesz. Nie pieprz, jak trzeba coś znaleźć na malarza, znajdzie się, nie?

- Nie wygaduj głupot. Przynajmniej nie dzisiaj.
- A to dlaczego?
- Mam zmartwienie. Dowiedziałeś się, co się stało z Maruchi?

Sierżant zwolnił nieznacznie.

- Nie, nic mi się nie udało wywęszyć... Ale nie powiedziałem ci o czymś, co mi się przydarzyło. Dzisiaj na trzecią umówili mi spotkanie ze śledczymi z Wewnętrzznego...

84 -

- A czego oni od ciebie mogą chcieć?

Manuel Palacios przetarł czoło i Conde dostrzegł, jak wyciera o spodnie zebrany dłonią pot.

- Nie wiem, nie mam pojęcia.

Conde spojrział na ulicę, z każdym dniem bogatszą w dziury, śmieci, z przeżartymi przez saletrę i zapuszczonymi domami.

- Jeśli nie masz nic na sumieniu, nie ma się co martwić, ale uważaj, co będziesz mówił, jasne? Nie jesteś w ciemną bity, Manolo, tak że się zastanów, zanim odpowiesz na pytanie... Ale tak czy siak, wrzuć na luz, na pewno chodzi o jakąś błahostkę.

- Dobra, Conde. Ale upał, co nie?

Na Malecónie przejrzysty poranek zgromadził rybaków, niesionych wiatr nadzieją, że szczęście im dopisze, a wędkę wyłowiały okazały egzemplarz, który przysporzy uzasadnionej radości rodzinemu stołowi. Widząc nad brzegiem morza pogrążone w spokoju sylwetki, Conde pozazdrościł im. Wiedział, że moczenie kija i myślenie o możliwym sukcesie, jakim było złowienie stworzenia, które złapie haczyk i wylądować na stole, jest znacznie zdrowszym zajęciem, niż branie udziału w kolejnych historiach z trupami, rabunkami, nadużyciami, gwałtami dorosłych i dzieci w roli głównej - choć one sprawiają przynajmniej, że człowiek nie zanudza się na śmierć. Jakby wszystkiego było mało, jeszcze ci z Wydziału

Śledztw Wewnętrznych zaczęli węszyć i pewnie chcieli wyciągnąć na światło dzienne historie, z których istnienia sam Conde nie zdawał sobie sprawy, a które kosztowały już utratę stołka niejednego z jego kolegów. „Znajdą coś na mnie?” - zastanawiał się i próbował sobie przypomnieć jakiś przekręt, którego by się dopuścił. Któż to wie... A co z Maruchi? Co, u licha, się z nią stało?

- Jedno wielkie gówno, nie? - wymamrotał. I dodał: - Skręć tam na rogu, pojedziemy do Lasu Hawańskiego.

Pod nieobecność patroli, karetok pozorujących pośpiech, nieprzyzwoitego tłumu gapiów, fotografów, medyków sądowych i policjantów przybyłych na zawołanie śmierci fantazyjna gęstwina znajdująca się pośrodku miasta, przy rzece ścieku, oddychała harmonią,  
85 -

którą Conde starał się chłonać całym sobą, łapczywie i pośpiesznie. Przemoc i miejsce, gdzie do niej doszło, wydały mu się niezmiernie odległe od siebie, a to, że spotkały się tutaj, urągało przyzwoitości i było nadużyciem. Jak zawsze, pomyślał, śmierć pcha się tam, gdzie jej nie chcą. Zielone trawniki, nieustający szum rzeki, błogi cień rzucany przez drzewa przed raptem kilkoma godzinami stały się dekoracją dla makabrycznych wydarzeń z morderstwem w roli głównej, którego motywy i konsekwencje chciał poznać, poddając się skłonności do jakże mało profesjonalnego poczucia współuczestnictwa w zdarzeniu. Dlatego teraz właśnie ponownie znajdował się w tym miejscu, dla innych anonimowym - nikt nie postawi tu mogiły ku pamięci pierwszego kubańskiego transwestyty, który padł ofiarą seksualnej potyczki - gdzie dokonał żywota Alexis Arayän i gdzie rozpoczęła się eschatologiczna przygoda Maria Condego. Śmierć nabrała bardziej charakteru wydarzenia społecznego niż tego, czym w rzeczywistości była, drastycznym faktem biologicznym, jakiego żadna nauka ścisła, medyczna, przy-

ziemna czy nadprzyrodzona nie odwróci: teraz liczyła się tylko jako popełnione przestępstwo, jako przyczynek do kary dla tego, kto naruszył prawo ustanowione dawno temu przez Biblię i Talmud, i Conde wiedział, że jego pyrrusowym zwycięstwem będzie wystosowanie oskarżenia, koniecznego i wyczekiwanego, które jednak też nie odwróci tego, co w istocie nieodwracalne.

- O czym myślisz? - Manuel Palacios wyrwał źdźbło trawy i umieścił je sobie w ustach.

- O lesie i bestiach - odpowiedział porucznik i ruszył w stronę rzeki. - Nasz transwestyta nie przebrał się, żeby wystawić się na pokaz ani nikogo upolować, Manolo. Szukał czegoś, co trudno znaleźć. Może spokoju. Albo zemsty, bo ja wiem... Skoro nie był transwestytą, co robił w tym miejscu, całkowicie przemieniony i do tego w noc Transfiguracji? Coraz dziwniej mi się to wszystko widzi...

- Nie kapuję, po co ci te wszystkie dodatkowe komplikacje. Po cholerę wечно starasz się widzieć coś, czego nikt nie widzi?... To ty sam jesteś coraz bardziej dziwny, Conde. Powiem ci jedną rzecz: czasem zdaje mi się, że bycie policjantem interesuje cię z każdym dniem coraz mniej.

86 -

- Jesteś geniuszem, Manolo.

Policjanci podążyli ścieżką prowadzącą do koryta rzeki, przyjmującej tutaj kształt powolnego węża, z pewnością chorego. Conde podszedł do brzegu i rozczulił się widokiem przyspieszonej agonii: plamy benzyny, kwaśna piana, padlina zwierząt, odpadki niewiadomego pochodzenia płynęły powolnym strumieniem wód rzeki Almandares, jedynej przepływającej przez miasto. I wtedy doznał olśnienia:

. - Kurwa, przecież Alexis miał przy sobie Biblię.

- Proszę, pan znowu tutaj, policjancie poruczniku Mario Conde.

Słucham, już na pewno pan wie, kto to był. Nawiedzają mnie czasami obrazy, w których policjanci błyskawicznie rozwiązują zagadkę kryminalną. Nie jest tak? Nie ma to jak dobry policjant...

Conde puścił mimo uszu uszczypliwość i wszedł do salonu, równie zacienionego i chłodnego jak ostatnim razem, usiadł w tym samym fotelu, a Alberto Marqués zajął swoje miejsce. Policjant miał wrażenie, że obaj są aktorami, każdy odgrywa swoją rolę i całkowicie kontroluje swoje ruchy na scenie.

- Może herbaty? Może być schłodzona, z lodem i tak dalej...

- Poproszę, dobrze mi zrobi - przyjął propozycję Conde i Marqués zniknął w korytarzu biegnącym w głąb tej osobliwej, spowitej ciemnością, scenografii. Patrząc, jak stawia kroki, Conde dostrzegł nieodpowiedni dla jego wieku młodzieńczy chód: dramaturg poruszał się z elastyczną swobodą, dotykał podłogi końcem stopy, co nadawało mu rozpędu, stapał jak uważna czapla. „Nie sprawia wrażenia starego” - pomyślał Conde, ale zaraz jego myśli skupiły się na rozmowie, jaka czekała tego popołudnia sierżanta Palacios. „Czego oni, kurwa, szukają?” Poczul w żołądku nagły przyptyw strachu. Doświadczenie podpowiadało mu, że jeśli się postarać, można znaleźć kłopotliwe poszlaki, niepozorne, acz niezbite dowody na każdego, i jeszcze raz zadał sobie pytanie: czego oni, kurwa, szukają? Wrócił do domu Marquésa, bo chciał się dowiedzieć czegoś więcej. Uznał, że koniecznie musi przejrzeć rzeczy 87 -

osobiste Alexisa, miał przeczucie, że może coś znaleźć. W tym czasie Manolo miał węszyć w Archiwum Dóbr Kulturalnych, by znaleźć coś na temat transwestyty i jego przyjaciela Salvadora K. oraz odszukać Biblię, o której wspomniał malarz. „Ale czego oni, kurwa, szukają?” - po raz kolejny zadumał się Conde, a w tym

czasie Marqués wrócił, niesiony młodzieńczym krokiem, trzymając w dłoniach filiżanki z herbatą. Wręczył jedną Condemu i usiadł na swoim miejscu.

- Życzy pan sobie, żebym otworzył okno?

- Jeśli to dla pana nie problem...

Dramaturg postawił filiżankę na podłodze i uchylił okno znajdujące się za jego plecami. Wielkie szyby w oknach pokoju były okratowane i Conde zaczął się zastanawiać, jak dostawali się do środka kochankowie wynajmowani przez malarza, o których wspominał mu Miki. Gdy Marqués zajął miejsce w fotelu, Conde znów zrozumiał, że wszystko zostało perfekcyjnie przygotowane: słońce dawało idealny blask, brakowało tylko sylwetki postaci.

.Oczekiwał mnie" - pomyślał.

- Niech mnie pan nie trzyma dłużej w napięciu... Znaleźliście coś? - i zamrugął znacząco powiekami.

- Niewiele, prawdę mówiąc... Ale w historii jest kilka niejasności. Alexis został uduszony, ale nawet nie próbował stawiać oporu agresorowi.

- O mój Boże - westchnął stłumionym głosem stary dramaturg, dotykając jednocześnie własnej szyi, jakby zabezpieczając się przed natarciem rąk dusiciela.

- Gdy był już martwy, sprawca umieścił w jego odbycie dwie monety.

- Aj, aj, aj - wydusił dramaturg i złączył kolana, jakby chciał zapobiec ewentualnej monetarnej penetracji.

- Słyszał pan kiedyś o czymś podobnym?

- Nie, nigdy w życiu... To rzecz jak z filmu o mafii.

- No coś takiego... Wczoraj zrobiłem jeszcze jedną rzecz, przejrzałem książkę, którą mi pan pożyczył, i dowiedziałem się wiele nowego o transwestytach.



- Interesująca, prawda?

88 -

- Tak, ale może zbyt konceptualna. Rzeczywiście transwestyci wyznają filozofię mimetyzmu i bycia niezauważonym?

Mimo mroku spowijającego wewnątrz salonu, Condemu wydało się, że dostrzegł uśmiech na twarzy Marquésa.

Żadne inne miasto na świecie - Hawana też nie - nie unaocznia cudu harmonii tak, jak robi to Paryż. W Paryżu popołudnie i noc spajają się jak części symfonii. Następujący po nich świt wydaje się naturalną kontynuacją, nieśmiały lecz nieunikniony, i jeśli dusza ludzka jest w stanie, przez osmozę, doświadczyć wrażliwości powietrza, kamieni, zapachów Paryża i jego kolorów, móc żyć w tym mieście, jest to boski prezent dla człowieka: tak też tamtej wiosny czułem się ja.

Wykapani i wyperfumowani wsiedliśmy do taksówki. Podczas drogi ciągle pociły mi się dłonie, w tym czasie dwukrotnie obejrzałem oświetloną sylwetkę wieży Eiffla, kształt opery paryskiej, rozświetloną radość Café de la Paix, aż wjechaliśmy na brukowane uliczki - ten sam bruk, który rok wcześniej stał się sławny, kiedy miłość, inteligencja, ideologia oddały się wspólnej rewolucyjnej kopulacji na barykadach ustawionych na tym samym bruku - do Dzielnicy Łacińskiej, i zatrzymaliśmy się przed lokalem oświetlonym przez żółty neon, na którym widniał napis: LES FEMMES. Napis pełnił funkcję portyku i upragnionego celu, jaki właśnie się realizował. Recio zapłacił marokańskiemu taksówkarzowi i zamienił z nim kilka słów, ten wręczył mu małą kopertę, a ja wraz z Tym Drugim przyglądaliśmy się popadłemu w ruinę miejscu i wtedy otworzyły się sfatygowane, skrzypiące drzwi, a naszym oczom ukazało się wewnątrz kabaretu: błękitny blask.

Recio podszedł do nas i pierwszy raz tamtej wiosny, pierwszy

raz w czasie mojej ostatniej wizyty w Paryżu, dostrzegłem na jego okrągłej twarzy wciąż nieokrzesanego wieśniaka ślad szczęśliwości. Kilka dni wcześniej, po moim przybyciu do Paryża, opowiedział mi o dopiero co zakończonym związku z Julienem, młodym antropologiem, z którym przez dwa ostatnie lata żył w stałym związku, a ich współżycie przypominało niekończący się miesiąc

89 -  
miodowy - do posługiwania się takimi metaforami w swoim czasie zdolny mógł być tylko Recio - i że został przez niego porzucony - i upokorzony - dla kobiety: ni mniej, ni więcej, odszedł z rosyjską tancerką - z ciałem tancerki, która nie była nawet solistką - dezerterką z Teatru Bolszoi. „Ideologia pokonała miłość” - powiedziałem mu wtedy i przekonywałem go: „Ta tancerczka na pewno ma świerzb pod pachami i gębę matroszki, jak jej wszystkie rosyjskie siostry”. „Kobiety to zakała tego świata” - ogłosiliśmy chóralnie i Recio nie miał innego wyjścia, jak roześmiać się... Teraz jednak, stojąc u wrót błękitnego kabaretu, którego nazwa lśniła żółtymi literami, Recio wyglądał, jakby odzyskał siły witalne.

- Dalej, wchodzimy - powiedział i chwycił nas pod ramię (mnie pod lewe, Tego Drugiego pod prawe), i weszliśmy w niebieski blask... Światło dobywało się od dołu, rysowało woluty dymu, słodsze nawet niż z tytoniu Virginia (ta mieszanka hipnotycznych zapachów, oparów kwaskowatego potu i przenikliwych aromatów arabskich), z którego skrecone papierosy sprzedawano na większości apokryficznych perskich straganów w Paryżu. Tymczasem do uszu docierał dziki rytm głosu Miriam Makeeby (inwazja Trzeciego Świata), który dobywał się z kabiny wmontowanej w ścianę. Nieco się zląkłem, znalazłszy się nagle w oku cyklonu budzącego wszystkie zmysły naraz, ale Recio i Ten Drugi wyglądali na zaznajomionych z miejscem, po którym poruszali się z całkowitą

swobodą. Mój wzrok wydobył kilka postaci fałszywych walkirii, wypełniających przypisany im zamierzchły rytuał nalewania piwa. Sprawiały wrażenie, jakby unosiły się pośród błękitu, jak fosforyzujące i ledwie wylęgnięte poczwarki, przyodziane w nakrochmalone stroje, obcisłe plisowane spódniczki, które prezentowały z triumfalną dumą, niczym lup po zwycięskiej potyczce. Każda z walkirii w jednej dłoni trzymała tacę z kieliszkami, w drugiej żółte kwiaty. Patrzyłem na te wielkie, nawet jak na skandynawskie walkirie, dłonie, gdy jedna z nich otarła się o mnie swoim uniformem. Doznałem uczucia, jakby dotknął mnie prehistoryczny owad.

Oszołomiony, wyraziłem wdzięczność Reciovi, że poprowadził mnie do stołu, gdzie siedział już Ten Drugi, popijając bursztynowy napój, którym, jak się szybko przekonałem, było piwo. Jak 90 -

udało mu się je zdobyć? Miał wrodzoną zdolność bycia wszędzie pierwszym. Wtedy disc jockey zmienił Makeebę na Doris Day, a ja spostrzegłem, że jak w każdym porządnym kabarecie, tak i tutaj w „Les Femmes” była scena, na której pojawiło się - musiało się pojawić - siedem idealnych - a nawet ulepszonych - wersji Doris Day, śpiewających do nagrania dla rozentuzjasmowanej i oddanej publiczności, wśród której mogłem wyróżnić mężczyzn i kobiety, których orientacji nie byłem do końca pewien: zbyt wiele farbowanych blondynek o pełnych kształtach w typie Marilyn Monroe, szatynek jakby wyjętych z włoskich filmów powojennych, brunetek ze zbyt umięśnionymi ramionami, tworów akromegalicznych z metalicznymi ustami jak u robotów z komiksów, obdarowujących pocałunkami towarzyszących im przy stołach partnerów, w rytm i z intensywnością ballady śpiewanej przez Doris Day.

Siedziałem ogłupiały, gdy Recio dał znak, pokazując kopertę wręczoną mu przez taksówkarza, żebym wyszedł z nim do toalety.

Wiedział, że nie pójdę, więc nie należał, ale Ten Drugi, owszem, poszedł z nim... Nie żebym był purytaninem. Przeciwnie, w życiu raczej byłem dość śmiały, tak sędzę, próbowałem wszystkiego, zawsze jednak stawiałem na naturalną jasność umysłu, tamtego dnia, wiadomo, byliśmy na imprezie, zaplanowanej, były oczekiwania, ja jednak chciałem chłonać oczami jak najwięcej. I właśnie dzięki tej jasności pojąłem, że znalazłem się na jednym wielkim happeningu transmutacji, transformizmu i masek, mniej znanym, ale dużo intensywniejszym niż wenecki karnawał. Myśląc o poczwarkach i zostawszy muśniętym przez gigantycznego owada, pojąłem, gdzie się znajduję i czego jestem świadkiem: to święto owadów. Pamiętam, jak patrząc na tych transwestytów pionierów, skupionych na własnych ruchach, pomyślałem, że człowiek, owszem, może stworzyć, nadać kształt i oddać barwę temu, co widzi, może przenieść obraz na płótno, ale nie potrafi zmodyfikować swojego organizmu. Gdy podejmuje się takiej próby, okazuje się bezradny. Tylko transwestycie udaje się radykalna przemiana, on jak motyl potrafi zmienić barwę, przemaalować sam siebie, uczynić ze swojego ciała wybitne dzieło, ukazać seksualność przy użyciu kolorów, rozbuchanej ornamentyki i krzykliwych zdobień. To

91 -

całkowite uplastycznienie własnego ciała, nawet jeśli te zwielokrotnione wizerunki siedmiu Doris Day, czterech Marilyn Monroe, trzech Ann Magnani, zgromadzone na dwudziestu metrach kwadratowych, nie miały być niczym innym jak emanacją zimnej i nostalgicznej perfekcji. Najbardziej niepokojące było zrozumienie, że oto dokonywał się świadomy teatr, o jakim śniono od czasów Peryklesa: maska przemieniona w postać, postać wtłoczona w ciało i duszę aktora, życie jako najgłębsza reprezentacja snu... Było to jak objawienie, które czekało na mnie od zawsze, skryte

w brudnym zaułku Paryża, i tak w jednej chwili wyobraziłem sobie rozwiązanie dla wystawienia mojej wersji Elektry Garrigó... Tym, o czym nie pomyślałem, było to, że genialny pomysł, jaki urodził się w mojej głowie, będzie początkiem końca mojego reżyserowania w teatrze. Koniec jako początek...

Zatem, gdy udałem się do Recia z chęcią opowiedzenia mu o pomysłach, odkryłem, że wraz z Tym Drugim zniknęli razem z którymś - nie wiem, którym - z perwersyjnych owadów. Najzabawniejsze, że następnego dnia to mnie oskarżyli o ulotnienie się w towarzystwie jednej z wersji Sary Montiel. W każdym razie opowiedziałem mu, co poczułem, a on, niewdzięcznik, nie wspomniał o mnie ani słowem w swojej książce o transwestytach, choć jeszcze dziś mógłbym wskazać dokładnie całe akapity, jakie podyktowałem mu podczas naszej rozmowy... A jakby tego było mało, jako że nie miałem pieniędzy, musiałem wrócić do domu na piechotę, bo prawdę mówiąc, nigdy bym nie wyszedł z żadną Sarą Montiel, Sarita mnie nie kręciła.

- Ten podpis należy do Salvadora K., tak?

- Tak, tak się podpisuje. Co za brak gustu... Wygląda jak skrót nazwy jakiegoś lekarstwa, nie?

- Piwa.

Marqués zaprowadził go do pokoju Alexisa, którym było dawne pomieszczenie dla służby pracującej w rezydencji. Znajdowała się tam osobna łazienka, a do pokoju można było wejść bez użycia głównych drzwi wejściowych. Wewnątrz wszystko było na 92 -

swoim miejscu, poukładane ze szczególną starannością, jakby właściciel zrobił porządek tuż przed wyjściem dwa dni wcześniej: półki uprzątnięte, kurz starty z obrazów, wyprane ubranie leżało w niewielkiej szafie, dwie pary slipek wisiały na oknie w łazience,

popielniczki zostały opróżnione z niedopałków. Conde przyjrzał się książkom, przebiegając zazdrosnym palcem po różnych rozmiarów i twardości grzbietach, pośród nich kilka przykuło jego uwagę.

- Czy Alexis palił?
- Nie, czuł obrzydzenie do tytoniu. Zwłaszcza do papierosów.
- Co pan sądzi o rysunku Salvadora K.?

Rysunek, obramowany i osłonięty szkłem, przedstawiał coś, co przypominało kobiecą głowę schowaną za parasolką. Rogi rysunku były ścięte, kolory żywe.

- Używa starej techniki moczenia papieru, na który nakłada figury. Coś jak rycina, odbitka na papierze, mniej więcej, rodzaj collage'u, chociaż on sam chełpił się, że odkrył coś nowego. A ten tutaj rysunek, ujmując rzecz po kubańsku i jak powiedziałby Recio, to lipa. Takiego sposobu przedstawienia używali już ekspresjoniści i kubiści, sześćdziesiąt lat temu, wtedy to było coś, ale teraz...

- Jest pan przekonany, że między nimi było coś więcej?
- Ściany tego pokoju są jak z papieru. Mogę wyjść i zawyć, sam pan zobaczy...

- Nie trzeba, nie trzeba... - Conde przepędzał obraz, jaki rysował mu się w głowie po propozycji złożonej przez Marquesa. - Alexis utrzymywał porządek...

- Był bardzo skrupulatny, mówiłem panu. Najgorsze, że mnie też chciał nawrócić na porządek, ale nigdy mu się to nie udało. Poza tym raz w tygodniu przychodziła tutaj Maria Antonia, służąca w domu jego rodziców, pomagała mu w sprzątaniu i praniu, czasami szykowała dla nas dwóch jedzenie na kilka dni. A wie pan, ona wносиła różne smakołyki z domu Alexisa i przynosiła nam tutaj: hiszpańską kielbasę, wędzonego łososa, odwłoki langusty, same przysmaki, jakie można sobie tylko wyobrazić albo kupić w sklepach dla dyplomatów, wie pan.

- Co pan może powiedzieć o Marii Antonii? Ona jest taka...

Marqués przesunął palcami po resztkach włosów.

93 -

- Musi mi pan wybaczyć, ale wczoraj skłamałem panu w jednej sprawie... To Maria Antonia zadzwoniła do mnie z informacją o Alexisie. Proszę o łaskę. Uprzedziła mnie o pana wizycie.

Conde podarował sobie pretensje.

- Co Alexis opowiadał panu o Marii Antonii i o swojej rodzinie?

Marqués usiadł na skraju łóżka, nienagannie posłanego, i wygładził chiński szlafrok, składając dłonie między nogami.

- Od śmierci jego babki myślał o wyjeździe. Alexis bardzo ją kochał, bo to ona, razem z Marią Antonią, wychowała go. I to, co teraz panu powiem, zabrzmie nieprawdopodobnie, ale to prawda: wie pan, że Alexis był wybitnym znawcą włoskiego malarstwa okresu przedrenesansowego. Maria Antonia posiada na ten temat nie mniejszą wiedzę. Tak, właśnie tak. Alexis uczył się razem z nią, pożyczał jej książki i dzielił się z nią wiedzą na temat tego, czego sam się nauczył. Jeśli będzie pan mógł i miał okazję, niech pan kiedyś z nią porozmawia o włoskich Madonnach, a przede wszystkim o Giotcie, i niech pan się przygotowuje na długi wykład... Ale najbardziej nie znosił ojca, z tysiąca powodów, myślę jednak, że głównie z jednego. Kiedy miał jakieś siedem lat, mało brakowało, a utopiłby się na plaży, ktoś inny go uratował, ojciec w tym czasie był pijany. Alexis nigdy mu tego nie wybaczył, twierdził nawet, że ojciec zostawił go samego celowo, żeby się utopił... Nie wiem, od którego Greka pochodzi ten kompleks... Do tego ojciec odrzucił go z powodu, no, bo był homoseksualistą. Kiedy tylko mógł, okazywał mu dezaprobatę. Proszę sobie wyobrazić, dla tak wysoko postawionego i szanowanego obywatela to największe nieszczęście... Sam Bóg musiał w tym maczać palce, to on musiał

nałożyć na niego tę karę. Wie pan, typowy ojciec, co to chce mieć dziecko na swój wzór, silnego syna, kobieciarza, budzącego respekt, a tu nagle... okazuje się, że ciota. Ale Alexis cierpiał, ciężko to wszystko znosił i gdyby nie został zamordowany, nie zdziwiłoby mnie, gdyby popełnił samobójstwo.

- Alexis wspominał o samobójstwie?

Marqués podniósł się i wskazał na jedną z półek.

- Proszę popatrzeć: Mishima, Zweig, Hemingway, mój pocziwy przyjaciel Calvert Casey, Pavese... Wykazywał fascynację 94 -

samobójstwem i samobójcami, całkowicie chorobliwą, rzecz jasna. Wygadywał na okrągło, że całe jego życie było błędem: płeć, inteligencja, rodzina, czas, i mówił, że jeśli ktoś jest świadom tych pomyłek, samobójstwo to najlepsze rozwiązanie - może przydarzyć się druga szansa. Myślę, że te mistyczne skłonności doprowadziły go do katolicyzmu.

- Chodził do kościoła?

- Tak, często.

•- A pan? - spytał Conde, niesiony ciekawością.

- Ja? - zaśmiał się Marqués, mrugając powiekami. - Jest pan sobie w stanie wyobrazić mnie na klęczniku?... Nie, nie ma mowy, za bardzo jestem perwersyjny, żeby dojść do porozumienia z tymi panami... To już wolę was...

Conde przyglądał się uśmiechowi Marquesa, perwersyjnemu jak się patrzy, i postanowił pozwolić mu się pocieszyć. Sam także czerpał przyjemność z tej sytuacji. Upewnił się, że jest dobrze przygotowany i postanowił zaryzykować.

- Ma pan coś przeciwko policjantom?

Śmiech Marquesa zabrzmiał na tyle autentycznie, co niespodziewanie. Jego pergaminowe ciało wyglądało jak niesiony siłą



czkawki latawiec gotowy wylecieć przez okno.

- Nie, proszę pana, nie. To nie wy jesteście najgorsi. Wie pan, policjanci wykonują pracę policjantów, przesłuchują i zamykają do więzienia, nawet często im to wychodzi całkiem nieźle, naprawdę. To represyjne i okrutne powołanie, potrzebne są pewne talenty, proszę wybaczyć. Na przykład trzeba być gotowym na bicie drugiego człowieka, żeby wywołać posłuszeństwo albo pozbawić kogoś osobowości, zastraszając go i grożąc mu... Ale społecznie policjant jest niezbędny, smutne to, ale tak jest.

- W takim razie?

- Najgorsi są inni: policjanci działający na własną rękę, dobrowolni komisarze, spontaniczni ścigacze, bezinteresowni donosiciele, sędziowie z zamiłowaniem, ci wszyscy, którzy uważają się za panów życia, przeznaczenia, aż po czystość moralną, kulturową, a nawet historyczną kraju... To oni postanowili skończyć z takimi jak ja albo nieszczęsny Virgilio, i udało im się, sam pan doskonale 95 -

wie. Proszę sobie przypomnieć, w ostatniej dekadzie życia Virgilio nie doczekał się publikacji żadnej swojej książki, nie wystawiono żadnej jego sztuki teatralnej ani nie opublikowano żadnej pracy krytycznej na temat jego twórczości, i to w żadnej z sześciu magicznych prowincji, które nagle rozmnożyły się do czternastu, ze specjalnym municypium. A mnie przemienili w ducha, który ponosi winę, że posiada talent, winnego własnej twórczości, upodobań, słów. Cały ja okazałem się guzem, który należy usunąć ze społecznego, politycznego i ekonomicznego organizmu dla dobra pięknej uciemnionej wyspy. Zdaje pan sobie sprawę? A skoro tak łatwo było mnie napiętnować: za każdym razem, gdy coś mierzyli, z każdej strony wychodziło jedno i to samo: nie nadaje się, nie nadaje, nie nadaje...

Conde przywołał w pamięci spotkanie z dyrektorem liceum, na którym zostali poinformowani, że „La Viboreña” jest czasopismem niesłusznym, niewłaściwym i niedopuszczalnym, i wymuszono na nich w tył zwrot, literacki i ideologiczny.

- W jaki sposób obwieścili to panu? - chciał wiedzieć, niesiony zewem historycznego sadyzmu, ryzykując nadzianie się na ironiczne i gniewne ostrze rozmówcy.

- Parę lat temu czerpałem swoistą radość z opowiadania tej historii. Teraz prawie mnie ona już nie boli, proszę sobie wyobrazić. Ale wcześniej... A dlaczego pana to tak interesuje?

- Pytam z czystej ciekawości - odpowiedział Conde, niezdolny wyznać prawdziwej przyczyny swojej ciekawości. - Chciałbym poznać pańską wersję, po prostu.

- Dobrze, w takim razie sprawię panu tę przyjemność. Już zdążyli zdjąć z afisza sztuki, które graliśmy, kiedy robiliśmy próby do Elektry Garrigó, i jednego dnia wezwali nas na spotkanie do teatru. Poszli wszyscy oprócz mnie. Nie miałem ochoty słuchać czegoś, co i tak wiedziałem, że będę zmuszony usłyszeć. Później przekazano mi, że zebrali wszystkich w holu i wzywali pojedynczo, jak u dentysty. Wie pan, co to znaczy czekać cztery godziny na wizytę u dentysty, podczas gdy zza drzwi gabinetu dochodzą dźwięki wiercenia, świdrowania i krzyki kolejnych wchodzących? W środku, w smutnej, pełnej czarnych materiałów scenografii do 96 -

Yermy, na scenie postawili stół... Było ich czterech, coś w rodzaju trybunału inkwizycyjnego, na stole ustawili wielki magnetofon na kasety i zaczęli wymieniać grzechy, jakie każdy kolejny popełnił, pytając przy tym, czy są gotowi przemyśleć swoje stanowisko w przyszłości i czy wyrażają zgodę na rozpoczęcie procesu rehabilitacji, pracując w miejscach, które zostaną im wskazane. I pra-

wie każdy przyznał, że jest grzesznikiem, przyjęli winy, o jakich oskarżyciele nawet nie wspomnieli, i zaakceptowali konieczność oczyszczenia własnej przeszłości i ducha z intelektualnego oraz pseudokrytycznego balastu... Zrozumiałem to, prawdę mówiąc, gdyż wielu z nich uznało, że były powody dla takich oskarżeń, czuli się winni niezrobienia czegoś, co, jak twierdzono, trzeba było zrobić, przemienili się w zaciekle krytyków... siebie samych. Następnie zorganizowali coś na wzór zebrania: bohaterowie pozostali na swoich miejscach za stołem, na scenie, a członkowie zespołu teatralnego w fotelach, przy włączonych światłach... Widział pan, jak wygląda teatr przy zapalonych reflektorach? Widział pan, jak magia pryska, a cały stworzony świat zdaje się fałszywy, pozbawiony sensu? I wtedy zabrali głos w mojej sprawie, jako głównego odpowiedzialnego za linię estetyczną teatru. Pierwszym zarzutem, jaki mi postawiono, było to, że jestem homoseksualistą, który obnosi się ze swoimi preferencjami, i oświadczyli, że jak dla nich antyspołeczny i patologiczny charakter homoseksualizmu jest ewidentny i trzeba sprawić, by nie było wątpliwości, iż zachodzi konieczność odrzucenia i niepozwolenia na manifestacje tego typu skłonności w społeczeństwie takim, jak nasze. A oni są tymi, którzy mają zadbać o to, by „jakość artystyczna” (mówiący to użył określenia „w cudzysłowie”) nie służyła jako pretekst do bezkarnego rozpowszechniania idei i mód wśród naszej ofiarnej młodzieży. (Oczywiście mówiący należał do przeciętniaków, zawsze marzył o karierze aktorskiej, ale nigdy nie wybił się ponad rolę statysty, a sława, jaką zdobył, wynikała z tego, że miał małego ptaszka, stąd i jego przezwisko: Koliberek). Również nie zamierzano pozwalać, ażeby rozpoznawalni homoseksualiści, jak w moim przypadku, mieli wpływ na wychowanie czy kształcenie młodzieży, i dlatego trzeba było przeanalizować (dodał „uważnie”, tym razem

cudzysłów jest mój) obecność homoseksualistów w instytucjach kulturalnych, a wszyscy ci, którzy nie powinni przebywać z młodymi, zostaną przeniesieni i nie otrzymają pozwolenia na wyjazd z kraju przy okazji promocji kubańskiej sztuki, bo my nie mogliśmy być prawdziwymi reprezentantami sztuki kubańskiej.

Marqués westchnął, jakby chciał wydmuchać z płuc zmęczenie, a Mario Conde poczuł, jakby wybudzał się z głębokiego snu: słuchając słów dramaturga przeniósł się do teatru okropności i wsłuchiwał w słowa bohaterów, dając się posiąść tamtej faktycznej tragedii, w której decydowały się ich losy i życie, w spokoju przyprawiającym o dreszcze.

- Nigdy nie pomyślałem, że tak to wyglądało. Wydawało mi się, że...

- Niech się panu jeszcze nic nie wydaje - wtrącił Marqués z agresją, jaka zaskoczyła policjanta. - Chciał pan usłyszeć całą bajkę? W takim razie będę kontynuował, bo najlepsze przed nami... Tak, ponieważ wtedy nastąpił sąd estetyczny: ustalono, że moje sztuki i przedstawienia aspirowały do uczynienia ze snobizmu, ekstrawagancji, homoseksualizmu i innych społecznych odchyłów jedynej estetycznej wartości, co sprawiło, że zboczyłem z drogi ku celom bardziej szlachetnym, z całą tą filozofią okropności, absurdem i totalnością teatru, i że nie pozwoli mi się na tę „pańską arogancję” (znów cudzysłów jego autorstwa) odgrywania roli wyłącznego krytyka społeczeństwa i historii kubańskiej, niezajmującego się prawdziwą walką, używającego latynoamerykańskich losów do tworzenia scenerii atrakcyjnej dla burżuazyjnych teatrów i imperialistycznych wydawnictw... Nie za bardzo wiem, co to miało oznaczać, ale to jego słowa, tak powiedział, słowo w słowo, dodając też, że moja osoba, moje dzieło są, o czym wszyscy wiedzą,

niekompatybilne z nową rzeczywistością... I w końcu rozpoczęło się głosowanie. Poproszono, by podnieśli dłoń ci, którzy uważają, że artysta powinien uczestniczyć w kategoriowym krytykowaniu horrorów przeszłości, a swoją twórczością ma dążyć do wykorzenia pozostałości po starym społeczeństwie, jakie można jeszcze napotkać przy okazji tworzenia socjalizmu. Jednomyślność głosów. Głosowano przeciwko manifestowaniu elitaryzmu, ustępliwości, 98 -

hiperkrytycyzmu, miganiu się i tendencjom drobnoburżuazyjnym w sztuce, znów jednomyślnie. Pod głosowanie poddano wszystko, co można było przegłosować, za każdym razem przy pełnej zgodzie, aż w końcu postanowiono głosować za moim pozostaniem w zespole teatralnym, tym samym, który powołałem do życia, któremu nadałem nazwę i któremu poświęciłem życie, i spośród dwudziestu sześciu obecnych, dwudziestu czterech podniosło dłoń, opowiadając się za usunięciem mnie, pozostała dwójka nie mogła na to patrzeć i postanowili opuścić teatr. Wówczas zagłosowano też i nad ich przyszłością i zostali usunięci z zespołu, dwudziestoma czterema głosami za i żadnym przeciw... Wreszcie dyskurs na koniec, odczytany przez przewodniczącego zebrania, który dotychczas nie zabierał głosu, jak nietrudno się domyślić, nie wniósł nic nowego: powtórzył, że mamy do czynienia z otwartą walką z przeszłością, imperializmem i sługusami burżuazji, na rzecz lepszej przyszłości, społeczeństwa, w którym człowiek nie będzie człowiekowi wilkiem. Jednym słowem: nieudane zakończenie spektaklu popołudniem 1971, po którym można było nawet usłyszeć aplauz i pokrzykiwania radości... Kurtyna opadła mi na głowę...

Po ostatnim zdaniu wypowiedzianym przez Marquesa policjant poczuł potrzebę przyjęcia dawki nikotyny. Dotknął paczki

papierosów i ponownie przyjrzał się schludności pomieszczenia, postanowił dać szansę szamoczącej się abstynencji: pragnął sięgnąć w głąb otwartej rany Alberta Marquesa, którą ten postanowił przed nim odkryć. Czy to możliwe, że wszystko, o czym mówił, wydarzyło się w tym samym kraju, gdzie obaj żyli?

- Kto panu o tym wszystkim opowiedział?

Marqués uśmiechnął się i znów westchnął, zmęczony.

- Po pierwsze, dwójka, która pokonała strach i zbuntowała się przy przedostatnim głosowaniu. Potem, po kilku miesiącach, odwiedzili mnie wszyscy, którzy głosowali do końca, dwudziestu czterech... I jakieś dziesięć lat później usłyszałem o tym jeszcze raz z ust jednego z uczestników zebrania, znajdujących się po drugiej stronie stołu, prosił, żebym wybaczył mu jego postępowanie. Ale nie wybaczyłem, za nikczemność... Pozostałym tak, 99 -

prawie wszystkim, bo działali pod wpływem strachu, a ja wiem, co to strach, nikczemnikowi jednak nie wybaczyłem... Z tego, co wiem, autor dyskursu wygłoszonego tamtego dnia jest dziś uznanym głosicielem pierestrojki, który uważa głośność za społeczną konieczność. Co pan sądzi o takiej zmianie maski?

Conde spojrzał mu w oczy i ponownie poczuł się jak w teatrze, pośród oskarżonych, ogarnięty strachem i poczuciem winy, i zapytał sam siebie, czy on głosowałby przeciwko Marquésowi. Odpowiedział sobie, że z dzisiejszej perspektywy łatwo było powiedzieć, że nie, opowiadając się po stronie godności. Ale wtedy?

- Gdyby był pan wierzący, mógłby pan wybaczyć, czyż nie?

- Może dlatego właśnie nie chcę uwierzyć, panie policjancie...

Conde poczuł, że drugi raz nie oprze się pokusie zapalenia papierosa. Czuł się niezręcznie na myśl o paleniu w miejscu tak

akuratnym, tak czystym, którego właściciel z pewnością nie pochwaliby pomysłu, nie mógł się jednak powstrzymać, postanowił użyć własnej dłoni jako popielniczki.

- Sam pan jednak wspominał, że potem wiele się zmieniło i że nawet dostał pan propozycję powrotu do pracy w teatrze.

Marqués przyglądał niesforne kołtuny włosów. Tym razem na jego twarzy nie było widać uśmiechu.

- Owszem, to też jest prawdą, ale najpierw stało się coś innego. Wielu spośród usuniętych z różnych zespołów postanowiło w związku z wydarzeniami wkroczyć na drogę prawną i, jak się okazało, niepojęte są wyroki sprawiedliwości w moim kraju. Na mocy konstytucji Sąd Najwyższy przyznał im rację i mogli powrócić do swoich zespołów, otrzymali wynagrodzenie, ale minęło trochę czasu, zanim wrócili do pracy, bo jak wiadomo, to reżyser decyduje o tym, z kim chce pracować, prawda? Ja nie miałem ochoty stawać przed żadnym sądem, ani wtedy, ani potem, ani teraz. Nie chodziło o kwestię prawną: to były porachunki historyczne. Nie miałem też zamiaru przyjmować wynagrodzenia: wolałem pozostać bibliotekarzem, aniżeli pobierać stypendium, za które ktoś chciał kupować moje decyzje. Dlatego kiedy zwrócili się, żebym wrócił, odmówiłem, nie czułem się w obowiązku postąpić 100 -

inaczej. To, czego nie udało się stworzyć, pozostawało niestworzone. Jeślibym wrócił, to bardziej z próżności albo zemsty, niż z potrzeby mówienia o czymś ważnym, a to nie szło w parze ze sztuką. Dziesięć lat to szmat czasu, zdążyłem się przyzwyczaić do milczenia, nawet zaczęło mi ono sprawiać przyjemność, podobnie jak to, że moje imię wypowiedziano ściszym głosem, wskazywano na mnie palcem. Ponadto nikt nie mógł zagwarantować, że to, co się wydarzyło w roku 1971, nie powtórzy się, prawda?... A ja

nie miałbym już siły, by odbywać kolejną karę, po powrocie do spektaklu i świata teatru.

Mario Conde odniósł wrażenie, że wysłuchał niepotrzebnego wyznania. Wolałby zachować obraz człowieka dumnego i świadomego własnej wartości, o jakim opowiadał Miki, bezczelnego i amoralnego typu, o jakim wspominał raport wręczony mu dwa dni wcześniej, człowieka skazanego za bunt. Wolałby zachować w pamięci agresywną i prześmiewczą ironię, którą wykazywał się Alberto Marqués podczas ich pierwszego spotkania, a nie kogoś, kto, jak się teraz okazuje, został pokonany przez strach.

- Nie lepiej zapomnieć o tym wszystkim?

Stary dramaturg uśmiechnął się i spojrzał na sufit, jakby czekał aż coś mu spadnie z góry.

- Wie pan co, łatwo o tym mówić, ponieważ brak pamięci to jedna z psychologicznych właściwości tego kraju. Taka forma samoobrony i obrony wielu ludzi... Wszyscy o wszystkim zapominają i zawsze mówi się, że można zacząć od początku, i już: egzorcyzm wykonany. Jeśli nie ma pamięci, nie ma winy, a skoro nie ma winy, po co przebaczenie, dostrzega pan logikę? Ja to rozumiem, rozumiem to doskonale, bo ta wyspa ma do wypełnienia historyczną misję zaczynania wiecznie od początku, wszystko od nowa, co trzydzieści, czterdzieści lat, a zapomnienie staje się balsamem na wszystkie rany, które pozostają otwarte... I nie chodzi mi o to, żebym musiał wybaczać czy obwiniać kogokolwiek, chodzi o to, że ja nie chcę zapominać. Nie chcę. Czas przemija, ludzie odchodzą, zmienia się historia i wydaje mi się, że już zbyt wiele zapomniano, zarówno dobrego, jak i złego. Moje sprawy należą do mnie i nie mam ochoty ich zapominać. Rozumie mnie pan?

101 -

- Rozumiem - odparł Conde i wychylił się na dziedziniec, żeby



wyrzucić niedopałek i strzepać popiół uzbierany w dłoni. Miał ochotę zbroczyć z obranej mrocznej ścieżki rozmowy i wrócić do interesującej go kwestii. - Czy wie pan, gdzie Alexis trzymał Biblię?

Marqués popatrzył na niego znużonym spojrzeniem, jak gdyby uznał policyjny upór za bezmyślny i chorobliwy.

- Nie. Przejrzał pan uważnie półki?

- Nie ma jej tam, dlatego pytam.

- Jeśli pan chce, proszę mnie przeszukać - zaproponował i uniósł ramiona, przyprawiając Condego o gęsią skórę: szlafrok podwinął się na wysokość kolan, guziki napięły się, bliskie wystrzelenia. ...

- Nie ma takiej potrzeby. Będę musiał chyba już sobie pójść. Mam jeszcze trochę pracy - pospiesznie zawyrokował Conde i widząc Marquesa pozostającego w nieruchomej pozycji, gotowego na rewizję osobistą, nie mógł powstrzymać się od śmiechu. - Ale chętnie jeszcze z panem kiedyś porozmawiam.

- Kiedy tylko zechcesz, książę - odpowiedział Marqués i opuścił ramiona.

- Ostatnie pytanie, i proszę wybaczyć niedyskrecję... Co czuł pan do Alexisa Arayána?

Marqués rozejrzał się po pustym pokoju.

- Szkoda. No. Był zbyt kruchy, by żyć na tym okropnym świecie. I też go kochał.

- Dlaczego przebrał się za Elektry Garrigó?

Marqués zdawał się zamyślić, a Conde wyczekiwał nagłego wyjaśnienia, które sprawiłoby, że cała ta historia stałaby się bardziej czytelna.

- Ponieważ suknia była doprawdy urocza, a Alexis był pedałem. Nie wydaje się to panu wystarczającym powodem?

- Ale nie był przecież transwestytą...

Marqués uśmiechnął się, jakby dał za wygraną.

- Ach, nic pan nie zrozumiał.
- Tak już ostatnio mam: niczego nie rozumiem.
- Proszę nie odbierać tego jako przejawu zuchwałości, wiem, z kim i na co sobie mogę pozwolić... Ale widzę, że temat pana

102 -

interesuje... Może ma pan ochotę wybrać się ze mną dziś na imprezę? Będzie tam kilku transwestytów i paru innych interesujących typów.

Pograżony we wspomnieniach, Conde przyglądał się niezmiennie temu samemu krajobrazowi rysującemu się za oknem jego biura: korony drzew, dzwonnica kościoła, wysokie piętra budynków i morze, z wieczną i kuszącą obietnicą, zawsze w tle i zawsze nieosiągalne, wszędzie wkoło ta przekłeta woda, jak mawiał poeta, przyjaciel Marquesa. Lubił ten widok, obramowany okienną framugą, jakże bukoliczny i uładzony, teraz rozmywający się w mocnym i oślepiającym sierpniowym słońcu. Inspirował go do myślenia i wspomnienia, a był z niego przecież kawał nostalgika. Rozmyślał o tym, jak bardzo chciał się poświęcić literaturze i zostać pisarzem z prawdziwego zdarzenia, zwłaszcza w czasie dawnych lat szkolnych i przez okres niedokończonych studiów na uniwersytecie. Wiedział, że Alberto Marqués, posiadający niemało diabelskich talentów, obudził w nim cyklicznie powracające marzenie, do którego miał nadzieję, że nie będzie musiał już nigdy powracać, ale to ono samo wracało co jakiś czas. Niewiele trzeba było, żeby nigdy nie wyleczony wirus się aktywował. Wówczas Mario Conde czuł, że rozdarcie, jakiego padał ofiarą, służyło poszukiwaniom winy we wszystkim dokoła, tylko nie w nim samym: nigdy bowiem w istocie się nie postarał, żeby pisać, może dlatego, iż w rzeczywistości nie potrafił tego robić. Nie potrafił napisać czegoś, co miałyby ręce i nogi (i do tego jeszcze,

żeby wzruszało). Był przekonany, że chciałby pisać o zwykłych ludziach, którym nie towarzyszą ani wielkie uniesienia, ani niezwykle przygody, którzy prowadzą pospolite życie, mijające i niepozostawiające po sobie najmniejszego śladu na ziemi, lecz każdego dnia ci, których ono dotyczy, mierzą się ze znojem codzienności. Gdy myślał o preferencjach literackich, czytając Salingera, opowiadania Hemingwaya, niektóre dziewiętnastowieczne powieści oraz teksty Sartre'a i Camusa, wciąż wierzył, że jest to możliwe, że mogło być możliwe. Potrzeba ekshibicjonizmu? - zastanawiał się. Nie wiedział też, czy powinien żałować wyznania dramaturgowi swojej słabości,

103 -

przyznania się do ciągot artystycznych, nieadekwatnych dla kogoś, kto na co dzień zajmuje się represjonowaniem, a nie tworzeniem, bliższego plugawej, a nie subtelnej stronie życia... Śmiech Marquesa, wśród nieobecnego zapachu bugenwilli, przerywany czkawką, odbierał jako szyderstwo. Jednakże historia życia tego uszczypliwego wobec niego osobnika dominowała nad uprzedzeniami, sprawiała, iż nie widział w nim, jak jeszcze dwadzieścia cztery godziny wcześniej, jedynie wyuzdanego zboczeńca. „Jasny gwint” - mruknął i usłyszał, jak otwierają się drzwi, a zza nich wyłania się oczekiwana postać Manuela Palaciososa.

- Gdzieś się tyle podziewał, chłopie?

Sierżant Palacios osunął się na krzesło i Conde przeląkł się, że zaraz zemdleje. Kto go przyjął do policji? Musiał to być ten sam szaleniec, który zaakceptował mnie.

- Daj odsapnąć, znów nie działa winda.

Conde spojrział ponownie na krajobraz z morzem i pożegnał się z nim, do następnego razu.

- No i co słyhać?

- Nic, Conde, musiałem poczekać na szefa Alexisa. I dobrze

się stało, sprawa się komplikuje.

Sierżant Palacios nabrał głęboko powietrza, zanim zaczął mówić.

- Alexis nie był z Salvadorem K. Jego szef z Archiwum, niejaki Alejandro Fleites, który wygląda jak pierwszoligowy pedał, twierdzi, że Alexis i Salvador oddalili się od siebie ostatnio, a on sam widział Alexisa w towarzystwie jednego Mulata z Instytutu Kina, ma na imię Rigofredo López. Niezłe bajoro... Mówi, że między Rigofredem i Salvadorem K. doszło do sprzeczki w biurze Alexisa, wiesz, jacy oni są. Wniosek Fleitesa: zazdrość. Poszedłem zatem do Instytutu Kina i udało mi się dowiedzieć, że od dziesięciu dni Rigofredo przebywa w Wenezueli... Co myślisz o tym kurniku? Conde usadowił się w fotelu i zapytał:

- Co ci powiedział o Alexisie?

- Niewiele nowego... Że dobry był z niego pracownik, pozostawał w dobrych stosunkach z malarzami, że miał szeroką wiedzę i że nie wyobrażał go sobie ubranego w czerwoną sukienkę

104 -  
i chodzącego po Lesie Hawańskim. Był też zakompleksiony i bardzo nieśmiały...

- A co z Biblią?

- Z Biblią? Kurde, Biblia... - zrobił pauzę, jakby zamyślił się nad czymś, i w końcu powiedział: - Mam ją tutaj - i zaczął grzebać w torbie postawionej na podłodze.

- Pokaż mi ją - powiedział Conde i utkwiał wzrok w spisie treści z Ewangeliami.

Ewangelia według świętego Mateusza zaczynała się na stronie dziewięćset siedemdziesiątej pierwszej, a z tego, co przekazał mu ojciec Mendoza, epizod poświęcony Transfiguracji występował w rozdziale siedemnastym. Przeglądając nagłówki na stronach,

Conde zerknął na pierwszą Ewangelię, znalazł rozdział szesnasty, potem dziewiętnasty, tak po prostu, najpierw jeden, potem drugi. W jego głowie zapaliło się światełko alarmowe. Przejrzał strony raz jeszcze: brakowało kartki ze stronami dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć i dziewięćset dziewięćdziesiąt, gdzie powinny się znajdować rozdziały siedemnasty i osiemnasty z Mateusza.

- Wiedziałem, kurwa, Alexis myślał o Transfiguracji... Popatrz, brakuje strony z tym fragmentem. Poczekaj, sprawdzimy w innych rozdziałach.

Powoli Conde zaczął przeglądać wersy Ewangelii świętego Marka i Łukasza, w obu nie brakowało stron, w rozdziale dziewiątym ewangelii według świętego Marka przeczytał: „Jego odzienie stało się lśniaco białe tak, jak żaden folusznik na ziemi wybielić nie zdoła”, w rozdziale dziewiątym u Łukasza natomiast: „Gdy się modlił, wygląd Jego twarzy się odmienił, a Jego odzienie stało się lśniaco białe”.

- Gdzie znalazłeś Biblię, Manolo?

- W biurze Alexisa. W dolnej szufladzie, niezamykanej na klucz.

- Ktoś wiedział, że tam była?

- Szef twierdzi, że nie wiedział... Nie mówiłeś, że...

- Nie, nieważne. Problem w tym, że ktoś wyrwał kartkę. I popatrz na to: zrobił to bardzo starannie, nie widać postrzępionego brzegu. Może zrobił to sam Alexis... Rozumiesz, co to może oznaczać?

105 -

- Że miał tam coś zanotowane.

- Coś, co mogło komuś zaszkodzić i to ten ktoś mógł usunąć kartkę. A jeśli nie, mogło tam być coś, co miało znaczenie dla niego, dlatego postanowił ją wyrwać. Skoro tak, może nam to pomóc sporo wyjaśnić, Manolo: ten koleś miał nie po kolei w głowie

i dokonał transfiguracji na własną rękę, żeby wspiąć się na swoją Golgotę. Stawiam moje pośladki, że tak właśnie było.

- Partnerze, może jakiś inny zakład, widzę, że ulegasz wpływom niektórych znajomości... Pamiętaj, że Salvador wiedział o Biblii w szufladzie.

- Sądzisz, że to on?

- Nie wiem, ale zaprosiłbym go do nas i ponaciągał to jego „K.”.

- Sam nie wiem, Manolo... Jeśli to on, po co wspominał o Biblii? Nie wydaje mi się, żeby Salvador był takim frajerem, ani że to jego sprawka. Jak myślisz?... Muszę iść na słówko do Starego. Zaczekaj na mnie.

- Zawsze na ciebie czekam, Conde.

Porucznik udał, że nie słyszy ironicznego komentarza i wyszedł na korytarz. Ruszył w stronę schodów, po nich dotarł na ostatnie piętro. Pokonał kolejny przedpokój i znalazł się w sekretariacie przed gabinetem majora Rangela. Za biurkiem Maruchi - zawsze stawiała na nim mały flakonik z kwiatkiem, a teraz go nie było, może odszedł razem z nią - siedziała ta sama pani porucznik, której obecność tak go zaskoczyła poprzedniego dnia. Conde przywitał się i poprosił o spotkanie u majora.

- Nakazał, żeby mu nie przeszkadzać - powiedziała pani porucznik.

- Proszę mu przekazać, że to pilne - zripostował Conde. - Jeśli jest pani tak miła...

Wydobyła z siebie głośny pomruk, w stylu „co za upierdliwy typ”, ale nacisnęła przycisk interkomu i przekazała majorowi, że porucznik Conde domaga się widzenia. „Niech wejdzie” - odparł głos Starego.

Conde otworzył drzwi i ujrzał przełożonego z cygarem w ustach. Było to takie samo siano z Holguin jak cygaro palone podczas

ostatniej wizyty.

106 -

- Co cię sprowadza, Mario? - zapytał Stary, a jego głos wybrzmiał powoli i mrocznie.

- Przynoszę ci coś, dlatego to takie pilne - i wyjął z kieszeni koszuli olśniewającego Montecristo, którego wyszachał od Faustina Arayana.

- A skąd żeś ty to wytrzasnął, chłopie?

- Obiecałem, to jest.

- Ożeż ty, nieźle - powiedział i bez spoglądania cisnął przez okno pałacy kikut cygara z Holguin, zaraz potem oddał się wachaniu Montecristo. - Trochę suchy, wiesz?

- Już szanowny pan sobie poradzi...

- Czego jeszcze chcesz? Już ja cię znam...

Conde usiadł i zapalił papierosa.

- Wezwali Manola, co z nim nie tak?

Major nie odpowiedział. Obwąchał jeszcze raz cygaro i z namaszczeniem umieścił je w szufladzie.

- Na po podwieczorku...

- Dowiem się? - nalegał Conde.

- Wzywają go z twojego powodu - odpowiedział Stary i wstał z miejsca.

- Z mojego?

- No, nic niezwykłego. Oficjalnie jesteś zawieszony, dlatego interesuje się tobą Wydział Śledztw Wewnętrznych...

- Chyba mnie zaraz trafi, kurwa ich mać...

- Posłuchaj - zaryczał Rangel, zmieniając barwę głosu ze zmęczonego na dźwięczny i autorytarny, wskazał palcem na porucznika. - Będziesz siedział cicho... Jak tylko coś zrobisz, powiesz, skomentujesz albo o czymś pomyślisz, a ja się o tym dowiem,

wtedy dopiero dam ci popalić, rozumiemy się? Tutaj jest jak w ulu, nie chcę ani jednego dodatkowego problemu. Manola będą pytać o ciebie, i co on im może powiedzieć? Nic... Że mieliście z Fabriciem do pogadania i tyle. Tyle...

Conde zgasił papierosa i zapragnął znaleźć się jak najdalej stąd. Jakby nie wystarczyło, że ściga gwałcicieli, złodziei, malwersantów, a nawet zabójców mistycznych transwestytów, to jeszcze jest podejrzany o nie wiadomo co.

107 -

- Pogadaj z Manolem i wyjaśnij mu w czym rzecz. Ale zrób to poza murami tej instytucji. Kapujesz? Jak ktoś się dowie, że cię o tym poinformowałem, to mi urwą jaja. Okej?

Conde nie odpowiedział.

- Okej, Conde? - zapytał ponownie Major.

- Okej, Stary... Na mnie już czas... - i zerwał się na równe nogi.

- Weź się w garść. Jak tam idzie twoja sprawa?

Conde wzruszył ramionami. Nagle stracił całe nią zainteresowanie.

- Idzie średnio... Mam trupa, który bawił się w oświeconego przez Boga, i podejrzanego, za którego winą przemawiają wszystkie znaki na niebie, ale nie mam ani jednego dowodu.

- I co z tym zrobić?

- Muszę węszyć dalej.

- No nieźle - powiedział Stary i wysunął szufladę, wyciągając z niej Montecristo. Odgryzł końcówkę, jak robią to zawodowcy, i posmakował przez chwilę tytoń. Następnie splunął do kosza i gdy przysuwał ogień do cygara, coś sprawiło, że się zatrzymał i pokręcił głową. - Za dobry okaz, żeby go teraz wypalić. Zasluguje na towarzystwo porządnej kawy - i włożył cygaro z powrotem do



szuflady. - Jedna rzecz, Conde. Dostałem telefon z prośbą, żeby sprawę poprowadzić dyskretnie. Powiedziano mi coś, o czym nie wiedziałem: że ofiara to syn starego Arayana, a wiesz, co to oznacza. Chcą, żeby nie nagłaśniać zdarzenia, nie łączyć go z rodziną, a jeśli, to jak najmniej, nie podoba im się całe to pedałstwo ani transwestytyzm, w które uwikłał się ich dzieciak. Tak że wiesz: nie naprzykrzaj się nadto rodzinie i postaraj się szybko rozwikłać zagadkę, bez zbytnich ekscesów, okej?

- Rozumiem, jak sobie życzą - odpowiedział natychmiast i wyszedł z gabinetu, nie pożegnawszy się z majorem. Teraz jego pragnienie porzucenia tego wszystkiego wzmogło się. Pomyślał: „Co za gówno. Nawet kawy nie ma, żeby do niej zapalić cygaro”.

108 -

- I jak ci się podoba?

Conde uśmiechnął się, spoglądając na pożółkłe i wysuszone kartki pisma aspirującego niegdyś do bycia literackim. Wydało mu się, że wszystko to przynależy do innego życia, zbyt odległego, żeby mogło być tym samym, które wciąż trwało: jego opowiadanie w spisie treści, na odwrocie okładki, na której figurowała odbitka rysunku kościoła Jesús del Monte, z pompatycznym tytułem „La Viboreña”, za którym skrywały się pragnienia i nadzieje, zniszczone w wyniku brutalnego cięcia nietolerancji i niezrozumienia.

- Naiwne i bez napięcia. Pamiętałem coś innego, że było bardziej prowokacyjne i wzruszające - powiedział i ułożył się na łóżku Chudego Cariosa. - Powiedziałbym, że zbywa ładnych kilka „że” i brakuje przecinków...

- Po co chciałeś je czytać?

Conde polał sobie rumu, przyłożył butelkę do szklanki Chudego.

- Nie wiem, czy chciałem odświeżyć sobie pamięć, przypomnieć, o czym jest opowiadanie, czy co o nim mówili.

Carlos łyknął rumu i wykrzywił usta, zbyt wyraziście jak na kogoś, kto starannie każdego dnia odbywa podobną praktykę.

- Kto o tym jeszcze w ogóle pamięta, Conde...
- Ja - oświadczył i pociągnął długi łyk, jakby trochę za duży.
- No dalej, bestio... Co się dzisiaj z tobą dzieje, he? Wczoraj byłeś bez zarzutów, a dziś...

Conde spojrział na przyjaciela: cielesna masa coraz większych rozmiarów spoczywająca na wózku. Zamknął oczy, jak czynił to bohater jego opowiadania, i jak on pomyślał o życzeniu: Niech to wszystko będzie nieprawdą. Chciałby, żeby Chudy był znów chudy, żeby nie był grubasem przypominającym idący na dno statek, który zabiera z sobą ostatnie pokłady radości Maria Conde. Zapragnął zagrać w baseball na rogu ulicy, razem z całą ekipą, wszystkimi chłopakami z tamtych, dawnych czasów, i żeby nikt go nie wykluczał z tego, co było tak mocno jego. Jednocześnie chciał o wszystkim zapomnieć, raz na zawsze.

- Nie zamierzasz mi powiedzieć, co się z tobą dzieje? - nalegał Carlos i podjechał wózkiem do rogu łóżka, na którym odpoczywał przyjaciel.

109 -

- Mam przewalone, Chudy. Już nawet nie chcą mnie jako policjanta... Dzisiaj będą przepytывать Manola w mojej sprawie. Może mnie wyślą na emeryturę. I co ty na to? Trzydziestopięcioletni emeryt...

- Poważnie mówisz?
- Śmiertelnie poważnie.

Chudy zaśmiał się. Drań nie mógł się powstrzymać.

- Nie ma na ciebie mocnych.
- Tak mówią. Polej jeszcze rumu. Mam swoje obawy.
- Jakie, brachu? Co nabroileś?

- Nie wiem, ale nie mogę się pozbyć obaw... Jeszcze trochę rumu.
- Ejże, nie myśl o tym... Conde, wiadomo nie od dziś, że masz przewalone, ale równy z ciebie gość. Nikomu nic nie jesteś winien, tak że niczego się nie obawiaj, słyszysz?
- Dobra, słyszę - przyznał bez przekonania.
- Mówiłem ci, że dzisiaj rano odwiedził mnie Andres?
- Wczoraj powiedziałaś, że ma przyjść. Wreszcie, co takiego od ciebie chciał ten świr?

Carlos dolał sobie rumu, łyknął okazałą ilość i przybliżył się do przyjaciela. Znalazł się tuż naprzeciw niego.

- Przyjeżdża Dulcita - powiedział.
- Dulcita? - zadziwił się Conde: Dulcita?

Minęło już ponad dziesięć lat, odkąd Dulcita wyjechała do Stanów Zjednoczonych, Conde przypomniawszy sobie, ile to razy rozmawiali z Chudym o jej wyjeździe, wspominając licealne czasy, kiedy to przez dwa lata dziewczyna i Carlos byli parą. Inteligentna Dulcita, perfekcyjna Dulcita, świetna kumpelka, która postanowiła wyjechać, pozostawiając wszystkich z pytaniem: dlaczego, dlaczego akurat ona? A teraz wracała.

- Jak to, brachu?
- Przyjeżdża zobaczyć się ze swoją babcią, z tego, co wiadomo, staruszka szykuje się do przejścia na tamten świat. Andres o wszystkim wie, ponieważ zgłosili się do niego w sprawie zaświadczenia lekarskiego, którego Czerwony Krzyż potrzebuje, żeby wydać pozwolenie na podróż.

110-

- No to ładnie - odezwał się Conde, nie mogąc wyjść ze zdziwienia.

Chudy dokończył rum i położył dłonie na kolanach Condego,

który poczuł ciepło i wilgoć okazałych rozmiarów kończyn.

- Lepiej niż ładnie, stary. Wiesz, co powiedziała Andresowi siostra Dulcicy? Że jak będziemy się zachowywać i jeśli nie będzie to dla nas problemem, chce się z nami zobaczyć. I że przede wszystkim chce się spotkać ze mną.

Conde już miał się roześmiać, niesiony impulsem, ale w jednej chwili spochmurniał, zdusił śmiech, zanim ten zdążył się pojawić.

- Powiedz, Conde, myślisz, że Dulcita może mnie zobaczyć w takim stanie? - i wskazał swoimi otyłymi dłońmi na ciało, niemieszczące się w wózku inwalidzkim.

Mario Conde podniósł się, podszedł do okna i splunął stanowczo. „To niesprawiedliwe” - pomyślał, przypominając sobie zdjęcie, na którym Pancho, Tamara, Dulcita, Chudy i on stali na schodach przed liceum, w dniu, gdy złożyli podania o przyjęcie na uniwersytet. Chudy był wtedy bardzo chudy, chodził o własnych siłach, stał pośrodku grupy z rozłożonymi ramionami i przechyloną na bok głową, jak gdyby szykował się do zostania ukrzyżowanym: Carlos i Dulcita stanowili piękną parę, bez zarzutów, obydwójce byli miłośnikami seksu i życia, radośni i zakochani... „Nie, to nie jest sprawiedliwe” - pomyślał i powiedział:

- Posłuchaj, jeśli chce cię zobaczyć, a ty chcesz się zobaczyć z nią, nie ma problemu: ty to ty, jesteś, jaki jesteś i już, a jeśli ktoś kogoś kiedyś kochał, będzie kochał i dziś, a jeśli nie, niech spieprza, gdzie pieprz rośnie.

- Nie pieprz, Conde, to nie o to chodzi.

- Nie o to chodzi? Widzisz, jak dla mnie, o to chodzi, jesteś dla mnie jak brat i tak to ma wyglądać... Ale jak nie masz ochoty się z nią zobaczyć, nie spotkasz się z nią, i po sprawie.

- Najgorsze, że chcę się z nią zobaczyć, Conde. Ale to nie takie

zabawne, żeby oglądała mnie w takim stanie. Sam rozumiesz.

Conde zapalił papierosa i wrócił na łóżko. Przysunął wózek z Carlosem, żeby mieć przyjaciela jak najbliżej siebie.

111 -

- Chudy: nie bądź łajza - powiedział. - Nie daj się zagnać w kozi róg, kurde balans, jeśli ty sam się poddasz, dopiero będziemy mieć przechlapane. Zrób to dla siebie i dla mnie, i dla staruszki Josefiny: nie pozwól, żeby cokolwiek dało ci radę. Ani kula wystrzelona z karabinu, ani przeszłość, ani ten pieprzony wózek - wykrzyczał na jednym oddechu i wbrew zwyczajowi, by pomyśleć, zanim coś zrobi, chwycił w dłonie twarz Carlosa i pocałował go w policzek. - Nie poddawaj się, bracie.

- Co to, kurwa, ma być?

Jasne, że tak. Było to chyba najgorętsze lato, jakie dotąd przeżył, doszedł do wniosku, rozbierając się, żeby wziąć prysznic. Od jakiegoś już czasu Conde starał się sobie przypomnieć sierpniowe temperatury wyższe niż panujące tego okrutnego lata, lecz słońce wpijające się w ściany, para dobywająca się z sufitu, wilgoć osaczająca łóżko, a do tego studzienna depresja, bez trudu dająca radę jego woli i mięśniom, potwierdzały, że nie, nie było możliwe, aby kiedykolwiek wcześniej miało miejsce coś podobnego. A może to ciepło emanowało z jego ciała, może to nie piekielny klimat, jaki zadomowił się na wyspie? Spojrzał na zegarek: jeszcze za wcześnie, żeby dzwonił do niego Palacios, nie wiedział też, czy zdobędzie się na odwagę, żeby wykreć numer Marquesa.

Conde wyszedł z łazienki ociekający wodą, z ręcznikiem zarzuconym na ramiona, jak pokonany w ringu bokser, i postanowił wysuszyć się przy jednostajnym powiewie wentylatora. Pozwolił osunąć się ciało na rozgrzane łóżko i przez chwilę oddał się napawającemu go radością poczuciu samotności, czuł, jak jego wy-

swobodzoną męskość chłodzi powiew powietrza przedostającego się bez skrpułów między pośladki. Złączył nieznacznie nogi. Wychoząc naprzeciw powietrzu, chwycił mokry członek i uniósł go, dotykając jego końca, niegdyś potraktowanego chirurgicznie, następnie puścił, aby opadł. Ten po chwili, już samodzielnie, wznosił się, tym razem twardszy. Conde zaczął się zastanawiać, czy aby powinien oddać się masturbacji: nie znalazł powodu, dla którego miałby tego nie robić. Nie istniała żadna kobieta, która czekałaby

112 -

na tę skazaną na marnotrawstwo ejakulację. Gdy się dotykał, wydało mu się, jakby gorąco ustępowało. Podjęta decyzja wiązała się z wątpliwością: czyja kolej? Nie oswobadzając z uścisku swej męskości, zwalniając ruchy dłonią, Conde otworzył w wyobraźni księgę z zapisanymi w niej kobietami, tymi, które kiedyś kochał, przerzucił kolejne strony, starając się pomijać fragmenty poświęcone rozstaniom, zdradom i zniknięciom przypisanym każdej z nich: na ostatniej stronie - zawsze zaczynał od końca, jak wtedy, gdy czytał pismo „Bohemia” - zaskoczył Karinę, nagą, z lśniącem saksofonem przytkniętym do ust. Przypomniawszy sobie jak w rytm muzyki pieścił jej sutki, poruszał się między jej rozłożonymi nogami, ale zaraz porzucił ją z obojętnością, w ramach rewanzu, gdyż zbyt świeżo w pamięci pozostawało bolesne wspomnienie rozstania. Wciąż mógł czuć jej zapach dojrzałego owocu, smacznego, gdzieś między guajawą i miękką śliwką, mieszającego się z intensywnym aromatem jej spragnionego rozkoszy seksu.

- Nie, ty nie.

Nie dał też okazji Haydee, przypominając sobie o zapachu alkoholu konsumowanych przez nią z desperacją spragnionych nędzników, wrócił aromat rumu wokół ust, na piersiach, pod brzuchem, zawilgoconym ze zdwojoną siłą, dlatego też wycofał się, wolał

nie drażyć tego wspomnienia - chociaż nie pokonał całkowicie pokusy - bo to ona przecież należała do najlepszych kochanek jakie miał, wymagająca w łóżku nie zadowolila się tym, co miał jej do zaoferowania Conde, i perfidnie wymieniła go na jakiegoś awangardowego buhaja krajowej produkcji (czyje pośladki pieści dziś swoim świdrującym i eschatologicznym językiem nienasyconego gada?). Nie wzburzyło mu krwi wspomnienie jego byłej żony Maritz, odległej i dość już wyeksploatowanej, mało przydatnej do letniej masturbacji, ledwie pamiętał różowy odcień jej dziewiczej skóry, zawsze wykąpana przed miłosnym aktem, czysta i nieskażona; z nostalgią bardziej aniżeli z pożądaniem pomyślał o pielęgniarce nimfomance, dość chudej i pachnącej pierwotnym zapachem, której imienia nie mógł sobie przypomnieć, ale o której zawsze pamiętał, bo to ona odkryła przed nim przyjemność bycia pieszczonym, pocieranym przez obcą dłoń, dotyk czyjejś skóry;

113 -

a gdy przyszedł czas na Tamarę, prawie z nią pozostał, opuszki jego palców i pofałdowana skóra moszny zareagowały na wyobrażenie jej tyłka tancerki rumbi i piersi o sutkach jak u Murzynki, głębokiej czerni kędzierzawego zarostu, ostrego zapachu męskich perfum, jakich używała - „Canoe to moje ulubione” - zwykła mawiać, miała alergię na delikatniejsze, damskie zapachy - i nakrył dłonią album - a także nabrzmiałą żołądz gotową wystrzelić - żeby dojść do definitywnej konkluzji: żadna z nich... Sięgnął ręką pod łóżko i wyciągnął egzemplarz „Penthouse'a”, który Peyi podarował Chudemu, a ten przekazał go jemu, i bez najmniejszych wątpliwości rozpoczął poszukiwania bezwstydnej blondynki - kudłatej na górze, bezwłosej na dole - która w tej samej pozycji co on - rozwarte uda w oczekiwaniu na bryzę lub coś innego - pośród czerwieni prześcieradła profesjonalnie prezentowała uroki swego ciała: jeśli

zdjęcie mogłoby pachnieć, byłby to zapach wilgotnej ziemi, żyznej i pierwotnej, gotowej do zaorania. „Jesteś lepsza niż wszystkie inne razem wzięte” - rzucił w stronę blondyny, nachylił się i wznowił ruchy, do chwili aż przestał zwracać uwagę na zdjęcie, zmrużył oczy i poczuł, jak uchodzi z niego życie, wypływane na zakurzone kafelki wyścielające podłogę pokoju, w białych kroplach skrywał się słodkawy zapach perfum, wypełniający jego samotność...

Ulga seksualna nie sprawiła, że upał ustał: ciało i mózg paliły go i rozumiał, że darmo cały wysiłek: na tego rodzaju gorąco nie było lepszego lekarstwa niż prawdziwa kobieta, przynależna rzeczywistości, dotykalna, zdolna zaradzić przygnębiającemu poczuciu opuszczenia, jakie powoli wypalało każdą część ciała, bez litości, bez lekarstwa ani szansy na samodzielne zaradzenie temu.

Z wysokości łóżka przyjrzał się Rufinowi, bojownikowi zamieszkującemu okrągłe akwarium. Byli kumplami od jakichś dziesięciu dni, kiedy wyruszył na jego poszukiwania, po tym jak stary Rufino obudził się nieruchomy, brzuchem do góry i z rozłożonymi płetwami, jak gdyby wyczekiwał wiatru, który miał nigdy nie nadejść, ze śmiertelnie bladą barwą fioletowych łusek rasowego bojownika. Teraz młody Rufino zatrzymał się, jakby zmęczony pływaniem w gęstych wodach akwarium. Conde niemal dostrzegał krople potu na jego ciele, kręgowiec utkwiał ślepią w ścianie akwarium, ledwie 114 -

poruszając maleńkimi skrzelami wojowniczego gatunku, i zaczął schodzić w dół, bezwolnie, powoli, nieruchomy, jak ktoś definitywnie przegrany, i Mario przyjął ten widok jak odbicie samego siebie, jakby to on sam osuwał się w przepaść, swobodnie i prawdziwie, bez możliwości zanegowania tej prawdy, jak zmierzająca ku upadkowi cywilizacja zachodu albo nieuchronne osunięcie się penisa, wyczerpanego i zużytego. Instynkt samobójczy?



Conde sięgnął po papierosa i rozpoczął kolejne, powolne samobójstwo, tym razem przyjemne.

- Co to, kurwa, ma być? - warknął, gotów ruszyć z powrotem pod prysznic, gdy rozbrzmiał dźwięk telefonu.

- To ja, Conde.

Zaczekaj, Conde, zaczekaj, nie odchodź. Nie, właśnie dlatego chciałem porozmawiać na ulicy, na spokojnie. Poczęstuj mnie papierosem. Zaczekaj... Widzisz, nie wiem, czego chcą się dowiedzieć na twój temat, bo wiedzą wszystko i nie wiedzą niczego, zdaje się, że ciągną za wszystkie sznurki, żeby zobaczyć, który zadziała. Nie wymyślam, Conde, daj mi powiedzieć, stary. Kurwa, dzisiaj jest jeszcze cieplej niż wczoraj, nie? Zapytali, co wiem o twoim życiu, cudach, jakie poczyniłeś, pytali też o mnie, żeby była jasność, ale na wszystko mieli gotową odpowiedź, jak mamę kocham. To niesamowite, chłopie: wiedzą nawet, ile fajek wypalamy dziennie, ale widać, że nic na nas nie mają. W końcu jest się tym policjantem, nie? Chcieli się wywiedzieć o twoje relacje ze Starym, czy się kumplujecie, ale o tym przecież wie cała Centrala, czy wiem coś o tym, że Stary zatuszował jakiś twój wyskok, tego typu rzeczy. Drażyli temat i szczerze powiem, nie jestem pewien, czy chodziło im o ciebie czy o majora Rangela. Jak sądzisz? Ale sprawdzają też i jego, sam wiesz... Pytali, czy ta chryja z porucznikiem Fabriciem to nieporozumienia zawodowe czy coś osobistego, co sędzę o prowadzonych śledztwach, czy uważam, że masz problemy z alkoholem, dlaczego mieszkasz sam, dajesz wiarę, wyobraź sobie. Zadawali też pytania o twoich informatorów, wymienili nawet imię Candita, czy zapewniasz mu bezkarność

115 -

przy prowadzeniu nielegalnych interesów i tym podobne, jakby nikt inny tego nie robił, nie? Ach, i weź sobie wyobraź, wiedzą,

co cię łączyło z Tamarą, wtedy kiedy prowadziłeś sprawę jej męża. Komu o tym się wyświadałeś, Conde? No, w każdym razie, oni o tym wiedzą, i że później przestaliście się widywać, takie informacje też posiadają. I jeszcze całą masę innych bzdur, ale już nic takiego. Pytali, skąd u ciebie zamiłowanie do odwiedzania kościołów, dlaczego opowiadasz ludziom, że chciałbyś mieszkać w domu w pobliżu morza, czy wciąż chcesz być pisarzem, a jeśli tak, o czym lubisz pisać. I tyle, powiedziałem, że piszesz o rzeczach plugawych i wzruszających, i tu faktycznie nie wiedzieli, co powiedzieć. Czujesz, Conde, oni o wszystkim wiedzą. Zdajesz sobie nagle sprawę, że żyjesz w przeźroczyściej klatce, kurde, że widzą, jak srasz, szcrasz, wyciągasz smarki z nosa, bo głowę dajesz, że wiedzą, czy kręcisz kulki, czy przylepiasz śpiki pod stołem, i to naprawdę mnie przerażyło. Mają nas rozpracowanych, wiedzą o każdym naszym kroku, co robimy i czego nie robimy, interesuje ich wszystko. Może jestem frajerem, ale nie spodziewałem się, że tak to wygląda. To doprawdy przeraża, Conde, mówię ci, przeraża. Nie, była ich trójka, nie znam żadnego, kapitan i dwóch poruczników, zgodnie z tym, jak się przedstawili, mieli na sobie mundury terenowe, bez odznak. W biurze na drugim piętrze, obok sali spotkań. Poprosili, żebym wszedł, podali kawę i jakby nigdy nic, jak przyjacielska pogawędka, a oni robili za ciekawskich, takich co to ich interesuje absolutnie wszystko, każde głupstwo. A zadając pytania, są prawdziwymi skurczybykami, żebyś tylko widział, jak krążą, żeby cię przyłapać i wyciągnąć to, co ich interesuje, ale tak, żeby wyglądało, jakby ich to wcale nie interesowało, wiesz, ale ze mną nie poszło im, jak sobie zaplanowali, po pierwsze dlatego, że znam te numery na pamięć i jestem, jak sam mawiasz, wydepilowanym lwem, a po drugie, nie wiem nic z tego, co mogłoby ich interesować. Twierdzą, że to konieczne, że natrafiono na wiele

nadużyć, niezdyscyplinowanie, naruszenia regulaminu, a na taki obrót spraw nie można pozwolić i dlatego wysłano ich, by przebadali sytuację, i każdy kto dopuścił się wykroczeń, będzie musiał ponieść karę. I jeszcze raz, Conde: nie mają niczego na ciebie ani

116 -

na mnie, są gotowi przyłożyć nóż bardzo nisko, bez zastanawiania się dwa razy, także uważaj na siebie w najbliższych dniach, bo wygląda na to, że zrobiło się gorąco. Żeby nie było, wiesz kogo dzisiaj zwinęli z Centrali? Grubego Contrerasa... Nie, oczywiście, że nie powiedzieli mi, dlaczego, ani ja się nie dopytywałem, nie chcę się narażać bez sensu, jak jakiś palant, ale zwinęli go, muszą coś na niego mieć, nie trzeba być geniuszem, żeby na to wpaść, tutaj owszem, możesz zastawić własne cztery litery, mają coś na

- niego, na bank... Biedny Gruby, nie?

„To Afón” - powiedzieli niemal szeptem Pancho i Królik, kiedy odkrył, że jego walizka jest otwarta, a w środku brakuje dwóch puszek skondensowanego mleka, przechowywanych jak skarb na czas, gdy nadejdą noce głodu i zimna. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie wściekłości, poczuł ukłucie w skroniach i suchość w gardle, ale zanim się zdecydował, zastanowił się dwa razy: „Nie mam innego wyjścia, muszę się postawić. Jeśli zostawię sprawę bez wyjaśnienia, wejdą mi na głowę, jestem mężczyzną, kurwa” - pomyślał. Konkludował też, że przegra potyczkę. Czarny Afón, z tymi swoimi bicepsami kulturysty, rozpracuje go raz-dwa, nie miało większego sensu zostać okradzionym i do tego jeszcze mieć poharatane usta i napuchnięte oczy, i w takim stanie stawać przed komisją dyscyplinarną, ale tu w puszczy prawo było zapisane na grzbiecie tygrysa, a pierwsze z nich mówiło, że mężczyzna to mężczyzna, rano, w południe i nocą, drugie natomiast: „Lepiej martwy niż poniżony”, i że kiedy komuś ukradną jedzenie i wiadomo, kto

jest złodziejem, a ten nie zareaguje jak należy (czyli pięściami), jest to pierwszy krok w stronę upodlenia bez dna: skoro dzisiaj ukradli ci jedzenie z walizki, jutro może to być ubranie, potem pieniądze, a po trzech dniach będziesz zmywał naczynia trzem typom, albo, jak Bertino, gził się w łóżku z połówą zagrody, tłumacząc się jak on, że wkładanie palca w tyłek to tylko taka zabawa, a robisz to dlatego, że jesteś otwarty i nie masz kompleksów. W tych obozowiskach, stworzonych na określone potrzeby, nie można było liczyć na rodzicielską ochronę, każdy musiał dbać o siebie

117 -

sam, uczniowie musieli się bronić, gdy zaistniała taka potrzeba, odwoływać się do pierwotnych instynktów, trwała ciągła walka o jedzenie, wodę, lepszy materac, czystą łazienkę i wygodniejszą pracę, niekończące się współzawodnictwo, wywołujące agresję, którą dało się pokonać tylko jeszcze większą agresją. Krzyk za krzyk, kradzież za kradzież, cios za cios - tak brzmiało trzecie prawo tego okrutnego współistnienia, gdzie nie było miejsca dla mięczaków. Szybkim ruchem zamknął drewnianą klapę sponiewieranej walizki i wyszedł na dziedziniec, gdzie Afón, jak gdyby nigdy nic, grał w siatkówkę, ścinając swoimi muskularnymi ramionami piłkę nie do zatrzymania.

Conde wtargnął na boisko i złapał piłkę, która akurat przelatywała w pobliżu, chwycił ją pod rękę, przy protestach graczy, i ruszył w stronę Afóna, myśląc: „Kurwa, nie może mnie teraz zawieść głos”, i głos go nie zawiódł, gdy wypowiadał słowa: „Oddaj mi moje dwie puszki mleka”. Wokół zapanowała cisza, gracze szykowali się na show, który właśnie został zapowiedziany. Afón rozejrzał się po publiczności i obdarzył swoich wielbicieli uśmiechem, tak pewnym siebie, że aż wzbudzał strach. Wtedy odezwał się:

- Co ci nie gra, dzieciaku?
- Ukradłeś mi mleko, cwelu - krzyknął Conde i pomyślał - wszystko miał przemyślane - że nie ma co więcej używać słów, i cisnął piłką w twarz czarnego Afóna, i zaraz potem, już nie myśląc, rzucił się za piłką na oniemiałego złodzieja. Udało mu się zadać dwa ciosy, w okolicach szyi, aż pięść Afóna wbiła się w jego policzek i wylądował na ziemi, co miało oznaczać początek końca, i wówczas z oddali dobiegł głos: „Afón, zostaw dzieciaka i oddaj mu jego puszki z mlekiem...” Ale wtedy Conde już zdążył się pozbierać i niesiony furją, jaką obudziło w nim uderzenie otrzymane w twarz, ruszył do ponownego ataku, nie myśląc o nikim ani o niczym, i dopiero czterech czy pięciu graczy zdołało wyswobodzić go ze śmiertelnego uścisku, w jakim po chwili trzymał go Afón, a wtedy rozbrzmiał jeszcze raz głos Czerwonego Candita, który stał z rękami na biodrach naprzeciwko złodzieja: „Afón, oddasz mu jego puszki z mlekiem, co nie?”

118 -

- Afón by cię wtedy zabił, Conde - roześmiał się Candito, dopijając filiżankę kawy.
- Nie świruj, Czerwony, nikogo by nie zabił... Dlaczego oddał mi mleko, jakby nigdy nic, a tobie nic nie powiedział?
- Poczciwy Afón, nie mam pojęcia, skąd brał tyle siły, cały czas nie dojadając. Smakuje ci kawa?
- Pierwsza klasa - zawyrokował Conde.
- Nie jestem specem od parzenia kawy. Zawsze mi wyjdzie albo lura, albo za słodka, albo za mocna, a czasem się zagotuje i smakuje jak rosół...
- Ta wyszła ci idealnie - ocenił Conde, który miał się za smakosza kawy, i zapalił papierosa, podając paczkę Czerwonemu Canditowi. Mulat wyjął jednego i rozsiadł się w fotelu. O tej porze

dnia korytarz kamienicy był wyjątkowo ożywiony, dało się słyszeć pokrzykiwania i hałasowanie wszystkich możliwych sąsiadów: wrzaski bawiących się dzieci, kobietę proszącą o sól, głośnie radio grające muzykę i informujące o wykolejeniu się pociągu w Matanzas, z ofiarami i rannymi, i mężczyznę przeklinającego zawszonego kundla, który narobił mu przed wejściem do mieszkania.

- Czasami ma się ochotę wybyć stąd na Księżyc, Conde... Wiesz, że tutaj się urodziłem, w czasach, kiedy jeszcze nie mieliśmy grilla ani łazienki, a to mieszkanie było dwa razy mniejsze i mieszkaliśmy tu: rodzice, dziadek, mój brat i ja, musieliśmy stać w kolejce pod prysznic i do wspólnego sracza. I to nieprawda, że człowiek do wszystkiego się przyzwyczai... Kłamstwo, Conde. Ja już dłużej nie daję rady, czasami zastanawiam się, kiedy w końcu będę żył jak człowiek, miał własny dom, święty spokój, kiedy będę miał ochotę mieć święty spokój, będę mógł posłuchać muzyki, gdy będę chciał posłuchać muzyki, a nie cały boży dzień... Mam tego już potąd - i dotknął czubka swoich rudych włosów. - Wiesz, jak wychodzę na ulicę, mam w zwyczaju przyglądać się domom i myślę, który z nich chciałbym, żeby był mój, i próbuję odpowiedzieć sobie na pytanie, jak to jest, że niektórzy mieszkają w takich ładnych domach, a inni rodzą się w gównianym i zadżumionym bloku, gdzie, jakby wszystkiego było mało, przychodzi nam mieszkać przez całe życie... Gdy widzę jakiś dom, który mi się szczególnie

119 -

podoba, wyobrażam sobie siebie mieszkającego w nim... Nie masz tak? Wiesz, kim jest koleś, który mieszka tu obok, syn Serafiny? Inżynier chemik, Conde, wszyscy go znają, człowieku, a on musi się tu gnieść w tej norze... No, czyli ja też muszę się z tym pogodzić, nie? Co więcej, powinienem dziękować Bogu, są przecież inni, którzy nie mają i tego...

- Dlatego co chwilę latasz do kościoła?
- Tam przynajmniej nikt się nie wydziera.
- I o co prosisz Boga?

Czerwony pociągnął ostatni raz papierosa i zgasił go w glinianej popielniczce, po czym spojrział na przyjaciela.

- Nabijasz się ze mnie, Conde?
- Nie, pytam na poważnie.
- Proszę, żeby mi dał zdrowie, zostawił w spokoju, żeby dał mi cierpliwość, chronił mnie, proszę go też o dobre rzeczy dla moich przyjaciół, dla ciebie i Carlosa...

Conde wiedział, że Candito mówi prawdę, i poczuł, że prośby, w których on też występował, wypowiedane przez kogoś takiego, jak jego stary kompan Czerwony, posiadają dodatkową wartość. Wzruszył się. Czerwony nie tylko uratował go przed zostaniem roznieśionym przez Afóna na obozie szkolnym, ale także okazywał mu stałą wierność, na którą Conde nie potrafił odpowiedzieć z jednakim oddaniem: jako przyjaciel nigdy nie miał dość czasu dla Candita, jako policjant niejednokrotnie go przyciskał, wykorzystując wiedzę, jaką posiadał Czerwony o Hawanie i jej szemranych interesach. „W jakimś sensie” - pomyślał Conde - „jestem cynikiem i egoistą”.

- Jeśli Bóg istnieje, niechby cię wysłuchał...
- Ale z ciebie interesowny drań... A ty czym się aktualnie zajmujesz, Conde?
- Szukam jednego takiego, co zabił transwestytę... To nie takie proste, jakby można było przypuszczać. Wygląda na to, że transwestyta był mistykiem, czytał Biblię, a w noc, kiedy go zamordowano, przebrał się za postać z jednej sztuki teatralnej. Najlepsze w całej historii jest to, że w odbył wetknięto mu dwie monety peso. Candito rozejrzał się po mieszkaniu, zamyślony.

120 -

- To mi się podoba - przyznał. - Czegoś takiego jeszcze nie było. To musi coś znaczyć, Conde... Może chodzi o jakąś zapłatę...

W każdym razie, chcesz, żebym ci w czymś pomógł, prawda?

- Nie, na razie nie. Przyszedłem ci powiedzieć, że musisz zwinąć interes - wydusił w końcu i zapalił kolejnego papierosa.

- Co takiego się podziało?

- Najwyraźniej coś, ale nie pytaj, bo nie wiem, poza tym nie mogę za dużo mówić. Zastosuj się do rady i zamknij biznes.

Candito przetarł dłonią czoło, jak gdyby usiłował się pozbyć czegoś, co nagromadziło się pod rudymi włosami.

- W porządku, Conde, już ty tam wiesz lepiej, co mówisz... Ale szkoda, nie? Myślałem, że uda się zarobić parę groszy...

- Co z tym Mulatem od rozróby ostatnim razem?

Teraz Candito roześmiał się, choć na jego twarzy pozostało znużenie i smutek.

- Mówił, że chciał zapytać, czy może skorzystać z ubikacji...

- A nie mówiłem! Przecież wy jesteście nienormalni.

- Nie, Conde, nie jesteśmy nienormalni. Ty masz swoją robotę, my mamy naszą... Ten typ robi za poborcę.

- Jak to za poborcę?

- Tak jak słyszysz. Wynajmują go, żeby kasował w ich imieniu. Ściąga pożyczki, jak również inne długi: łapówki, haracze, cokolwiek, każdą należność, jaką ktoś chce od kogoś wyciągnąć. Jest zawodowcem.

Conde pokręcił głową, nie chcąc uwierzyć w to, co słyszy, chociaż wiedział, że informacje, jakie padają z ust Candita, są prawdziwe.

- A co, jeśli rzeczywiście chciał skorzystać z ubikacji?

- W tym domu nikt nie korzysta z ubikacji. Wszyscy to wie-



dzą, także to nic innego jak bajka, którą wymyślił na poczekaniu.

A jeśli faktycznie chciał się odlać, miał pecha, cóż, tym, kto nie mógł sobie pozwolić na pecha, byłem ja. I ty. I Carlos.

Conde ponownie pokręcił głową, zaprzeczając temu, czemu nie był w stanie zaprzeczyć słowami.

- Na pewno chodziło o mnie.
- Twierdził, że nie, ale kto go tam wie...

121 -

- Tym, który nigdy nie wie, jestem ja, Czerwony. Wiesz, że czuję się, jakbym był poza tym wszystkim? Dziwne, ale mam wrażenie, jakbym z czasem rozumiał coraz mniej. Albo wszystko zmienia się w takim tempie, że nie nadążam. Nie wiem, nie wiem, ale mam głowę jak sitko... Nalej mi jeszcze kawy - poprosił i zapalił papierosa. - Ale powiem ci jedno, Czerwony. Jak już zamkniesz interes, jak wszystko zniknie, przejedź się na plażę, albo na Księżyc, jak ty to nazywasz... I jeśli ktoś przyjdzie do ciebie w jakiegokolwiek sprawie, pierwsze co masz zrobić, to do mnie zadzwonić i powiedzieć, żeby mnie ściągnęli, gdziekolwiek bym nie był. Bo jak cię będą chcieli wsadzić, będą musieli to samo zrobić ze mną... Tak czy inaczej, idź jutro do kościoła i poproś Boga, także w moim imieniu, żeby nam rzucił koło ratunkowe, jeśli ma jakieś wolne.

- Aleś mi się udał, Conde!
- Słuchaj, skoro już o tym mowa, jako że zamykasz interes, może poczęstujesz mnie zimnym piwkiem, co?

Conde popatrzył na własne odbicie w lustrze: spojrzął sobie prosto w oczy, przyjrzał się profilowi i po przeprowadzonej obserwacji nie pozostało mu nic innego, jak przyznać - prawda, mam twarz policjanta. I co pocznę z twarzą policjanta, kiedy usuną mnie z policji? „Na początek dzisiaj się nie ogolę” - powiedział sobie i wtedy właśnie podjął decyzję, że zadzwoni do Alberta Marquesa

i przyjmie jego zaproszenie. O dziewiątej? W porządku. Na rogu Prado z Malecónem... Uwaga na kulę armatniej salwy, książę... Kwadrans po dziewiątej Conde zaliczył już trzykrotnie każdy z dwóch rogów i prostą, składające się na skrzyżowanie Paseo del Prado i Malecónu, ponieważ popełnił błąd i nie doprecyzował z Marquésem dokładnego miejsca spotkania. Najgorsze, że przez cały czas oczekiwania pociły mu się dłonie, podobnie jak wtedy, gdy wyczekiwał pierwszej randki z kobietą. „To taki mój prywatny defekt” - wyrzucał sobie świadomy ryzyka, jakie niesie podjęta decyzja; wilgotnych dłoni nie usprawiedliwiała nawet pogoda: od morza wiała o tej porze lekka bryza, która odświeżała tę starą część miasta i chłodziła kobiety pachnące portem, kołyszące się

122 -

jak niespokojne motyle strącone z kwiatu i przy blasku księżyca zebrane w młodym jeszcze mroku, zawsze sprzyjającym ich mglistemu zajęciu. Conde wiedział, że jego niepokój bierze się z niepewności: dokąd pójdą?, co takiego do oglądania (albo robienia) zaproponuje mu Marqués? Pomimo przekonania, że stary dramaturg nie będzie próbował krzyżować z nim szpady, zanim wyszedł z domu, Conde rozważył zabranie z sobą broni, biorąc pod uwagę, że wygląda jak policjant, a nawet jak policjant, w którego sprawie jest prowadzone śledztwo. Przytrzymał pistolet w dłoni, lecz po chwili uznał, że tej nocy nie będzie załatwiał spraw za pomocą ołowiu i podjął decyzję o pozostawieniu broni w ciemnej szufladzie biurka. Na myśl o pistolecie przywołał w pamięci przyjaciela, Jesusa Contrerasa, grubego jak beczka, i przypomniała mu się wiadomość przekazana mu przez Manola. „Pieprzyć to dziadostwo” - podsumował Conde, spoglądając na ciemną tafłę morza, nieogarniętego, niczym szczęście bądź strach, gdy usłyszał głos.

- Nie ma co tyle myśleć, panie policjancie poruczniku Mario Conde. Proszę wybaczyć spóźnienie.

Ujrzał go: wyglądał jak ten sam, ale inny, jak gdyby przebrał się na okazję niestosownego karnawału. Głowę, w rzeczywistości pokrytą przerzedzonymi włosami, zdobiła teraz mająca zamaskować niedociągnięcia natury blond grzywa, która nadawała mu wygląd żywej karykatury. Twarz tymczasem, starannie i nadmiernie przypudrowana, przybrała żółtawy odcień japońskiej maski. Miał na sobie różową koszulę, z wykończeniem przy szyi przypominającym szlafrokowe, spoczywającą na wychudzonym, ponurym szkielecie, czarne spodnie, ściśle przylegające do chuderlawych ud i sandały, z których wyglądały grube palce i szponiaste paznokcie. Conde pojął w lot: nie popełnił błędu, to, co robił, to było czyste szaleństwo. Rozejrzał się po trzech rogach skrzyżowania w poszukiwaniu ogona; zgodnie z tym, co mówił Manolo, mogli go przecież śledzić, a teraz jak nic, mieli pretekst, by wyrzucić go nie za korupcję czy niewydolność w pracy, lecz za bycie skończonym idiotą. Spróbował sobie wyobrazić, jak z perspektywy przeciwnego rogu ulicy wyglądali obaj, on i Alberto Marqués, widok przeraził go.

123 -

- W takim razie niech pan ustawi kompas - powiedział w końcu, gotowy zmierzyć się z losem.

- Pójdziemy w górę Prado, choć nie wszyscy w to wierzą, podobnie istnieje.

- Pan prowadzi - zgodził się Conde i przeszli na drugą stronę Malecónu, oddalając się od morza.

Idąc za Marquesem, policjant stąpał po dawnym deptaku, wysadzonym wawrzynami, coraz bardziej sponiewieranymi przez czas, co kawałek ustawiały się coraz szersze i dłuższe kolejki do autobusu w miejscach, gdzie ten się zatrzymywał. Najdzielniejsze

latarnie oświetlały brudną nawierzchnię miejsca, które, jak się zorientował Conde, dzierżyło miano bulwaru.

- Wie pan, że ten deptak to tropikalna replika barcelońskich Las Ramblas? Oba prowadzą do morza, wzdłuż nich stoją niemal identyczne budynki, choć kiedyś ptaki więzione tam w klatkach tutaj latały wolne. Ostatnim urokiem, jaki to miejsce posiadało, były kruki, kłębiące się w koronach drzew, przylatujące tutaj na noc. Pamięta je pan? Lubiłem patrzeć, jak popołudniami zlatywały z całego miasta, tworząc chmary, im bliżej Prado, tym większe. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, dlaczego te czarne ptaki wybrały na nocleg właśnie to miejsce i każdej nocy tu przylatywały na spoczynek. Widzieć, jak lecącym czarne smugi wiatru było doznaniem magicznym, prawda? Ich zniknięcie to akt nekromancji. Gdzie się podziewają dziś? Kiedyś słyszałem, że wyniosły się przez gołębie, ale rzecz w tym, że nie ostał się ani jeden ptak. Wyprosilili je czy odleciały dobrowolnie?

- Nie wiem, mogę popytać.

- Niech pan rozpyta, bo jeszcze któregoś dnia okaże się, że znikną lwy z brązu. Przygnębiające miejsce, prawda?... Ale proszę spojrzeć, zachowało się tu coś magicznego, swoisty poetycki duch, nie do pokonania, czyż nie? Chociaż ruin jest coraz więcej, a brud pochłania wszystko wkoło, to miasto zachowało własną duszę, panie Conde, a nie ma na świecie wielu miast, które mogą się poszczycić posiadaniem duszy, tak po prostu na wyciągnięcie ręki... Mój przyjaciel, poeta Eligio Riego, mawia, że to z tego powodu kwitnie tutaj tyle poezji, chociaż ja uważam, że ten kraj na to nie zasługuje: zbyt dużo tu lekkości bytu i miłości do słońca...

124 -

- Jaki mamy wobec tego plan?

- No więc - Marqués poprawił blond perukę i dokończył: - Czyż nie chciał pan przyjrzeć się z bliska nocnym zwyczajom

hawańskich gejów?

- Sam nie wiem... Chciałem wyrobić sobie zdanie...

Marqués patrzył przed siebie, gdy mijali grupę młodych, którzy prześwietlili ich zuchwałymi spojrzeniami.

- W takim razie coś już pan zobaczył... A to, co pana interesuje, nie należy do najprzyjemniejszych widoków, ostrzegam. Jest plugawe, niepokojące, obnażone i prawie zawsze tragiczne, ponieważ jest wynikiem samotności, wiecznej represji, szyderstwa, agresji, pogardy, a nawet monokultury i niedorozwoju. Rozumiemy się, prawda?

- Rozumiemy, ale chciałbym to zobaczyć na własne oczy - potwierdził Conde, gotowy się zanurzyć w bezdennej, ciemnej studni, w płciowości odwróconej do góry nogami.

- Zatem przejdziemy się kawałek, a potem udamy na przyjęcie w domu Alquimia, mojego dobrego kolegi... Będą obecne osoby, które znały Alexisa, choć przyznaję, poczyniłem pewne starania i dowiedziałem się, że od ponad tygodnia nie pojawiał się tam. Powiem panu, że nawet mi się podoba zabawa w policjanta... Pozbawiając czubek swej głowy peruki, jak gdyby chodziło o zwykłe nakrycie głowy, Marqués oświadczył:

- Oto szlachcic jak ja, mimo że to Conde, czyli hrabia. Proszę zasiąść, panie Conde - i niemal popchnął policjanta, żeby usadowił się na poduszce leżącej na podłodze, podczas gdy on, jego materialny i duchowy przewodnik, oddawał się zwielokrotnionym objęciom i wilgotnym pocałunkom w policzki, pośród wyuczonych śmiechów, które dramaturg przyjmował z zachłannością i nienasyceńiem pogańskiego bożka, przyzwyczajonego do oddawania mu kultu. W salonie domu z szerokimi balkonami, otwartymi na tajemnicę nocy, o wysokich sufitach, zdobionych aniołami oślepiionymi kurzem, oliwkowymi rogami obfitości, znajdowało

się około trzydziestu osób, wszyscy oddawali się teraz składaniu  
125 -

hołdu Albertowi Marquésowi, wokół którego utworzył się hawański  
chór, z pewnością nasłuchujący plotek na temat śmierci odzianego  
w czerwień Alexisa Arayána.

- Boże, co za horror - wykrzyczała dziewczyna o apetycznie  
odkrytych udach - tym bardziej widocznych dla siedzącego na  
poduszce Condego - zwieńczonych pośladkami wyglądającymi  
jak wróble sąsiadujące na drucie wysokiego napięcia i którym po-  
licjant przyglądał się z utęsknieniem. Trwająca od dwóch miesięcy  
seksualna dieta, ręcznie urozmaicana, sprawiała, że wzdrygnęło  
nim na widok pożywienia, co prawda w ilości ograniczonej, ale  
świeżego; odległego, ale w zasięgu.

Ponad dziesięć minut trwało poruszenie w związku ze zja-  
wieniem się Marquesa, potem chórzyści powoli rozpierzchali się,  
przechodząc na swoje poduszki, dramaturg chwycił pod rękę wiel-  
biciela stojącego najbliżej niego i podszedł z nim do Condego,  
wykonując gest dłonią, żeby się nie podnosił.

- Popatrz Alquimio - i Conde zorientował się, że stoi przed nim  
gospodarz imprezy - to mój przyjaciel, Conde... Jest pisarzem,  
niestety jest też heteroseksualny, znał Alexisa...

- Bardzo mi miło - powiedział Alquimio i wyciągnął rękę, która  
spoczęła na zawilgoconej dłoni Condego. - Przyjaciele Marquesa  
są moimi przyjaciółmi, proszę zatem czuć się jak u siebie w domu  
i jak właściciel wszystkiego, co w nim się znajduje. Włącznie ze  
mną... Czego się pan napije?

- Podaj mu rum, skarbie - wtrącił Marqués. - Twierdzi, że  
z niego kreolski samiec... - roześmiał się, odwrócił i skierował  
w róg, gdzie czekał na niego chłopiec o twarzy świeżej ryby.

- Zaraz przyniosę panu rum, Conde. Życzy pan sobie w kie-

liszku czy szklance? - zapytał Alquimio, a Conde uniósł obojętnie ramiona: w takich chwilach liczyła się tylko zawartość, nie opakowanie. Uśmiechnięty gospodarz odszedł w stronę, jak się wydawało, kuchni. Ktoś włączył muzykę, Conde usłyszał głos Marii Betanii i pomyślał, że pewnie i ona jest stałą uczestniczką takich imprez. Pograżony w metafizycznej i obiektywnej samotności, z wysokości poduszki, na której siedział, mógł obserwować przebieg imprezy: więcej było na niej mężczyzn niż kobiet i pomimo sączącej się

126 -

z głośników muzyki nikt nie tańczył, wszyscy rozmawiali, w grupach albo parach, zmieniając bez trudu pozycje lub konfiguracje, jak gdyby ciągły ruch stanowił element rytuału. „Jakby coś ich gryzło w tyłek i nie mogli ustać w miejscu” - podsumował Conde. Przebiegając wzrokiem po uczestnikach imprezy, Conde natknął się na więcej niż jedno utkwione w nim maślane spojrzenie podmarszczonych chłoptasiów, ubolewających, że jest on hetero, co Marqués zdążył już wszystkim obwieścić. Conde zaskoczył sam siebie, wyciągając papierosa ruchem w stylu Bogarta, jakby chciał podkreślić swoją wartość na tym targowisku osobliwości: czuł się pożądanym i przy całej tego dwuznaczności podobały mu się te fatalne zauroczenia. Czyżbym się stawał pedałem? - zaczynał się zastanawiać, gdy przed oczami objawiła mu się zielona szklanka, szczęśliwie wypełniona rumem.

Właścicielka wróblích pośladków uśmiechnęła się, wręczając mu napój, i krzyżując nogi osunęła się na poduszkę, która nagle nie wiadomo skąd znalazła się tuż przed nią, na której siedział Conde.

- A więc jesteś heteroseksualny? - zapytała, mierząc go wzrokiem z góry na dół, jak rzadki okaz bliski wymarciu.
- Nikt nie jest doskonały - odparł Conde i pociągnął długi łyk,

czując, jak rum wypełnia mu usta, przedostaje się do żołądka, stamtąd do krwi, udrażniając krążenie.

- Jestem Poly, siostrzenica Alquimia - powiedziała, zaczesując opadającą na czoło grzywkę.

- A ja jestem Conde, czyli hrabia, niestety nie Monte Christo. Poly uśmiechnęła się. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat i wystroiła się na fioletową baby doli z jakiegoś filmu z lat sześćdziesiątych. Na szyi, przypiętą na także fioletowej wstążce, nosiła figurkę z kamienia (z jakiego to filmu?) i choć nie należała do najpiękniejszych, a jej cielesne atrybuty nie należały do najokazalszych, kwalifikowała się do kategorii numer jeden, według zdewaluowanego kryterium erotycznego autorstwa Maria Conde.

- Co takiego piszesz?

- Ja? Opowiadania.

- To interesujące. Jesteś postmodernistą?

127 -

Conde spojrział na dziewczynę, zaskoczony nieoczekiwanym estetycznym zwrotem akcji: powinienem być postmodernistą?

- Mniej więcej - odpowiedział, pełen wiary w postmodernizm i nadziei, że nie będzie go dopytywać, ile mniej, a ile więcej.

- Ja lubię malować, wiesz? I, owszem, mam świra na punkcie postmodernizmu.

- Mhm - zareagował Conde i dopił rum.

- Boże drogi, ale ciągniesz... Daj, przyniosę ci więcej.

Z rogu salonu Marqués pozdrowił go gestem dłoni. Wciąż towarzyszył mu egzemplarz przypominający rybę i wyglądał na szczęśliwego, w cieniu blond grzywy, która wróciła na swoje miejsce.

- Trzymaj - powiedziała Poly, podając szklanekę wypełnioną po sam brzeg.

- Dziękuję. A ty, jesteś heteroseksualna?



Ponownie się roześmiała. Zęby też miała jak wróbel, małe i szpiczaste.

- Prawie zawsze - wyznała i Conde przełknął ślinę. Czy właścicielem takiego tyłeczka jest transwestyta? - Jeśli ktoś chce poznać wszystkie swoje możliwości, wszystkie umiejętności, jakimi dysponuje jego ciało, powinien przeżyć jakąś homoseksualną przygodę. Marqués ci o tym nie mówił?

- Nie. On wie, że ja należę do gatunku stalinowskich macho.

- Twoja sprawa... Ale tracisz w życiu coś ważnego.

- Jak na razie doskonale sobie z tym radzę, spokojna głowa.

A ty, znałaś Alexisa?

Dotknęła kamiennej figurki i westchnęła:

- To straszne, co mu zrobili. Biedaczysko. Przecież on nikomu się nie narażał, co nie?... Są tacy, którzy zachowują się agresywnie, którzy na zbyt wiele sobie pozwalają, chodzą za człowiekiem do ubikacji, żeby podglądać. Ale on nie był z tych. Ja jestem na wpół malarką, mówiłam już, nie? Dlatego bardzo lubiłam z nim rozmawiać, kiedy przychodził w odwiedziny do mojego wujka. Posiadał ogromną wiedzę z malarstwa, zwłaszcza włoskiego... Kiedy tak gadaliśmy, mówił, że jego prawdziwym problemem jest to, że się zakochuje, tak naprawdę, i nie w jego stylu jest co chwilę zmieniać partnerów.

- 128 -

- Bo oni często zmieniają, nie?

- No, prawie żaden nie pozostaje w stałym związku, a on właśnie taki chciał mieć. Jak dla mnie, on bardziej był kobietą niż mężczyzną, miał głowę kobiety, rozumiesz?

- Nie, chyba nie.

- Popatrz, on chciał mieć swój dom i swojego mężczyznę, który byłby jego mężem, tylko jego, nikogo więcej, i chciał być kobietą

takiego mężczyzny. Teraz rozumiesz?

- Powiedzmy. Nie kapuję tylko jednego, dlaczego wyszedł na ulicę przebrany za kobietę, jakby chciał upolować jakiegoś mężczyznę.

- To prawda, to akurat bardzo dziwne, to nie w jego stylu. Powiem ci, że prawdziwi transwestyci są przerażeni, mówią, że może to być początek serii zdarzeń. Ale to na pewno ich histerie.

- A więc są histerykami?

- Transwestyci? Jak najbardziej. Chcą przecież być kobietami, a znajdź mi kobietę, która nie jest histeryczką. Ale nie Alexis, nie wydaje mi się, żeby był histerykiem, chociaż w depresjach był mistrzem...

- Poly - zdobył się na odwagę Conde - wiesz, chciałbym coś napisać o tym środowisku. Opowiedz mi coś o tych, którzy tu dzisiaj przyszli.

Ona roześmiała się ponownie, zawsze była gotowa się śmiać, i przybrała naiwny wyraz twarzy.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś był policjantem.

Conde musiał zebrać wszystkie zdolności aktorskie, jakie posiadał.

- A ty sprawiasz wrażenie postmodernistycznego wróbla. Teraz śmiech stał się przerywany i przeciągły, poprowadził głowę Poly w stronę kolana Condego. „Nie, na pewno nie jest transwestytą” - próbował przekonać samego siebie.

- Boże święty, co za horror, tutaj jest po trochu wszystkiego - powiedziała, spoglądając w oczy policjanta, jakby chciała poczynić wyznanie.

Conde usłyszał, że w salonie mieszkania w Habana Vieja zgromadzili się przede wszystkim mężczyźni i kobiety odróżniający się od

innych: zaangażowani w walkę o wolny seks, nostalgię i w różnokolorowe partie; dawni dramaturdzy z dokonaniem i bez dokonania; autorzy nieostemplowanych ekslibrisami książek; pedały wszelkiej maści i o najróżniejszych preferencjach; świry o różnej skali perwersji; poczciwe gąski i myśliwi wyspecjalizowani w polowaniu na wyrefinowaną zwierzynę; sodomici działający na własną rękę i świadczący usługi z dostawą do domu; niepocieszone duszyczki i te w poszukiwaniu pociechy, obmacywacze klasy de lux, z pozaszywanymi otworami ze strachu przed AIDS, a nawet świeży absolwenci Wyższej Szkoły Pedagogiki Homoseksualnej, której rektorem był Alquimio we własnej osobie; zwycięzcy baletowych konkursów, krajowych i międzynarodowych; profeci końca świata, historii i kartek żywnościowych; nihiliści przemianowani na marksizm i upadli marksiści; każdy rodzaj malkontentów - seksualni, polityczni, ekonomiczni, socjologiczni, społeczni, kulturalni, sportowi i elektroniczni; praktykujący buddyzm zen, katolicyzm, czary, wudu, islam, santrię, jeden mormon i dwóch żydów; jeden baseballista z drużyny Industriales, odbijający i rzucający piłkę dwiema rękami; miłośnicy Pabla Milanésa i przeciwnicy Silvia Rodrigueza; eksperci wszelkiej maści, jak wróżbici wiedzący, kto otrzyma kolejnego literackiego Nobla i jakie sekretne plany ma Gorbaczow, kogo adoptowała znana postać z wyższych sfer i jaką cenę osiągnie funt kawy w Baracoa; składający podania o czasowe i dożywotnie wizy; marzyciele i marzycielki; hiperrealiści, abstrakcyjni i byli socrealiści, wyrzekający się swojej artystycznej przeszłości; latynista; wynarodowieni i patrioci; wykluczeni ze wszystkich środowisk, z jakich można wykluczyć; widzący niewidomy; oszukani i oszukujący; oportuniści i filozofowie; feminiści i optymiści; miłośnicy Lezamy - w zdecydowanej większości; Piñery, Carpentiera, Martiego i jeden fan Antona Arrufata; Kubańczycy i obcokrajowcy, śpiewacy bolero; hodowcy

psów do walki; alkoholicy, pacjenci szpitali psychiatrycznych, chorzy na reumatyzm i dogmatycy; cinkciarze; palacze i niepalący; i jeden heteroseksualny stalinowski macho.

- Ten ostatni to ja... A co z transwestytami? Nie ma transwestytów? - zapytał, utkwivszy wzrok łowcy wampirów w jej piersiach.

130-

- Popatrz, obok drzwi balkonowych: tamta to Victoria, ale woli jak się na nią woła Viki, chociaż tak naprawdę nazywa się Víctor Romillo. Jakaż ona piękna, prawda? A tamta, szatynka, wygląda jak Annia Linares: zanim zapadnie zmrok, nazywa się Esteban, a gdy się zrobi ciemno, Estrella, bo ona śpiewa bolera.

- Ciekawi mnie jedno, jest tutaj nie więcej niż trzydzieści osób... Jak to możliwe, że są tu wszyscy, których wymieniłaś?

Poly nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Widzisz, uprawiają wiele zawodów i trochę wolontariatu... Ha, ha, patrz, patrz, ten, który stoi obok Estrelli, nazywa się Wilifredito Insula, zajmuje się dziesięcioma rzeczami spośród tych, które wymieniłam. Boże, co za horror, i ty chcesz o tym pisać?

- Nie wiem, może. Najbardziej interesują mnie jednak transwestyci.

- Musisz się wybrać któregoś dnia na imprezę w domu Ofelii Belén Pacheco, starego pedała, który mieszka przy Virgen del Camino, tam owszem, odbywają się imprezki z transwestytami, z show i całą resztą. Tam zresztą Estrella śpiewa bolera, a taka jedna, na którą wołają Zarzamora robi striptiz, że można się posikać ze śmiechu.

- Marqués nie wspominał mi o tym miejscu.

- Jasne, że nie: Ofelia Belén Pacheco z Marquésem to wrogowie na śmierć i życie, od kiedy Ofelia zwinęła Marquésowi sprzed nosa chłopaka. Minęły już wieki od tego wydarzenia... No, ale tam to

dopiero są imprezy, schodzą się wszyscy transwestyci z Hawany, przyjaciele Ofelii. Czasami można ich naliczyć ze trzydziestkę. W obszernym salonie, przy dźwiękach muzyki Barbry Streisand, najwyraźniej odpowiadającej towarzystwu, pary zaczęły się poruszać, tańczyć w różnych konfiguracjach, Conde zatrzymał wzrok na Estrelli, tej, co to śpiewała bolera, tańczącej z niedopasowanym partnerem, mierzącym nie więcej jak metr sześćdziesiąt Murzynem, któremu, jak podejrzewał Conde, natura wynagrodziła tam, gdzie teraz światło nie dochodziło. Viki stała przy balkonie, a Conde przyłapał się na myśleniu o niej jak o kobiecie, do tego pięknej, i gdyby nie uprzedzenia, pomyślałby o niej ze smakiem.

W powietrzu panowała atmosfera wolności, niewielkiej, ale jednak, ręce tańczących wędrowały po ciałach partnerów i słychać - 131 -

było stłumione przyśpiewki do słów piosenki. Zimny dreszcz przebiegł po ciele policjanta, kiedy odkrył, kto oddaje się bezpruderijnym pocałunkom: dwóch mężczyzn - jak wskazywała na to biologia - około trzydziestoletnich, obaj z wąsem i czarnowłosi, łączyli usta, by ułatwić poruszanie się językom i wymianę śliny, co przeraziło Condego i wydało mu się odrażające, postanowił więc złagodzić emocje, opróżniając jednym ciągiem drugą szklankę rumu. Wiedział już, że trochę się zapędził w swojej podróży do piekła i potrzebuje zaczerpnąć innego powietrza, żeby nie dać się udusić konsternacji. On, policjant, który chełpił się tym, że widział już wszystkie możliwe barbarzyństwa, ulegał bolesnemu odczuciu, zrodzonemu wśród męskich hormonów, że niemożliwe jest dla niego zrozumienie postępowania wbrew naturze. Spojrzał na Poły i usiłował zdobyć się na uśmiech, poruszając jednocześnie zielonym szkłem, z zamiarem pokazania, jak wielkie szkody wyrządziło parowanie w jego szklance.

- Wpisać cię na listę z alkoholikami?
- Wpisz mnie jako aspiranta albo wyróżniającego się... Marqués mówił mi, że Alexis od jakiegoś czasu tutaj nie przychodził.
- To prawda, nie widziałam go tu już chwilę.
- Kiedy go ostatni raz widziałaś, wspominał coś, że jest zakochany?

Poly popatrzyła w górę, jakby szukając odpowiedzi w rzadkiej grzywce jego fryzury.

- Chyba nie, wydaje mi się, że cały czas był z tym malarzem, nie pamiętam, jak się nazywa, tym, co kaleczy obrazy.
- Salvador K.
- No, no, proszę, jaki poinformowany! Na pewno nie jesteś policjantem?
- Na pewno. I co ci powiedział Alexis?

- Nic, mówił, że jest znudzony wszystkim, że jak się pokłóci z tym Salvadorem, już z nikim więcej nie będzie się wiązał. Wyszedł szybko, wybierał się na mszę do katedry.

Conde pomyślał, że Alexis Arayân musiał mieć z sobą Biblię, w której najpewniej już brakowało kartki z fragmentem o Transfiguracji.

132-

- Coś tak zaniemówił? - zapytała Poly, ściskając mu udo. - Przynieść ci jeszcze rumu?

- To niezły pomysł. Lubię z tobą popijać.

Roześmiała się, ujawniając swoją figlarność.

- Może napijesz się u mnie w domu? Mieszkam zaraz za rogiem.

- Ale nie jesteś transwestytą?

- Sam się przekonaj.

- Kiedy człowiek się rusza, jest mu cieplej - powiedział Conde

i przyrównał Poly do świętego Bernarda przybywającego z pomocą w czas śnieżnej zimy. Starając się nie widzieć całujących się wąsatych mężczyzn, poszukał wzrokiem Marquesa. Nie było go w salonie, podobnie jak nie dostrzegł jego przyjaciela amfibii. Rachunek z Poly" - pomyślał, podnosząc się - „nie został jeszcze uregulowany”.

Conde pozwolił się rozebrać, nie domagając się obiecanego drinka, i ucieszył go widok jego najlepszego przyjaciela, zajmującego pozycję na posterunku: pomimo porannych szaleństw i wciąż obecnych podejrzeń o możliwość seksualnego nieporozumienia, zapach wróblego tyłeczka go ocucił. Zdjął z Poly baby doll, w rezultacie czego ukazał mu się widok jej piersiątek, dojrzałe sutki, gotowe, by być dotykany i podgryzany, aż wreszcie wsunął dłoń pod bieliznę i nie zanotował żadnych kształtów, przeciwnie, wilgotną i głęboką studnię, w której zanurzył dłoń do połowy. Poruszony tym odkryciem przyjaciel ocknął się, rozłożył ramiona, ziewnął i rozprostował kości, żeby zaraz później zanurzyć się w gardle Poly, równie głębokim jak inne wgłębienia zbadane wcześniej.

Poly należała do miłośniczek dbałości o szczegóły: powoli, bez pośpiechu, skupiła się na subtelnym smaganiu językiem każdej nierówności penisa, połykaniu i uwalnianiu go, pozwalając, żeby spinał się z zazdrości, kiedy masowała jądra, z pomocą wróblích ząbków. To Conde musiał prosić o rozejm w tej potyczce, zaniepokojony rychłą kulminacją i spragniony zgłębienia wiedzy z zakresu

133-  
drugiej biorącej udział w zawodach jamy, popchnął Poly na łóżko, gotów ją ukrzyżować, kiedy ręka dziewczyny powstrzymała go w zamiarach.

- Przysięgam, zawsze miałam marzenie, by oddać się policjan-

towi. Dalej, pod łóżkiem schowane są prezerwatywy - powiedziała i przyssała się do sutków Condego, podczas gdy on odziewał zrozpaczonego przyjaciela, niezadowolonego z powodu odkładanej w czasie uczyty.

Wszedł do środka, jakby nigdy stamtąd nie wychodził, zauważając przy okazji, że całkiem sporo brakuje mu do całkowitego wypełnienia przestrzeni, która rozmiarem bardziej niż wróbla przypominała wieloryba, nieoczekiwane spotkanie z Moby Dickiem. Jednak kruchość przenośnej, polietylenowej Poly, ważącej nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, umożliwiała poruszanie się wzdłuż i wszerz. Conde był zaskoczony pokładami własnej energii, wynikającej z braku częstszej praktyki w działaniach binarnych. Wchodził i wychodził, jakby poruszał się po własnym domu, uczepiał się sutka i nadstawiał ucho, żeby dziewczyna mogła mu je przebadać językiem. Ślina przelewała się jak życiodajna rzeka, przemieniając tych dwoje w obślizgłe, zdradzieckie morskie węże. Wszedł raz jeszcze, świadomy zbliżającego się końca przedstawienia, gdy postmodernistyczna Poly wywinęła się spod niego, odwróciła plecami i wypięła swe wróble pośladki, teraz powiększone w wyniku przyjętej pozycji i bliskości.

- Wejdz piętro wyżej - powiedziała z powagą w głosie.

Conde spojrział na towarzysza boju, niestylowo odzianego, ale gotowego do kolejnej potyczki, i przykleił się do pośladków Poly, żeby otworzyć szerzej drzwi wejściowe.

- Boże, co za horror! - powiedziała, gdy przecisnął się do środka. Conde poczuł się teraz, jakby zakładał garnitur szyty na miarę, skupił się na rzemiośle, słuchając szarpanego lamentu polifonicznej Poly, która między pchnięciami śmiała się, parskając, by znów wybuchnąć euforycznym śmiechem, który przechodził w krzyk, nawołujący: „Przepołów mnie, rozerwij mnie na pół”,



lecz nie było już czego rozrywać, pozostawało tylko poruszać się, co Conde robił, i chcieć, by nigdy się nie kończyło...

134-

Wszystko jednak przemija. Condego zadziwiło jego własne rzenieurnego i zwycięskiego ogiera. Okrzyki radości Poly tymczasem przemieniły się w westchnienia, coraz cichsze pomrukiwania, kierując się ku konkluzji:

- Boże, co za horror - powiedziała i po chwili dodała coś, co Conde przyjął jako wyraz uznania: - Ach, tatuśku, niezły z ciebie buhaj!

Tam była twarz. Prawie mógł ją dostrzec, a wyciągając ramię, mógłby jej dotknąć, ale jego oczy nie reagowały, ręce leżały bezwładne, owinięte materiałem i kleistą siecią, która nagle puszczała i pozwalała mu się wydostać, zbliżyć do twarzy, niemal jej dotknąć, i zaraz na nowo opętywała, żeby się oddalić, odmówić objawienia, jakie niknęło w świetlistej chmurze gorąca, dobywającego się z nad brudnej rzeki, by zniknąć całkowicie, zmuszając go do pobudki, nadmiernie podekscytowanego, wraz z pierwszym dzwonkiem telefonu, z przyspieszonym oddechem, zlanego smutnym potem niepewności. „Znam tę twarz, oczywiście że tak” - był przekonany, przemieszczając się ze snu w rzeczywistość, próbując się zorientować, co się dzieje, telefon, dobitny i brutalny, jak słońce przedostające się przez okna w pokoju, agresywnie narzucał ciepło dnia.

- Szlag by to trafił - powiedział, i poczołgał się do telefonu, z oczami podrażnionymi światłem. Podniósł słuchawkę i zapytał: - Która godzina?

- Dziesięć po dziewiątej, Conde, dziesięć po dziewiątej - powtórzył głos po drugiej stronie słuchawki, a może po tamtej świata.

- Kurwa, Manolo, nie usłyszałem budzika, albo go nie nasta-

wiłem. Sam nie wiem...

- O której się położyłeś?

136-

- Jakoś po czwartej.

- Poziom alkoholu?

- Żaden, dwa drinki.

- Nie do wiary, są kłopoty: Salvador K. przepadł, od wczorajszego popołudnia nie można go odnaleźć.

Wreszcie Conde poczuł się obudzony.

- Jakim cudem?

- Greco i Crespo śledzili go. Mówią, że wczoraj, około piątej, wyszedł z domu, najpewniej do pracowni, wszedł w korytarz jednego budynku na Dziewiętnastej i A, czekali tam na niego ponad godzinę i nic, nie wychodził, potem odkryli, że na końcu korytarza był garaż z wyjściem na Dwudziestą Pierwszą. Wyparował. Nie ma go ani w domu, ani w pracowni.

- Rozmawiali z jego kobietą?

- Tak, ale gdy o niego zapytali, odpowiedziała, że jest w pracowni.

Conde zapalił papierosa, walcząc z resztką snu, i nagle przypomniał sobie:

- Ej, Manolo, śniło mi się coś bardzo dziwnego: patrzyłem na mordercę, ale nie mogłem go dojrzeć... Wiesz, te senne dziwactwa: kiedy myślałem, że już go widzę, nie widziałem, miał na sobie coś w rodzaju maski... Ja pierdołę, mam obsesję na punkcie transwestytów, transfiguracji, opuszczonej duszy i całego tego dziadostwa.

- Nie wyglądał jak Salvador?

- Nie wiem, nie wiem, ale teraz mam pewność, że go znam, nie wiem, dlaczego, ale mam takie przekonanie. Idź pogadać z żoną

Salvadora, przyciśnij ją, ale bez przeginania, i wpadnij po mnie o... kiedy skończysz.

Conde odłożył słuchawkę i rozejrzał się wkoło: jedyne, co zobaczył, to ślady po dawnych i dawniejszych bitwach. Ubranie na podłodze, splaszczony niedopałek, bojownik Rufino pływający w coraz mętniejszej wodzie. „Muszę posprzątać ten chlew” - przyznał, ale zapomniał o wszystkim na widok własnej nagości, przypominającej mu o zeszłonocnej przygodzie erotycznej. „Boże, co za horror, przecież przyznała, że prawie zawsze jest heteroseksualna, w co 137-

ja się pakuję?” - zastanowił się, a na jego sfatygowanym obliczu pojawił się uśmiech, gdy przypominał sobie, że ma zapas kawy na przynajmniej dwa poranki.

Czekając przed domem, Conde zaczepił sprzedawcę gazet, który przechodził chodnikiem z cennym skarbem pod pachą, ale jako że nie był stałym klientem, musiał, po uprzednim błaganiu, zapłacić za dziennik podwójną cenę. Nie zdążył nawet włożyć na siebie koszuli, stał w progu i pozdrawiał przechodzących znajomych, równocześnie zapoznając się z nagłówkami artykułów i powierzchownie czytając teksty, żeby zorientować się w bieżącej sytuacji. Jak potwierdzały strony poświęcone wydarzeniom międzynarodowym, świat miał się nie najlepiej, mimo to kraje socjalistyczne - na przekór napotykanym trudnościom i presjom z zewnątrz - nie planowały zbaczać ze słusznej i zwycięskiej drogi historii. Strony krajowe z kolei przekonywały, że wyspa ma się doskonale, czasami tylko wydarza się jakiś wypadek, jak na przykład wykolejenie się pociągu z wieloma ofiarami śmiertelnymi (które akurat nie było planowane). Do ziemi wpuszczano dżdżownice, świątobliwa CAME, czyli Rada Wzajemnej Pomocy Ekonomicznej, obiecywała rozwiązać problemy kubańskiej telekomunikacji, zapowiadano

deszcz i zaćmienie słońca, wszystko miało się wydarzyć w ciągu jednego tygodnia. Ta wiadomość spodobała mu się najbardziej - zaćmienie wypadło w dzień urodzin Chudego. Kiedy przyjedzie Dulcita? Ponadto dziennik informował o recitalu poety Eligia Riega, planowanym na popołudnie, i Conde postanowił, że zadzwoni do majora Rangela, żeby ten umówił go na pogawędkę ze swoim przyjacielem poetą...

Zaczerpnął głęboko powietrza w chwili, gdy po ulicy przejeżdżała dymiąca ciężarówka. Poczuł, że lektura gazety wzmocniła go wystarczająco, aby zmierzyć się z kolejnym dniem ciężkiej pracy.

138-

- Gdzie ten typ mógł się podziać?

Samochód pokonywał trasę slalomem między wyłomami po ostatnim bombardowaniu nuklearnym, jakiego musiała doświadczyć ta część Calzady. Kiedy po niego przyjechał, Manuel Palacios opowiedział mu o rozmowie z kobietą Salvadora K.: upierała się, że jej partner wyszedł do pracowni, i jeśli tam go nie było, ona nie wie, gdzie się podziewa, pytała zaniepokojona, czy powinna zgłosić zaginięcie na policję.

- Myślisz, Manolo, że faktycznie nic nie wie?

- Nie wiem, Conde, z nas dwóch to ty jesteś psychologiem.

Nie wiem, czy chciała nas wprowadzić w błąd.

- Poprosiłeś o zdjęcie?

- Jasne. Puszczamy w obieg?

Conde zamknął oczy i przechylił do tyłu głowę.

- Poczekamy jeszcze jeden dzień. Może pojawi się sam z siebie i nie będziemy musieli wszczynać awantur.

- Oby, ale nie miej zbyt wielu nadziei. Jeśli to on załatwił naszego pedałka, może się nam wymknąć, Conde. Ruszy na tratwie

albo... sam nie wiem.

- Zaczekajmy jeszcze chwilę - zdecydował porucznik, gdy auto zatrzymało się na światłach. Obok nich stanął autobus, Conde zatrzymał wzrok na szoferze. Miał jakieś pięćdziesiąt lat i twarz kierowcy, uznał policjant: patrzył znudzony na ulicę, uderzając o kierownicę brzegiem obrączki noszonej na palcu lewej dłoni. Siedział lekko przygarbiony, przyjąwszy posturę typową dla kogoś, kto spędził lata za kierownicą, tak wyglądali zawodowi kierowcy, i z jego twarzy można było wyczytać: ten człowiek nie mógł być w życiu nikim innym jak tylko kierowcą autobusu, zadumał się Conde i wtem ujrzał dziewczynę, która dawała znak, żeby ów kierowca otworzył drzwi. Ten z olimpijskim spokojem zastanowił się przez chwilę i na sekundę przed tym, jak kobieta omal nie uklękła na środku ulicy, postanowił odpowiedzieć na prośbę. Zadowolona pasażerka podziękowała, zdeponowała opłatę za przejazd i dokładnie w tej chwili sierżant Manuel Palacios nacisnął pedał gazu, pozostawiając autobus w tyle.

139-

- Manolo, podjedź na Luyanó, chcę się spotkać z Grubym Contrerasem.

- Z Grubym? - zapytał sierżant Palacios, jak gdyby nie rozumiał, choć Conde odszyfrował, że nie taki był sens pytania. Nagle wizja kierowcy autobusu o twarzy kierowcy autobusu uzmysłowiła mu nieuchronność niektórych losów, ustanowionych od zawsze, i w jednej chwili poczuł potrzebę porozmawiania z Jesusem Contrerasem. O czym? O czymkolwiek. Po prostu musiał się z nim zobaczyć.

- Co jest? Ktoś ci powiedział, że nie można z nim rozmawiać?

- Nie, Conde, nie pieprz głupot, wiesz, że nie w tym rzecz...

Przypomnij sobie, co ci powiedziałem wczoraj.

- To ty nie pieprz, Manolo. Cykasz się?

Sierżant westchnął, skręcając w prawo.

- Dobra już - zgodził się, kręcąc głową z niezadowoleniem, żeby podkreślić swoją dezaprobatę. - No, cykam się. Powiedziałem ci wczoraj... Po co to robisz? Żeby pokazać, że jesteś twardy i się nie boisz, czy właśnie dlatego, że się boisz?

Dom Contrerasa stał na rogu, przecznicę przez Calzadą i Luyanó. Była to stara budowla, typowa dla dzielnicy, z drzwiami wychodzącymi bezpośrednio na chodnik i wysokimi, zakratowanymi oknami, umorusana szkodliwą dla zdrowia sadzą produkowaną przez pobliskie fabryki. Dawno temu, kiedy Conde jeszcze nawet nie śnił, że któregoś dnia zostanie policjantem i że pozna kapitana Jesusa Contrerasa, wiedział już, że niskie domy tego typu nie podobają mu się, podobnie jak nie podoba mu się ta podupadła dzielnica, zbyt monotonna i szara, bez ogrodów, portyków i, od zawsze, z niewieloma ocalałymi szybami w oknach.

- Zaczekaj w samochodzie - zwrócił się do Manola. Wysiadł i zastukał w drzwi żelazną kołatką.

Gruby Contreras otworzył, na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia, przed którym Conde odczuwał respekt nie mniejszy niż przed śmiercią.

- Proszę, proszę - powiedział kapitan. - I kogo my tu mamy? Wchodź do środka.

140-

Wyciągnął dłoń. Tym razem Conde postanowił jednak stawić czoła wyzwaniu: do największych przyjemności Grubego należało ściskanie dłoni, przyjaciół i nieprzyjaciół, wszystkimi pięcioma palcami, zdolnymi dźwignąć tonę, i sprowadzanie każdego, z kim

się witał, do parteru, pod wpływem zaciskającego się nadgarstka, pierwszego członu palca, drugiego członu palca, trzeciego członu palca, a nawet czwartego, którego nie ma...

- Prędzej dam sobie uciąć rękę, niż ci ją podam, grubasie.

I wtedy nastąpił wybuch. Drugą ulubioną rozrywką Grubego było tubalne śmianie się, przypominające trzęsienie ziemi i sprawiające, że spocony brzuch oraz piersi kapitana Contrerasa, szefa Departamentu Dewiz w Centrali, rozpoczynały taniec.

- Kawał skurczybyka z ciebie, Conde, i za to cię lubię. I widzę, że ty też mnie lubisz. Wiesz co? - ponownie wybuchnął śmiechem, jak gdyby nie mógł się powstrzymać - Jesteś pierwszym skubanym policjantem, który przychodzi do mnie z odwiedzinami...

Śmiał się przez kolejną minutę, konwulsyjnie, bezceremonialnie, pocąc się, podczas gdy Conde spoglądał na sufit, w oczekiwaniu aż zacznie odpadać z niego pierwszy tynk.

Ciężko, Conde, ciężko, że normalnie szkoda gadać, przysięgam na własną matkę. Patrz, założyłem piżamę, żeby wszystko było jak należy, posłusznie, każą mi włożyć piżamę, wkładam piżamę, ale nie zamierzam błagać nikogo o litość. Ani majora, ani tych całych śledczych, ani nikogo, jestem bardziej czysty niż Matka Boska.

A jak czuć ode mnie gównem, to dlatego, że robię w gównie, kąpię się w gównie i żyję w gównie, jak każdy szanujący się glina, i nie pozwolę nikomu, żeby wycierał się o mnie gównem, niebędącym moim własnym. Nie, co to, to nie, Conde. Nie. Zaczekaj. Teraz będzie najlepsze: nie mają na mnie nic, ale jest zadyma z dewizami i chcą mnie wplątać w tę historię, bo mówią, że powinienem wiedzieć... Wiedzieć co? Wiedzieć, co robili inni policjanci, którzy jeszcze do wczoraj byli wzorowi, a dzisiaj są źli? Ja urzędowałem na ulicy, zastawiając się na tych, którzy czyhali na obcokrajowców, i swoją robotę wykonywałem, jak należało, sam wiesz. Na ulicy nie

było dolara, o którym bym nie wiedział, a moi informatorzy, jasne, że zapewniałem im bezpieczeństwo, jakże by nie, informowali mnie o wszystkim. No, tak że jeśli w banku w Panamie ktoś otwierał rachunek, a ktoś inny z góry robił jakieś przekręty z dolarami, kartami kredytowymi i tak dalej. Jakim cudem miałem do tego dobrać bez pomocy czarnucha z Habana Vieja czy białasa z Vedado, albo panienki do towarzystwa z La Lisa? To nie był mój biznes, nie mam z tym nic wspólnego... Ale nie przejmuj się, Condziku, na mnie nie ma sposobu, wszystko, co mam w tym domu, należy do mnie, jest moje, bo zapracowałem na to albo dlatego, że ktoś mi coś sprezentował, a że teraz ten ktoś gdzieś tam ma przechlapane, to nie moja wina, kapujesz? Wiesz, że każdy, komu powiedzieli „Weź”, wziął, źle mówię? I teraz wychodzą z bajką o poziomie życia, niesłusznych przywilejach, dajże spokój. Co, może chcieliby tybetańskich mnichów owiniętych w oślą skórę? Ja wiem jedno, nie zwinąłem ani jednego centa, ani jednego. Znasz mnie, Conde, co ci będę mówił. Najgorsze to widzieć tych, co jeszcze dwa dni temu łazili za mną na klęczkach, żebym im pomógł, którzy pociąg by się dali, żeby być moimi przyjaciółmi, znosili mi do biura kawę i mówili, że Sérpico to kawał gnoja, a teraz chowają uszy po sobie, gdy słyszą moje imię, myślą, że mogę im zaszkodzić, pociągnąć za sobą... Jedynym, kto do mnie zadzwonił był major Rangel, z pytaniem czy czegoś nie potrzebuję, i wiesz, co mu odpowiedziałem? Że noszę jaja na swoim miejscu i żeby więcej do mnie nie dzwonił, chyba że z przeprosinami. To jedyne, co przyjmuję, Conde: przeprosiny, honory, medale... Nie, nie zamykam się, ale trzeba mieć własną dumę, bo jak nie, co innego ci pozostaje? Hm? No powiedz. A skoro jestem czysty, moje morale jest większe nie tylko niż T\irquino, ale niż całe Himalaje, a co... Ale to straszne,



Conde. Ledwie jeden dzień minął, od kiedy jestem zawieszony, a czuję się gorzej niż ogon odcięty psu. Latam w powietrzu i nie wiem, gdzie wylądować. Dwadzieścia lat w policji i najbardziej przewalone to, że nie umiem robić nic innego, i jakby tego brakowało, lubię tę robotę. Co mam, kurwa, począć ze swoim życiem, Conde? Powiedz, co mam robić? I do tego teraz jeszcze śmierdę, słuchaj, dla własnego dobra, lepiej nie przychodź mnie odwiedzać.

142-

To ja nie chcę, żebyś przychodził, jesteś moim przyjacielem, właśnie to udowodniłeś, dlatego nie chcę ci narobić kłopotów, Conde. Uważaj na siebie, w piecu nie ma miejsca dla zakalca... Nawet taki jak ty, równy gość, musi się mieć na baczności... Podaj mi rękę, Conde, nie cykaj się. Daj, przysięgam na mamuszkę, że cię nie ścisnę... O tak... Mam cię, frajerze... Ha, ha, ha... Masz nauczkę, nigdy nie ufaj glinie, ha, ha, ha.

- Jedziemy. Gdziekolwiek, byle jak najdalej od Centrali - powiedział Conde, wsiadając do samochodu i ciskając niedopałkiem papierosa na chodnik.

- Właśnie dopiero co nas wezwali stamtąd.

- Nie mam ochoty tam jechać i nie pojedę, Manolo - przerwał Conde i uraczył kopniakiem podłogę samochodu, dając się ponieść histerii. - To, co robią z Grubym, to prawdziwe świństwo... Jak mogą oskarżać takiego policjanta jak on. Nie jadę do żadnej Centrali, Manolo.

- Dasz mi coś powiedzieć, Conde?... Wzywają, bo Alberto Marqués szuka cię w jakiejś pilnej sprawie. Tyle.

Conde poczuł, jak wściekle słońce, w całej sierpniowej okazałości, przenika przez szybę i uderza w jego klatkę piersiową i żołądek. Założył ciemne okulary.

- No to już, jedziemy się z nim zobaczyć.

Sierżant Manuel Palacios ruszył i obejrzał się na Condego. Znał swojego kompana na tyle, że nie zamierzał podejmować próby racjonalnego wytłumaczenia jego zachowania. Wolał prowadzić auto w ciszy, wprost na ulicę Milagros, między Delicias i Buena-ventura, pod numer 7.

- Też nie chcesz, żebym z tobą poszedł, co nie? - zapytał, a Conde wyczuł gorycz zawartą w pytaniu.

- Nie, wolę pogadać z nim na osobności. Tak będzie lepiej. Sierżant popatrzył przed siebie: na chodniku, jak tańczące duchy w poszukiwaniu obiecanego nieba, kłębiły się chmury gorąca.

- Przejmij w takim razie sprawę dla siebie, przy okazji zatrzymaj sobie pedała. Niech ci się przysłuży. O ile będziesz w stanie, 143-

węsząc jak pies wokół jeża, do czegoś dojść... Wiesz, Conde, że cię cenię, ale coś się z tobą podziało, jesteś jakiś inny.

- Co z tobą, Manolo?

- Wszystko, Conde. Bierzesz gówniane sprawy, wydaje się, że bycie policjantem cię zawstydzia, robisz to, na co masz ochotę... Możesz się mylić.

Conde zapalił papierosa, zanim wydobył z siebie słowo.

- Wyluzuj, Manolo, nie chodzi o to... Widzisz, ja... - zrobił pauzę przed dokończeniem zdania, które zabrzmiałoby jak fałszywa wymówka. Może sierżant miał rację, może pomijał go, wykluczał z brania udziału w niektórych kwestiach dotyczących sprawy, ale nie było innego wyjścia: dialog został nawiązany między nim i Marquésem i jego obecność mogłaby przerwać delikatną więź komunikacji z dramaturgiem. „To jak kameralna sztuka rozpisana na dwóch aktorów” - pomyślał i powiedział: - Masz rację we wszystkim, co mówisz, przepraszam cię najmocniej, ale zostań w samochodzie.

Bugenwille, świeże i zuchwałe, kwitły w słońcu, którego siła wzbierała przed zbliżającym się południem, gotowym pozbawić życia każdą żywą komórkę, która znajdzie się w zasięgu jego złowrogich promieni, z wyjątkiem nieustraszonych bugenwilli. Conde przyglądał się im z zazdrością, pozwalając wybrzmieć kołatce, której użył tym razem zamiast dzwonka w kształcie sutka.

- Ojej, ależ ten nasz policjant szybki! - skomentował Marqués, otwierając drzwi. - Wezwać i jest, raz-dwa.

- Dzień dobry - powiedział Conde, szukając wzrokiem fotela przypisanego mu w tej spowitej w półmroku scenografii. Gdy pomyślał, że znajduje się tam w związku ze śmiercią Alexisa Arayána, poczuł się niezręcznie i rozkojarzył się, próbował sobie wmówić, że sprawa tak naprawdę przestała go interesować, a jedynie, co go kusiło, to głębsze poznanie świata Alberta Marquesa, pełnego niespodzianek i niewiadomych, jak miejsce, w którym się znajdował.

- Dobrze się pan wczoraj bawił?

- Zapisuję na plus - odpowiedział Conde, wiedząc, czemu będzie musiał stawić czoła.

144-

- Czekałem na pana w domu Alquimia do drugiej w nocy, ale moje schorowane ciało nie dało rady dłużej. Od dawna nie pozwoliłem sobie na podobne szaleństwo.

- Przepraszam, jeśli to przeze mnie. Z jakiego powodu ten wczesny telefon? Chodzi o reprimendę?

Marqués poprawił szlafrok, nim zdecydował się odpowiedzieć:

- Niech mnie pan Bóg broni przed pouczeniem władzy...

- Cięty ma pan dziś język. Zawsze musi pan być taki?

- Proszę wybaczyć, panie Conde... Gniewa się pan? Odezwałem

się, bo zdarzyło się coś, co może pana zainteresować - obniżył głos, przyjmując postawę konfidencyjną. - Dzisiaj rano zadzwoniła do mnie Maria Antonia.

- Czego chciała tym razem?

- To bardzo dziwne, bardzo. Zapytała, czy Alexis nie zostawił tutaj przypadkiem medalionu, który nosił. Mały, wykonany ze złota, z wygrawerowaną postacią człowieka witruwiańskiego Leonarda. Miał taki medalik na szyi, gdy go znaleźliście?

Conde włączył w głowie taśmę z zapisem zdarzenia, jakim było znalezienie zamordowanego transwestyty w Lesie Hawańskim: przyjrzał mu się ponownie, ubranemu w czerwoną suknię, z jedwabną szarfą na szyi, wklęsłą piersią, i nie dostrzegł żadnego medalionu.

- Nie, wydaje mi się, że nie.

- Ja też nie znalazłem u siebie nic takiego. Rzecz w tym, że matka Alexisa kupiła wiele lat temu dwa identyczne medaliki w wiosce Vinci, gdzie urodził się Leonardo. Jeden dla siebie, drugi dla Alexisa. Ten, który zatrzymała dla siebie, zaginął niedługo po zakupie i nigdy nie udało się go odnaleźć. A teraz pojawił się w szkatułce, którą Alexis miał w domu. Maria Antonia twierdzi, że nigdy wcześniej go tam nie widziała i teraz nie wie, czy to medalik Matilde, który zaginął, czy ten należący do Alexisa.

- Alexis nosił swój medalik?

- Zawsze miał go z sobą. Jak pan myśli? Ukradł medalion matce i schował w szkatułce, czy z jakiegoś powodu zostawił tam swój?

145-

Conde nie dał rady powstrzymać uśmiechu po wybrzmieniu enigmatycznego pytania Marquesa.

- Doprawdy nie sądziłem, że tak bardzo lubi pan się bawić

w detektywa. Mnie straszą odebraniem mi sprawy, a tu proszę, tym, który ją przejmuje, jest pan.

- Ach, proszę nie mówić takich rzeczy. Nie byłbym w stanie niczego panu odebrać, panie przyjacielu policjancie.

Conde roześmiał się jeszcze raz i zapalił papierosa. Marquésowi udawało się wprowadzać go w dobry humor.

- Nie zaproponuje mi pan dzisiaj herbaty? Chyba by mi się przydała...

- Z przyjemnością, panie przyjacielu policjancie. Dorzucę sporo kostek lodu - powiedział Marqués i udał się w głąb sceny, pozwalając szlafrokowi muskać jego naprężone mięśnie nóg.

„Boże, jaki horror” - zawyrokował Conde, widząc, jak karykaturalna postać gospodarza nagle przemienia się w doktora Watsona, z herbatą w dłoni, uśmiechem rozświetlającym twarz.

- Wie pan co, Marqués? Jeśli Alexis schowałby swój medalion do szkatułki, to tak jakby zostawiał znak zapowiadający samobójstwo. Nie? Jak gdyby chciał wszystko posprzątać, zanim się zabije. Ale nie popełnił samobójstwa. Może nie zdążył.

- A może zainscenizował własną śmierć... Ja myślę, że tak było... Proszę zerknąć, co znalazłem na półce.

Wyciągnął w stronę Condego dłoń, w której trzymał kartkę z Biblii: brakująca część z Ewangelii świętego Mateusza, strony dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć i dziewięćset dziewięćdziesiąt rozpoczynające się od rozdziału siedemnastego: „Po sześciu dniach Jezus wziął z sobą Piotra, Jakuba i brata jego Jana i zaprowadził ich na górę wysoką, osobno. Tam przemienił się wobec nich”. Na marginesie, ledwie widoczny, widniał komentarz: „Boże Ojcze, dlaczego zmuszasz go do takiego poświęcenia?”

- Gdzie pan to znalazł?

- Banalnie proste, poruczniku, było tam, gdzie miało być:

wewnątrz tomu Teatru Zebranego Virgilia Piñery, na półce. Wi-  
dzi pan - powiedział, wskazując palcem na skroń - czysta de-  
dukcja.

146-

- Prawda, tam powinno być... Alexis nie przebrał się dla wi-  
dzimisię. Albo oszalał, albo został, jak pan twierdzi, mistykiem,  
albo chodziło mu o przedstawienie aktu transfiguracji, który nie  
wiem, co miał oznaczać...

- Miał oznaczać ukrzyżowanie, panie przyjacielu policjancie.  
Conde spojrział ponownie na kartkę wyrwaną z Biblii, przeczytał  
cały rozdział i poczuł, że to tam jest zapisana prawda o śmierci  
Alexisa Arayãna i że znów mu się wymyka, jak twarz ze snu.

- Tak, może pan mieć rację. Ale dlaczego robić to w taki  
sposób?

- Jak dla mnie, wszystko jest jasne: ponieważ nie miał odwagi,  
żeby się zabić... Proszę pamiętać, że Alexis był katolikiem, a ka-  
tolicyzm potępia samobójstwo, tak jak nie uznaje homoseksuali-  
zmu. Dzięki niemu nauczyłem się na pamięć fragmentu z Księgi  
Kapłańskiej: „Nie będziesz obcował z mężczyzną, tak jak się obcuje  
z kobietą. To jest obrzydliwość!". Nieuchronnie ci, którzy to robią,  
zostaną ukarani śmiercią, niech ich własna krew zaleje... Dla kogoś  
wierzącego dowiedzieć się, że Bóg, w którego się wierzy, wezwał  
Mojżesza, by oznajmić mu takie barbarzyństwo, musi być odkry-  
ciem niełatwym, nie sądzi pan? Ale to tylko jedna strona Życiowej  
Tragedii, jak mawia mój stary przyjaciel, który nie ma nic wspól-  
nego z homoseksualizmem. Od długiego czasu interpretacja nie  
jest tak judaistyczna, że się tak wyrażę, ale przez wiele wieków  
grzech ten, nazywany postępowaniem wbrew naturze, uczynił nie  
do zniesienia życie wielu homoseksualistów, podobnie jak pomyśl,  
że homoseksualizm to choroba... Grzech główny, zboczenie, choroba

umysłu i ciała, nigdzie na świecie nie jest łatwo być pedałem, panie przyjacielu policjancie, niech mi pan uwierzy. Ale powiem panu coś więcej: mam informację od tych, którzy znają sprawę lepiej, spośród dziesięciu milionów Kubańczyków żyjących w naszej socjalistycznej republice pięć do sześciu procent jest homoseksualistami. Jasne, wliczając towarzyszek lesbijki. Niech pan podliczy, śmiało: skoro jest nas pięć milionów mężczyzn, trzy procent, założmy, że tyle, wychodzi sto pięćdziesiąt tysięcy, prawie jedna piąta miliona współobywateli. Można by utworzyć oddział wojska... Coś jeszcze powinienem dodać? Nie przekonuje mnie ta liczba, iluż to z nas

147-

wstydzi się przyznać do bycia homoseksualistami i nie ma się co dziwić, z powodów, które wymieniłem wcześniej, w związku z długą krajową historią homofobii, jaka trwa w naszych czterech ścianach, odkąd przybyli tu Hiszpanie i uznali poczynania naszych Indian sodomitów za świńskie i barbarzyńskie, gdy ci kąpali się w rzekach z cygarami w ustach i z juką w rękę... Doświadczenie historyczne może ukazać kolejne rozdziały dramatu, panie przyjacielu policjancie: proszę nie zapominać, jak w latach sześćdziesiątych stworzono tu UMAP-y, słynne Jednostki Wojskowego Wsparcia Produkcji, do których angażowano, oprócz innych szkodników społecznych, także homoseksualistów, żeby tam uczynić z nich mężczyzn, mających ścinać trzcinę i zbierać kawę, i jak po 1971 roku wprowadzono tutaj także, a policjanci jak pan, prokuratorzy i sędziowie mieli się zastosować, przepisy o „epatowaniu homoseksualizmem i innych społecznie niewłaściwych zachowaniach...”. A pan naiwnie pyta mnie o powody, dla których homoseksualista miałby popełnić samobójstwo.

Wiosną w Paryżu zazwyczaj nie myśli się o samobójstwie. Przy najmniej ja tak mam. Czułem się na tyle wolny i inteligentny, że nie byłem w stanie sobie wyobrazić, iż ta wolność i inteligencja,

ta zjawiskowa wiosna, będą wstępem do późniejszego cierpienia i dramatu... Recio mówił, że jestem jakiś dziwny, że wcześniej nie widział mnie w podobnym stanie, tak optymistycznie nastawionego do życia, tak szczęśliwego, gdy jechaliśmy samochodem do domu Sartre'a i Simone, z którymi miałem umówione spotkanie tamtego wieczoru i których miałem oficjalnie zaprosić na Kubę, na premierę mojej wersji Elektry Garrigó. Los jednak postanowił inaczej, jedna decyzja miała dać początek końca wszystkiemu. Przedstawiłem Reciovi swoje wątpliwości co do zabrania z nami Tego Drugiego, obawiając się, że popelni jakieś głupstwo, upije się, zarzyga dywan, albo będzie chciał całować Jeana Paula, w ramach uznania za nieprzyjęcie Nobla... Recio zgodził się z moją opinią, powiedział, że Ten Drugi nadaje się na spotkania z transwestytami i do tego typu miejsc, towarzysko mniej zobowiązujących, ale niekoniecznie trzeba go zabierać do domu Simone... Kolacja była cudowna, nie zabrakło 148-

nawet świec: raczyliśmy się winem Bordeaux, zajadaliśmy się najlepszymi francuskimi serami, wymieszanymi z najlepszymi serami włoskimi, mięsem w sosie grzybowym, kojącym każdy zakamarek podniebienia i niedającym szansy pamięci afektywnej, by odnalazła podobny smak. A na deser holenderskie lody... Cały czas rozmawialiśmy o moim projekcie, opowiadałem, jak wyobrażam sobie scenę i stroje, a zwłaszcza poruszanie się aktorów, jak chciałbym, by byli ucharakteryzowani, że w stylu greckich masek, ale z twarzami jak najbardziej hawańskimi, biali, Mulaci i czarni hawańczycy, starając się, żeby maska uzewnętrzniała ich, a nie ukrywała, aby wydobywała ich wnętrze, ale nie skrywała ich tragicznego i jednocześnie komicznego ducha, którego chciałem ukazać jako esencję kubańskości, której Virgilio Piñera był największym profetą, ponieważ dla niego, jeśli istniało coś, co odróżniało nas od reszty świata, to posiadanie



kreolskiej mądrości, mówiącej, że nic nie jest prawdziwie bolesne ani całkowicie przyjemne. Moje przedstawienie, wyjaśniałem, miało być najbardziej ekstremalną stylizacją hawańskich teatrów buffo z dziewiętnastego wieku i miejscowych teatrów kreolskich, w stylu teatru Alhambra, przemielone przez tragizm i filozofię, aż zostałyby z niego sama artystyczna esencja, taki w końcu był wielki kubański teatr idiosynkratyczny... Mówiłem, że dlatego potrzebuję wesprzeć się słowem, nie koncentrować się, jak poczciwy Artaud, jedynie na poszukiwaniu języka scenicznego, w znakach i gestach, aktywnych i dynamicznych, gdyż jedną z cech najbardziej widocznych i tych, które tworzą kubańskość, jest skłonność do niezamykania ust. Jak Artaud, tutaj owszem, chciałem pokazać, że jeśli teatr, to nie zabawa, lecz prawdziwa rzeczywistość, bardziej prawdziwa niż ta tutaj, muszę zmierzyć się z trudnością, jaką jest przywrócenie jemu, teatrowi, należytej rangi, uczynić z każdego przedstawienia coś na wzór wydarzenia, zdolnego wywołać zdziwienie i pobudzić inteligencję, zmierzyć się z łatwo osiągalnym stanem bezmyślności, jak on to nazywał... Maska na twarzy powinna stanowić główne narzędzie dla wydobycia na wierzch maski moralnej, z jaką wielu ludziom, w jakimś momencie, przyszło żyć: homoseksualistom udającym, że nimi nie są, osobnikom zagniewanym silącym się na uśmiech, czarownikom z podręcznikami do marksizmu pod 149-

pachą, zawziętym oportunistom przebranym za łagodne jagniątko, apatycznym ideologom z użyteczną legitymacją w kieszeni; krótko mówiąc, najbardziej upstrzony karnawał w kraju, który wielokrotnie musiał się odbywać bez karnawału... Tym, czego chciałem, było, ni mniej, ni więcej, nadanie tragedii, pomyślanej jako rodzinny dylemat, transcendentnej poetyki, wykraczającej poza konkretny czas, ale dziejącej się w konkretnej przestrzeni: zostać albo wyjechać,

atakować albo nie być posłusznym, albo to samo co zawsze, od Edypa i Hamleta - być albo nie być... Na koniec opowiedziałem, jak to paryscy transwestyci zainspirowali mnie do znalezienia ostatniego klucza do spektralnego transformizmu, który sławi wyższe aspiracje przedstawienia, gdzie aktor umiera, mając na sobie strój postaci, którą gra, a zamaskowanie przestaje być jedynie stanem przejściowym i karnawałowym, ażeby przekształcić się w inne życie, bardziej prawdziwe, bo bardziej upragnione, świadomie wybrane, a nie tylko przyswojone jako zwykłe koniunkturalne schronienie... Wówczas Sartre, z tym swoim orlim spojrzeniem, odezwał się jak wyrocznia: „Czy to, co proponujesz, nie jest nazbyt skomplikowane?” - zadał pytanie, chcąc przestrzec mnie przed objawieniami, zawsze bowiem można je czytać w dwójnasób, a ta różnorodność może się dla mnie okazać niebezpieczna, podobnie jak zasadniczy fatalizm, jaki chciałem ukazać poprzez postać dwudziestowiecznej kubańskiej Elektry. Słyszał już wcześniej różnych wyspiarskich biurokratów, którzy twierdzili, że sztuka na Kubie powinna być czymś innym, a to „coś innego” nie przypominało mojej Elektry Garrigó i jej dylematu, być albo nie być... Ale los zdecydował, że miałem nie posłuchać tych słów: moja decyzja była nieodwracalna i tak właśnie ujął to Plimpton w wywiadzie, jaki ze mną przeprowadził i opublikował w „Paris Review”.

Wróciliśmy do domu i, żeby kontynuować intelektualne i fizyczne upojenie tej wiosennej paryskiej nocy, wraz z Reciem kochaliśmy się, po raz pierwszy i jedyny, po dwudziestu latach przyjaźni, podczas gdy z jego gramofonu sączył się powolny walc Straussa.

„Wszystko jest możliwe, wszystko jest dozwolone, wszystko należy do mnie” - myślałem sobie nazajutrz, popijając kawę przygotowaną przez Recia, a wtedy ktoś zapukał do drzwi. Przypomniało mi się,

że zupełnie zapomniałem o istnieniu Tego Drugiego, którego wykluczyliśmy z udziału w doznaniach naszej dwójki, i pomyślałem, że to on wraca z wiecznej orgii, która jest jego udziałem, ale Recio powiedział, że nie, że Ten Drugi ma klucz, i otworzył drzwi, za którymi pojawiła się postać okazałego, okazałych rozmiarów nieoczekiwanego funkcjonariusza ambasady, który z poziomu swojej dyplomatycznej, zuchwałej dostojności, przekazał nam informację: Ten Drugi przebywa na komisariacie na Montmartrze, w związku ze skandalem publicznym, agresją i niestosownym zachowaniem, i ambasada nie jest gotowa zapłacić kaucji ani ponieść prawnych konsekwencji prywatnego wybryku...

Znów musieliśmy zadzwonić do Sartre'a, który na szczęście nie zdążył wyjść z domu, i udaliśmy się z nim na komisariat, przerażające miejsce, który nie miał wiele wspólnego z tym od Maigreta, i gdzie nie było miejsca dla najmniejszego podmuchu wiosennego wiatru, który wypełniał świeżością miasto: to tutaj harmonia znalazła sobie więzienie, a może nawet gilotynę. Wcześniej Jean Paul wykonał kilka telefonów i gdy zjawiliśmy się na miejscu, Tego Drugiego, zapłakanego i zasmarkanego, w podartej koszuli, przekazano mu pod opiekę, i obeszło się bez sądów i kaucji, chodziło, jak się okazało, o mało znaczącą bójkę między homoseksualistami o niewiadomym pochodzeniu. Drugi i jeden albański transwestyta bez dokumentów, w którym - jak zapewniał, przysięgał i przekonywał - zakochał się. Najgorsze jednak zdążyło się wydarzyć: Inny miał się stawić następnego dnia po południu w ambasadzie i powiadomiono go, że zostanie odesłany na Kubę samolotem odlatującym następnego ranka. W nocy długo rozmawialiśmy z nim, Recio i ja, płakał, był zrozpaczony utraconą miłością, złęknioty czekającą go przyszłością reprezentatywnego pisarza, którą właśnie wydawał się zaprzepaścić, i przepraszał nas, cierpiąc na zapas,

w ramach kary, jaka czekała na niego w Hawanie, gdzie dwa dni później miał stanąć przed Krajową Radą Kultury, która to sfinansowała jego podróż do Paryża, właśnie, do Paryża, tamtego lata, którego, jak myślałem wszystko było możliwe, wszystko należało do mnie, kiedy wierzyłem, że teatr to ja.

- 151 -

- Chcesz poprowadzić rozmowę?

- Ach, że teraz to ja mam rozmawiać... Jak ty to robisz, Mario Conde...?

- Chcesz czy nie? - zapytał Conde tonem sugerującym zakończenie dyskusji i sierżant Manuel Palacios pokiwał twierdząco głową. „Zbyt szczywany z niego policyjny lis, żeby zrezygnować z okazji” - pomyślał porucznik i otworzył bramę prowadzącą do posiadłości Arayánów. W ogrodzie niewielka obrotowa gwiazdka spryskiwała łagodnymi strumieniami wody świeżo przycięty trawnik, nad którym unosił się zapach wywołujący u Condego wspomnienie: zapach wilgotnej ziemi i skoszonej trawy, prawdziwy i telluryczny, który przywracał w pamięci obraz dziadka Rufina Condego, z wypalonym, ale mocno ściśniętym w zębach cygarem, zraszającego wodą trociny w klatce z kogutami, podczas gdy z radia dochodziły głosy kubańskich poetów wiejskich. Conde, naciskając dzwonek do drzwi domu, w którym mieszkał Alexis Arayán, zapragnął raz jeszcze znaleźć się na podeście otaczającym klatkę z ptakami, u boku dziadka Rufina, jak niegdyś, gdy życie polegało na doglądaniu kogutów, a ich właściciel musiał wykazać się zręcznością w przygotowaniu ptaka do walki. „Nie graj nigdy na pieniądze, jeśli masz przy sobie żądę” - przestrzegał go dziadek, przekazując w tym zdaniu całą filozofię życia.

- Dzień dobry - powiedziała María Antonia, otwierając drzwi. Policjanci przywitani się i Conde oświadczył, że przyszli poroz-

mawiać z nią i z rodzicami Alexisa.

- O czym? - zapytała kobieta, u której zapaliło się światelko alarmowe.

- O medalionie...

- Ale... - zaczęła, i do światelka dołączyły syreny: nieuchronne niebezpieczeństwo, zauważył Conde.

- Oni nie wiedzą o pani znalezisku?

Murzynka zaprzeczyła ruchem głową.

- Trzeba ich powiadomić... Medalion może nam wiele wyjaśnić, jeżeli chodzi o śmierć Alexisa.

Kobieta ponownie poruszyła głowę, tym razem twierdząco, i ruchem ręki zaprosiła, by weszli do środka.

152-

- W domu jest tylko pani Matilde.

- A towarzysz Faustino?

- W pracy. W poniedziałek powinien lecieć do Genewy, ale pani wciąż jest bardzo podenerwowana... - poinformowała, a Conde wraz z Manolem zobaczyli, jak skrzydlata María Antonia przemieszcza się zwinnie ku wnętrzu domu, zaraz po tym, jak wskazała na dwa fotele pokryte czarną skórą, miejsca, gdzie mieli usiąść.

- Narobimy jej kłopotów, Conde.

- Nie martw się, ona wie więcej niż ty i ja razem wzięci...

Matilde wyglądała jak schorowana staruszka. W ciągu trzech dni, odkąd Conde przekazał jej wiadomość o śmierci syna, kobieta zmieniła się nie do poznania, jakby minęło dwadzieścia długich i wyniszczających lat, a ona poświęciła je na pozbawianie się wszystkich posiadanych cech witalności. Przywitała się zaspalonym głosem, zasiadła w jednym z foteli, Maria Antonia natomiast pozostała w pozycji stojącej, jak przystoi uległej służącej. Conde znów pomyślał, że bierze udział w przedstawieniu teatralnym,

przypominającym rzeczywistość nazbyt przemyślaną, gdzie i on miał przypisaną rolę i miejsce. Wielki teatr świata, co za bzdura. Życiowa Tragedia, jeszcze większa bzdura. Życie jest snem?

- A więc tak, Matilde - rozpoczął Manolo i widać było, że niełatwo mu prowadzić rozmowę - dowiedzieliśmy się od Marii Antonii czegoś, co może mieć znaczenie dla prowadzonego przez nas śledztwa, choć równie dobrze może nic nie znaczyć... Rozumie pani?

Matilde zaledwie poruszyła głowę. „Oczywiście, że nie rozumie” - pomyślał Conde, ale postanowił poczekać. Manuel Palacios posiadał instynkt psa, który zawsze trafia na właściwy trop. Wtedy sierżant opowiedział o znalezisku Marii Antonii i dodał od siebie:

- Jeśli medalionem jest ten, który należał do pani, a Alexis schował go właśnie tam, to nie ma problemu. Ale jeśli należał on do pani syna, to wydaje nam się, że fakt ten może pomóc wyjaśnić kilka wątpliwości...

- Na przykład jakie? - zapytała kobieta, która wydawała się budzić z zimowego snu.

153-

- Nie mamy pewności, ale podejrzewamy, że jeżeli to on był osobą, która schowała medalion w szkatułce, może to oznaczać, iż planował popełnić samobójstwo i nie chciał, żeby medalikowi się coś przytrafiło... Choć istnieje też inna możliwość, być może mniej prawdopodobna: że ktoś inny umieścił tam medalion...

- Kiedy?

- Być może już po śmierci Alexisa - powiedział Manuel Palacios, a Conde zwrócił na niego spojrzenie. „A niech to kurwa mać” - pomyślał porucznik, zadziwiony rozwiązaniem, o jakim wcześniej sam nie pomyślał. Czy morderca samodzielnie mógł

schować medalion w szkatułce? Nie, pewnie, że nie, próbował przekonać sam siebie Conde, choć dobrze wiedział, że tak właśnie mogło być. Ale po co?

- Jak to było, Toñu? - spytała Matilde, nie odwróciwszy się w stronę Murzynki. Maria Antonia, pozostając w przyjętej pozycji dramatycznej, opowiedziała, jak doszło do odkrycia, że stało się to wcześniej rano, wspomniała też o telefonie wykonanym do Alberta Marquesa. Matilde odwróciła się w jej stronę i wydusiła z siebie: - Bądź tak dobra i przynieś medalion, proszę.

Maria Antonia zniknęła w zakamarkach domu, a Matilde przyjrzała się policjantom.

- Nie były identyczne. Potrafiłam odróżnić swój od Alexisa. Postać człowieka z mojego medalionu miała skazę pod lewym ramieniem - powiedziała i zamilkła, zasiewając niepokojem ciszę, jaka wypełniła czas wyczekiwania na powrót Marii Antonii. - Pokaż - powiedziała po powrocie służącej; zbliżyła przeszlony wzrok do sprasowanej postaci człowieka i oznajmiła: - Ten medalik należał do Alexisa - w jej głosie nie było cienia wątpliwości.

- No to pięknie - zareagował sierżant Manuel Palacios, dając się ponieść intensywności pragnienia, gdy tymczasem Conde postanowił wykorzystać nagły przypływ witalności Matilde.

- Chcielibyśmy zapytać także, czy ten charakter pisma należy do Alexisa - i pokazał kartkę wyrwaną z Biblii.

Kobieta mechanicznie wyciągnęła rękę, by sięgnąć po okulary, leżące na stoliku w rogu, a Maria Antonia pospieszyła jej z pomocą.

154-

- Tak, myślę, że tak. Popatrz, Mario Antonio.

- To jego pismo - potwierdziła służąca, nie potrzebując okularów, a w jej głosie słychać było pewność, o jaką podejrzewał ją

Conde, gdy wypowiadała się na temat włoskich Madonn... Porucznik spojrział na czystą popielniczkę, ale powstrzymał się przed kolejną myślą. Odezwał się, spoglądając na obie kobiety.

- Proszę pani, ten medalion, kartka wyrwana z Biblii, na której poczynił notatki, i strój, jaki miał na sobie tamtej nocy, wszystko to jest bardzo dziwne. Czy Alexis wspominał kiedykolwiek o samobójstwie?

Nie wyobraża pan sobie, co czuje matka, gdy dowiaduje się, że jej syn jest homoseksualistą... To tak jakby wszystko poszło na marne, można pomyśleć, że oto bieg życia został przerwany, że to jedna wielka pułapka, i wtedy człowiek próbuje sam się przekonać, że może nie, że to może przejściowe, że wszystko wróci do normy i że syn, którego oczyma wyobraźni widziało się z żoną u boku, z własnymi dziećmi, będzie mężczyzną jak inni, i zaczyna się przyglądać innym mężczyznom, i każdego wzięłoby się zamiast syna, tego samego, o którym myśli się, że jeszcze nie jest dla niego za późno, że jeszcze może będzie on taki, jakim kiedyś się go sobie wyobraziło. Nadzieja, w tym wypadku, okazała się płonna, Alexis nie miał zamiaru się zmienić, i więcej niż raz myślałam, że lepiej byłoby, gdyby umarł. Lepsze to, niż oglądanie go w przebraniu homoseksualisty, pokazywanego palcem na ulicy, odrażającego, odczłowieczonego... Wiem, jeśli Bóg istnieje, nie będzie miał dla mnie przebaczenia. Dlatego mówię o tym teraz z takim spokojem. Z czasem, widzi pan, oswoiłam się z tym, co nieuniknione, wytłumaczyłam sobie, że nade wszystko jest moim dzieckiem. Ale jego ojciec, on już nie potrafił. Faustino nie mógł tego przełknąć, swoje rozczarowanie obrócił w pogardę dla Alexisa. Postanowił spędzać więcej czasu poza Kubą, a jego zostawić tutaj, z Marią Antonią i moją matką. Dla Alexisa było to bardzo ciężkie przeżycie: niech pan sobie wyobrazi, jak to jest być innym i wytykanym w szkole,



na ulicy, nawet we własnym domu, być odrzuconym i negowanym  
155-

przez własnego ojca. Wyobraża pan to sobie? Któregoś dnia, wychodząc z teatru, razem z Faustinem rozmawialiśmy ze znajomymi i zjawił się Alexis w towarzystwie kolegi, mniej więcej swojego rówieśnika, jak on trzynastolatka, i Faustino odwrócił wzrok, żeby zademonstrować, że się z nim nie przywita. To było wyjątkowo okrutne. Każdy taki incydent sprawiał, że u Alexisa rosło poczucie winy, a najgorsze, że i ja chciałam go z tego wyleczyć, znaczy ze skłonności do chłopców. Zaprowadziłam go do wielu psychiatrów, teraz już wiem, że to był błąd. Wszystko to sprawiało, że czuł się nieszczęśliwy, jeszcze bardziej niedoceniony, odmienny od innych, nie wiem, jakby miał dżumę. Wtedy zaczął chodzić do kościoła, tam nikt mu nie ubliżał, zaczął spotykać się i rozmawiać z Albertem Marquesem, kiedy ten pracował w bibliotece Mariana, i jego życie zostało tam, z dala ode mnie i rodziny... Ostatnimi czasy był dla mnie kimś obcym. Od ostatniej sprzeczki z ojcem, po której Faustino wyrzucił go z domu, przychodził do nas nie częściej niż raz w tygodniu, żeby spotkać się z babcią i Marią Antonią, czasami rozmawiał też ze mną, ale nigdy nie dopuścił mnie do swojego świata. Mój syn przestał być moim synem, widzi pan to? I dużo było w tym mojej winy. Przyczyniłam się do tego, że zmienił się w człowieka zasmuconego, że czuł się odepchnięty, stał się kimś, kto zaczął myśleć, że byłoby lepiej, gdyby w ogóle się nie urodził, albo gdyby się zabił: tak mi kiedyś sam powiedział. O to pan pytał? No więc tak, powiedział mi... A teraz, zdziwiłby się pan, gdybym i ja wyznała, że też mam ochotę umrzeć? Albo jeśli powiem, że do śmierci Alexisa przyczyniły się także te dwie ręce? Niech mi pan powie, czy zna pan gorszą karę?

- Nieźle, zdaje się, że idzie na deszcz. Dobra, nie baw się w takiego

ważnego policjanta. Mów, co tam mamy?

- No więc, Conde...

- Po pierwsze, wiemy że medalion należał do Alexisa i to daje dwie możliwości: albo to on sam umieścił go w tym miejscu, albo zrobił to ktoś inny i ten ktoś jest mordercą. Kto, w takim razie, mógł to być?

156-

- Nie była to Maria Antonia, bo nie zadzwoniłaby w tej sprawie, ani Matilde, bo jako jedyna potrafi rozróżnić oba medaliony.

- Faustino?

- Nie, Conde, nie pieprz głupot. To jego ojciec. Mieli swoje historie, ale nie bądź uprzedzony do faceta. Poczęstuj papierosem.

- Wobec tego mamy przyjąć, że mordercą jest ktoś obcy, kto wszedł do domu, żeby umieścić medalion w szkatułce.

- No, tak chyba było, nie? W dniu czuwania i pogrzebu dom był pusty.

- Teraz to ty pieprzysz, Manolo. Po co ktoś miałby to robić?

- Żeby nas zmylić. Miałeś poczęstować mnie papierosem.

- Trzymaj... Ale zabójca nic nie wiedział o tym, że medaliki się różniły, zapewne nie wiedział też o istnieniu dwóch takich samych medalionów, co nie?

- To prawda, może i nie wiedział. Ale jeśli to nie Alexis go tam włożył, musiał wiedzieć.

- A co z twoją teorią, że morderca nie wrzucił ciała do rzeki, bo wiedział, że nikt nie będzie go łączył z Alexisem?

- Fakt, nie pasuje to do siebie... Poczekaj, a jeśli Alexis, który wiedział, że medaliki są różne, powiedział o tym Salvadorowi K. albo jakiemuś innemu swojemu kochankowi?... Całe szczęście, że mamy deszcz, może się trochę ochłodzi. Zaczekaj, do domu w tych dniach wchodził ogrodnik, który był tam wczoraj; specjalista

od piecyków gazowych we czwartek; lekarz Matilde, przyszedł trzy razy od śmierci Alexisa; pięć, siedem, osiem osób, członków rodziny Matilde i Faustina, przed i po pogrzebie; dwóch pedałów, przyjaciół Alexisa, Jorge Arcos i Abilio Arango, co nie? W sumie jakieś trzynaście osób.

- Za dużo. Niezła ulewa, co?...

- No. Chociaż lekarz miał większe możliwości niż reszta, nie sądzisz?

- Jasne, siedział z Matilde cały dzień, aż zasnęła. Ale po co Salvador K. się ukrył?

- No, jak na razie to on wysuwa się na prowadzenie wśród podejrzanych, co nie?

- Conde, majster od kuchni był nowy. Może to Salvador K.?  
157-

- Chyba cię powaliło, Manolo, to już byłaby lekka przesada. Wyobraź sobie, ile zbiegów okoliczności trzeba, żeby Salvador K. dowiedział się, że akurat zepsuł się piecyk i przyszedł w miejsce prawdziwego specjalisty, zdeponował medalion na swoim miejscu i do tego jeszcze naprawił piecyk.

- Sam widziałeś wiele bardziej nieprawdopodobnych przypadków, Conde... Skoro przed czymś ucieka, znaczy - ma coś na sumieniu.

- Pewnie. I mamy też kartkę wydartą z Biblii, z notatką poczynioną przez Alexisa i ukrytą w książce Piñery... „Boże Ojczy, dlaczego zmuszasz go do takiego poświęcenia?”... Co o tym sądzisz?

- Tutaj, przyznaję, nie mam pojęcia.

- E tam, Manolo, bredzisz, przecież to proste: Alexis cierpi i solidaryzuje się z innym cierpiętnikiem, co nie?

- To bardzo piękne, ale powiedz mi jedno: dlaczego wsunął kartkę do tej książki?

- Bo już wtedy myślał o włożeniu na siebie stroju Elektry...  
Chciał odegrać własną tragedię. Trochę to wygląda na pedalskie zachowanie, nie wydaje ci się?
- Skoro ty, który znasz się na rzeczy, tak twierdzisz... A co z monetami? Chyba nie zapomniałeś o dwóch pesos?
- Oczywiście, że nie, ale faktycznie, co się tyczy tego aspektu sprawy, nie mam najmniejszego pojęcia. A ty, geniuszu?
- Jak mówiłem: to zapłata za coś.
- Tylko za co... Kurwa, czyżby jakieś oskarżenie?
- Nie wiem. A co myślisz o Mariiii Antonii?
- Czarnula Toña o skrzydlatych stopach... Nie wiem, co o niej myśleć, ale jednego jestem pewien: ta Murzynka wie dużo więcej, niż nam się wydaje. Jak sądzisz, dlaczego zadzwoniła do Marquesa i zrobiła całą tę aferę z medalionem?
- Żebyśmy się o tym dowiedzieli.
- Też tak sądzę. Zatem wie o czymś, co...
- Wzywamy ją do Centrali?
- Daj spokój, Manolo, ty to byś chciał każdą sprawę załatwiać, nabijając człowieka na pal. Gdyby to było takie proste, zadzwoniłaby do nas. Zanoszą się, że będzie padać całe popołudnie.

158-

w takim razie robimy, zanim odnajdzie się Salvador K., żeby oznajmić, że uciekł z domu, bo nie mógł dłużej znieść swojej baby?

- Co robimy? Myślimy, cóż innego nam pozostaje. Myślimy, jak dwaj myśliciele, przecież nimi jesteśmy... Podrzucić mnie do domu.

Chciał wierzyć, że deszcz, który czyści szyby, zrobi to samo z jego umysłem, pomoże mu jasno rozumować. Spróbował zatem zmierzyć się raz jeszcze z wymykającą się twarzą zakrytą maską, która ukazała mu się we śnie, i za pomocą umysłowego wysiłku postanowił zerwać

tę zasłonę, za którą skrywała się prawda. Zawsze chodzi o prawdę. Ukrytą, przemienioną, o cholerną prawdę: czasami kryjącą się za słowami, czasami za postawą, a czasami nawet za życiem, zmyślonym i przeznaczonym, tylko po to, by ukryć lub zmienić prawdę. I teraz też ona tam była, wiedział to, brakowało tylko pomysłu, światła, które rozświetliłoby mu umysł i uwydatniło tę cholerną prawdę. „Tak naprawdę” - pomyślał wtedy, nie porzucając wcześniejszych rozważań - „chętnie zobaczyłbym się jeszcze raz z Poły Wróblim Tyłeczkiem”. „Boże, co za horror” - przypomniało mu się i poczuł ochotę ulżenia sobie za pomocą dłoni, ale szybko wykluczył takie rozwiązanie, jakże indywidualistyczne i samowystarczalne, wiedząc, że tyłeczek, o którym myśli, jest materialny i do skonsumowania, co prawda nie dzisiejszej nocy, ale czemu by nie w niedzielę, bo w sobotę idzie na balet, proszę, proszę, a on, jeśli przestanie padać, wybierze się na recital poetycki Eligia Riega, i może będzie miał okazję porozmawiać z recytującym poetą. Pomyślał też, że minęło sporo czasu od ostatniej wizyty u Chudego, powinien opowiedzieć mu o spotkaniu bliskiego stopnia z wariatką, która wydobyła z niego ostatnie krople nasienia, skrupulatnie nagromadzonego, a robiąc to, wzdychała: „Boże, co za horror!”, jak gdyby wszystko, co się działo, było błędem. Jak dziś wygląda Dulcita, po tylu latach spędzonych w Miami? Może utyla i ma buźkę kury domowej, i nosi błyszczące ciuchy, jak wszyscy przyjeżdżający z Miami, a może nie, może wciąż ma piękne jak niegdyś nogi, na które on, gdy w pobliżu nie

159-

było jego przyjaciela, gapił się długo, aż do samego końca, którym były jędrne pośladki - wiedział, bo powiedział mu o tym Chudy. Jeśli wciąż była tak śliczna, perfekcyjna, dobra, czy sprawiedliwe będzie, żeby oglądała Carlosa w takim stanie? Żeby tak wszystko dało się zacząć od nowa i żeby Chudy znów mógł być chudy! Jeśli

Bóg istnieje, gdzie był w dniu, kiedy Chudy został trafiony? Dlaczego akurat on? Dlaczego Chudy?... Kto to mógł być? Salvador? Lekarz? A dlaczego by nie Faustino? Może majster od kuchni? A może jeszcze ktoś inny? Może ktoś spośród dziesięciu osób, które odwiedziły dom? Dlaczego nigdy nie dopuścił myśli, że Marqués mógłby mieć z tym coś wspólnego? Może dramaturg wynajął poborcę długów? „Nie wymyślaj” - powiedział do siebie Conde i postanowił pohamować wodze fantazji. - „A już prawie go miałem, kurwa”. Było miło, po dwóch smażonych rybkach z chlebem i kawą, nie musieć myśleć, że jak się nie kupi więcej kawy, to na poniedziałek nie starczy, czas płynął teraz jakoś łagodniej, w czym pomagała świeżość, przybyła wraz z deszczem, który najwyraźniej nie zamierzał przestawać padać. Czy gdy padało, Gruby Contreras też oddawał się rozmyśleniu? Szkoda Grubego, gdybym mógł z nim pogadać o sprawie, na pewno doradziłby mi coś mądrego. Ten skurczybyk to kawał dobrego gliny. Teraz, bez Grubego i starego kapitana Jorrina, z którego śmiercią Conde wciąż nie mógł się pogodzić, praca w policji będzie znacznie trudniejsza. Z kim tu pogadać o wątpliwościach? Co zrobili z Maruchi? Co wydarzyło się między Maruquésem i Tym Drugim, o niewiadomym imieniu, po tym, jak deportowano go do Hawany za to, że był nierozsądnym pedałem? Czuł potrzebę poznania końca opowiadanej przez Marquesa historii, która z każdym rozdziałem stawała się coraz bardziej osobista, coraz mniej zamaskowana. Czy w końcu zdradzi mu, kim był Ten Drugi, i czy rzeczywiście podglądał go w trakcie korzystania z toalety w jego domu? Lecz tym, czego najbardziej chciał się dowiedzieć, pomyślał, spoglądając na ściekające po szybach krople, popijając kawę i paląc papierosa, i sprawdzając godzinę na tarczy zegarka, aby upewnić się, że do spotkania z poetą zaplanowanego na ten wieczór pozostało jeszcze sporo czasu, a więc tym, czego najbardziej chciał się dowiedzieć,

było to, jak skończyła się historia Alexisa Arayána, przebranego  
160-

i martwego, zgłodzonego pośród brudnych traw Lasu Hawańskiego, poszukiwacza śmierci, której nie dopomógł własnymi rękami; fałszywego skazańca boskiego, odbywającego drogę na Golgotę, gdzie nie czekała go sława ani niebo, a tylko poświęcenie, sklecone na miarę grzesznego homoseksualisty, tragicznie owiniętego w odzienie hawańskiej Elektry. „Ale z ciebie buhaj, tatuśku... ! ” Czy to prawda? Nigdy nie usłyszał podobnego komplementu, przynajmniej nie wypowiedzianego w taki sposób. A ile z tego, co opowiadał Marqués, było prawdą? Spośród znanych mu osobników zamieszkujących ten świat tylko Chudy mówił prawdę, nawet on sam nie zawsze był szczery wobec swojego przyjaciela. Czy Faustino Arayán był wiarygodny? A co z Murzynką Marią Antonią? Czy faktycznie on, Mario Conde, zaprzyjaźniał się z Albertem Marquésem, jakże zmanierowanym, teatralnym pedałem? Jedno tylko mogło być prawdziwe: kierowca autobusu z twarzą kierowcy autobusu, którego widział dzisiaj rano, stukający obrączką w kierownicę, zastanawiający się, czy otworzyć drzwi dziewczynie, proszącej i dającej znaki po drugiej stronie szyby. Co takiego mogłoby wydarzyć się między tymi dwiema osobami, które się nie znały i może nigdy by się nie poznały, gdyby nie czerwone światło, na którym właśnie w tej konkretnej chwili zatrzymał się autobus? Czy był to klasyczny przykład przypadku? Deszcz wciąż padał, łagodnie spływając po szybach, jak myśli po głowie Condego, który spojrzał teraz na swoje dłonie i pomyślał, że tu oraz w rzece, której prąd porwał go, jest zapisana jedyna prawda.

Podniósł się i wysunął spod łóżka walizeczkę z maszyną do pisania. Otworzył i przyjrzał się taśmie, częściowo pokrytej pleśnią, zaniedbanej. Zaniósł maszynę do kuchni, postawił na stole i wyruszył na poszukiwanie kartek. Wydało mu się, że zobaczył

transwestytę i światło objawienia dotarło do jego umysłu, zafra-  
sowanego ciągłym myśleniem. Nawinał pierwszą kartkę na rolkę  
i napisał: „Wyczekując, José Antonio Morales śledził wzrokiem  
buńczuczny lot gołębia”. Potrzebował tytułu: „Później nad nim  
pomyśle” - postanowił, gdyż oto teraz końcówkami palców wyczu-  
wał, że dotyka objawienia. Przyłożył dłonie do klawiatury i pisał  
dalej: „Przyglądał się, jak ptak wzlatuje...”

- 161 -

Było to zdarzenie w każdym szczególe posiadające znamiona ma-  
gicznego: deszcz ustał, wiatr przepędził chmury ku innym krainom,  
o siódmej wieczorem na niebo powróciło pomarańczowe słońce,  
szykujące się, by niebawem opuścić kurtynę w scenie z chyłą-  
cym się ku końcowi dniem. Podeszczowy zapach świeżości zado-  
mowił się w organizmie miasta na resztę nocy, zdominowawszy  
opary benzyny, amoniaku, wystygłego moczu, wymieszanych aro-  
matów unoszących się nad przepełnionymi o tej porze pizzeriami,  
a nawet pokonując zapach kobiety maszerującej przed Condem,  
kto wie, może w to samo miejsce, co on. Niechaj by tak było.  
Niesiony euforią posiadania w tylnej kieszeni spodni ośmiu  
zapisanych kartek papieru, Conde zapomniał, że powinien się  
pospieszyć, by dotrzeć na czas na recital, i przemierzając zde-  
wastowane ogrody Kapitolu, skupił się na dogłębnej obserwacji  
otoczenia, stąpając za spektakularnym krokiem nie mniej zjawi-  
skowej kobiety, w której postaci brutalnie krzyżowały się wszystkie  
zalety: długie blond włosy, tak proste, że jakby omdlałe, sięgające  
pośladków o kształcie, jakiego pozazdrościłaby jej niejedna do-  
rodna klacz; afrykański profil; muskulatura ciała osuwająca się ku  
spójnym udom przechodzącym łagodnie w łydki dzikiego zwierza.  
Twarz - ku zaskoczeniu Condego - jak najbardziej zasługiwała  
na tak nieskazitelną podbudowę: usta o wyglądzie dojrzałego



owocu granatu dominowały jej owal, lekko skośne, zwężłe oczy sprawiały wrażenie przewrotnych, by na wysokości teatru, gdzie śledztwo połączone z optyczną wiwisekcją miały dobiec końca, ostro i z orientalną arogancją zmierzyć Condego, nie pozostawiając mu najmniejszych złudzeń. „Przebiegła łotrzyca, wie, jak wygląda, i czerpie z tego przyjemność. Taki z niej okaz, że i ja sam bym ją pozbawił żywota” - podsumował Conde, zadowolony z posłużenia się cytatem z samego siebie, podczas gdy pokonywał kolejne stopnie okazałych schodów prowadzących wprost do najbardziej ekskluzywnych salonów; to po nich wspinała się i nimi schodziła cała elita tego miasta, opakowana w jedwabie, drelichy, a nawet lisie lub gronostajowe skóry, niewyobrażalne wręcz do założenia w takim skwarze, a jednak, działo się. Tak, w tym mieście wszystko jest możliwe.

- 162 -

Na drugim poziomie budynku natrafił na salę konferencyjną, gdzie zajrzał: najwyraźniej czytanie wierszy dobiegło końca, a poeta, schowany za przytłaczającą monumentalnością stołu, na którym leżały papiery, okulary i szklanka wypełniona wodą, konwersował z najwierniejszymi uczestnikami lirycznego spotkania. Eligio Riego liczył około siedemdziesięciu lat, a jego głos, leniwy i łagodny, rozbrzmiewał spowolniony, lecz nie w wyniku zmęczenia czy starości: to była poezja.

Podglądając z odległości, Conde poczuł, jak ogarnia go sentymentalna refleksja: zdawał sobie sprawę, że patrzy na poetę, człowieka o swojskim wyglądzie, ubranego w przykurzoną zapomnieniem guayabere, który według wielu należał do najwybitniejszych, jakich wydała wyspa, i który w swojej poezji, oprócz czasu, uchwycił jedyny w swoim rodzaju ogląd tego dziwnego i nieproporcjonalnego kraju zamieszkiwanego przez ich obu. Po-

etycka wielkość, niedostrzegalna na pierwszy rzut oka, skrywała się za fizycznością, jaka nie wzbudziłaby u nikogo podziwu, gdyby postanowił przespacerować się po ulicach Hawany, posiadała jednak zasadniczą i stałą wartość wynikającą z magii, jaka płynęła z mocy słów.

Teraz, pykając poczerniałą fajkę z zachłannością palacza z rozdumą płuc, Eligio Riego przemyczał rozbieganym wzrokiem po audytorium i przed kontynuowaniem wywodu pozwolił sobie na uśmiech:

- My, katolicy, traktujemy zbyt poważnie sprawy boskie. Brakuje nam pierwotnej i żywotnej radości Greków, plemion Joruba, hindusów, którzy prowadzą dialog ze swoimi bogami i zapraszają ich do stołu. Zawsze wydawało mi się niesprawiedliwe na przykład, że nie udało nam się dostrzec humoru występującego w świętych pismach, że nie cenimy tego świętego daru od Boga, jakim jest śmiech, a nawet zapominamy o pierwszym wielkim cudzie Jezusa, czyli przemienieniu wody w wino... Toż to jasny boski znak.

- A co z diabłami, panie Eligio? - zapytał siedzący w pierwszym rzędzie uczestnik spotkania.

- Widzisz, młodzieńcze, istnienie diabła jest potwierdzeniem istnienia Boga, i vice versa. Potrzebują się wzajemnie, jak dzieje 163-

się to w przypadku dobra i zła. Dlatego też diabeł jest wszędzie: w piekle i na ziemi, tu w środku i tam na zewnątrz. Ponadto, jeśli przyjrzymy się tradycji talmudycznej, anioły pojawiły się w drugim dniu stworzenia. Toteż i Lucyfer, najpiękniejszy z aniołów, też istnieje od tamtych niepamiętnych czasów, czyż nie? Potem dochodzi do upadku Lucyfera i jego zauszników dysydentów, i według tego, co słyszałem, to od tego momentu diabeł ma szczególne cechy, a mianowicie: co trzecie mrugnięcie powieką odbywa się u niego od

dołu do góry, nie potrafi chodzić do tyłu ani nie potrafi wysmarkać nosa; nigdy nie śpi i jest niecierpliwy, ambitny, a jego sylwetka nie rzuca cienia; najchętniej lubi jeść muchy, ale posila się też innymi rzeczami, są one zawsze mocno przyprawione, choć owszem, odczuwa awersję do soli... Tym jednak, co najbardziej u diabłów mnie intryguje, są oczywiście ich potwierdzone zdolności artystyczne: uważa się, iż Zły jest doskonałym muzykiem i preferuje instrumenty strunowe. Zawsze przypomina mi się przykład podany przez ojca Juana Horozco Covarrubiasa w jego Traktacie o prawdziwej i fałszywej przepowiedni, opublikowany w Sewilli w 1588 roku, gdzie zapewnia, iż posiadał dowody potwierdzające artystyczne powołanie diabła. W swoim dziele ojciec opowiada o spotkaniu z Lucyferem, gdy wstąpił on w ciało pospolitej wieśniaczki i skomponował piękne wersy, do których, jak to się dzisiaj mówi, napisał muzykę, ażeby wyśpiewywać je przy akompaniamencie vihueli, która trzymana w ramionach i traktowana palcami młodej kobiety brzmiała „najsprawniej, jak to tylko możliwe”... Teraz, młodzieńcze, bardziej aniżeli diabły piekielne interesują mnie diabły ziemskie, diabelscy ludzie, jak Max Beerbohm, angielski pisarz, który napisał książkę zatytułowaną Zuleika Dobson, pasjonującą historię najpiękniejszej kobiety świata, która rozkochiwała w sobie studentów Oxfordu do tego stopnia, że byli oni skłonni popełniać samobójstwa. Zakochiwali się w jej diabelskim uroku również studenci z Cambridge, które to miasto odwiedzała, o czym pisarz wspomina na ostatnich stronach powieści. To jedna z najbardziej demonicznych historii, jakie czytałem... - zapewniał Eligio, mrużąc oczy, gdy Conde postanowił udać się do kawiarni Louvre, żeby zarezerwować stolik, przy którym za chwilę miał zasiąść do spokojnej rozmowy z poetą.

164-

- Jest rum ańejo?

- Jest, carta oro też jest. Nie, dwa podwójne ańejo, bez lodu. Nie, zaraz wracam, proszę mi zarezerwować stolik - zwrócił się do kelnera i udał na poszukiwanie Eligia Riego, który z fajką w dłoni gaworzył w progu sali konferencyjnej z młodą dziewczyną, a ona nieomal roztapiała się w ciepłe jego słów. „Czy to przypadkiem nie on jest wcieleniem diabła? Nie mam innego wyjścia, jak ci przerwać, stary" - pomyślał Conde i ruszył do akcji:

- Przepraszam, maestro... jestem przyjacielem pańskiego przyjaciela, Rangela.

Niezwykła ta historia, młodzieńcze, o martwym transwestycie w przebraniu Elektry Garrigó. Na wpół demoniczna, nieprawdaż? Jak niemal wszystko, co ma związek z Albertem Marquésem, który przeraża jeszcze bardziej niż Max Beerbohm... Widzisz, młodzieńcze, on i ja znamy się i przyjaźnimy od lat czterdziestych, kiedy spotykaliśmy się, żeby przygotowywać pewne czasopismo, wielokrotnie miało to miejsce w domu Grubasa Lezamy i zawsze myślałem, co za szczęście, że jest wśród nas ktoś taki, kto nieustannie z wszystkiego robi sobie żarty, niszczy podniosłą atmosferę poetyckiego spotkania, o którą tak bardzo dbał Grubas. Dla nas poezja była czymś niezwykle poważnym, transcendentnym, tellurycznym, jak to się dzisiaj mówi, a dla niego stanowiła środek do objawienia geniuszu, błyskotliwości i talentu. Bo Alberto to jeden z najinteligentniejszych ludzi, jakich znam, choć nieraz miałem mu za złe, że potrafił poświęcić wszystko dla jednego dobrego żartu, dla erotycznej zdobyczy, jak on to nazywa, dla jednej ze swoich słabostek, diabolicznych, oczywiście. Zerwanie w latach pięćdziesiątych z Grubasem i resztą grupy tworzącej pismo było jednym z bardziej spektakularnych posunięć, wtedy zrozumiałem jedno: on potrzebował jedynie siebie samego, chciał błyszczeć na osobności. Zawsze taki był, samotny strzelec, niezłomny poszu-

kiwacz, dlatego nadużycie, jakiego się na nim dopuszczono, było dla mnie wyjątkowo przykre, kiedy od wszystkiego go odsunęli, właśnie po to, żeby ukarać jego niesubordynację i artystyczny 165-

bunt. Było to coś niezmiernie smutnego, młodsze, i dziesięć lat, które upłynęły, nim postanowili naprawić swój błąd, dla niego oznaczało zbyt wiele czasu. To, co najbardziej niezwykle w dramatycznym charakterze Alberta, objawiło się w tych trudnych latach: wykazał się istotnie godną pozazdroszczenia dumą, przestał pisać i myśleć o teatrze, co zadziwiło jeszcze bardziej u kogoś takiego jak on, który zamieszkiwał scenę świata... Nie przyznał się jeszcze panu, że jest ekshibicjonistą?... Tak że, niech pan na niego uważa. Alberto to urodzony aktor, jeden z najlepszych, jakich kiedykolwiek widziałem, i uwielbia odgrywać role w wymyślonych przez siebie komediach i tragediach. Wyolbrzymia to, co jest, przekonuje do tego, czego nie ma, żeby w końcu i tak nigdy nie było wiadomo, o co chodzi... Twierdzi, że to sposób obrony. Może to właśnie ten jego charakter sprawia, że najlepiej nam się przyjaźni na odległość: wolimy odnosić się do siebie z szacunkiem, niż angażować w przyjaźń. Mam nadzieję, że wie pan, o co mi chodzi. Nie, nie. Mój przypadek, nie, ja to coś innego: zawsze czułem się katolikiem, choć nie należę do mistyków jak pański transwestyta, a tym bardziej nie jestem świętoszkiem, nic podobnego. Jak pan widzi, popijam rum w ilościach znacznych, popalam fajkę i nigdy nie odmawiam sobie przyjemności kontemplowania, nierzadko rozpaczliwego, kobiecego piękna w rozkwicie, gdyż uważam, że nie ma na całym padole niczego, co mogłoby się równać z tym ciepłem, które bije od młodości. Krótko mówiąc, jesteśmy dziećmi czasu i prochu, i nawet poezja nas nie uratuje przed jednym ani drugim. Być może od innych rzeczy nas wyzwoli, ale nie od tego.

Dlatego sędzę, że z życia trzeba korzystać w pełni, pod warunkiem że nie będzie się czynić szkody bliźniemu, prawda? Ale w którymś momencie uznano, że wizja świata i styl życia, jakie prezentowaliśmy my, pisarze katoliccy, nie są właściwe, uznano, iż nasza wierność ma zbyt mocne fundamenty duchowe, dlatego uznano nas za niegodnych zaufania, stwierdzając, że jesteśmy zacofani, że z nas filozoficzni idealisci, i dyskretnie odsunięto nas na bok. Nie, to nie to samo co w wypadku Alberta i innych. Chodzi o to, że doszło do pomieszania zaangażowania społecznego z mentalnym indywidualizmem i wówczas ekstremizm umieścił nas na swojej 166-

liście celów do osiągnięcia: byliśmy ideologicznie nieczyści, a dla niektórych szkodliwi, uznano nas nawet za reakcjonistów, gdy już została udowodniona wyższość materii, jak oni to nazywają. Ktoś o moskiewskiej mentalności wymyślił, że jednolitość jest możliwa w tym ciepłym i heterodoksyjnym kraju, gdzie nic nigdy nie było jednolite, i rozpętała się histeria wymierzona w literaturę, siejąca spustoszenie, pojawił się niejeden literacki trup, wielu rannych, do dziś pełno tu blizn... Ale moje zejście ze sceny odbyło się dobrowolnie: nie mogłem porzucić czegoś, w co zawsze wierzyłem (piękny zwyczaj, nazwałby to Alberto), i pomylić tego, co okolicznościowe, z tym, co zasadnicze. W każdym razie, gdybym dał się uwieść czemuś przejściowemu, albo co więcej, gdybym poddał się zmianie, jak stało się w wielu przypadkach, zdradziłbym sam siebie... Dlatego postawiłem na milczenie, ale nie przestałem pisać. Marqués jest inny, co sam pan już zdążył zauważyć, skoro się z nim pan kilka razy spotkał: jego ekstremalne poświęcenie ma coś, powiedziałbym, że nawet sporo, z teatralnej tragedii. Ale powtórzę, niech się pan nie da zwieść temu, co mówi, i postara się dostrzec prawdę w tym, co zrobił: zniósł wszystkie obelgi i nie

wyjechał, został, choćby tylko po to, jak mówi, żeby zobaczyć na własne oczy koniec niktzemników, którzy go nękali... Prosi o rewindykację zemsty, choć nie jest zdolny, by fizycznie ją wyegzekwować ani publicznie kogokolwiek zaatakować. Widzi pan, młodzieńcze, poradziłbym też nie dać się zwieść wszystkim tym nieprzyjemnościom, jakie nam się przydarzyły, ani historiom, jakie pan o nas słyszał: pisarze czy artyści nie są aż tak diaboliczni, jak to się często wydaje albo mówi. Nie słyszał pan nigdy, jakie świnię podkładają sobie i do czego są zdolni pracownicy banku, albo robotnicy w fabryce niewinnych kompotów, albo do czego dochodzi wśród uważanych za zrównoważonych przedstawiciele misji dyplomatycznych? Między wami, policjantami, nie mają miejsca podobne zdarzenia? Chcę powiedzieć, że nie jesteśmy monopolistami na rynku plotek, oportunistami i ambicji. Hitaj, jak wszędzie indziej, dobro i zło występują pośród ludzi i w ich wnętrzach. Młodzieńcze, co więcej mogę dodać? Dziękuję za zaproszenie na rum, którego nikt nie uznałby za napój demoniczny, 167-

a który podgrzał atmosferę rozmowy w tym jakże miłym miejscu... Całkiem możliwe, że pan, w związku z wykonywanym zawodem, pomylił się co do osoby, oczekiwał usłyszeć coś innego, ale jestem, owszem, wyznawcą dwóch wiar w swoim życiu, nazywają się one: przyjaźń i poezja. Dopóki żyję, będę pisał poezję, nieważne, czy będzie publikowana, czy nie, czy wiersze będą brać udział we florialiach, czy będą mnie rozpoznawać. A przyjaźń to dobrowolne zobowiązanie, jakiego się podejmujemy, i jeśli tak się dzieje, trzeba się z niego wywiązać: choćbyśmy się różnili w wielu kwestiach. Alberto Marqués jest moim przyjacielem i kiedy ktoś, jak pan czy ktoś inny, pyta mnie o niego, pierwsze, co mówię, to właśnie to, jest moim przyjacielem, i to chyba tyle mam do powiedzenia. Jest

pan usatysfakcjonowany, młodzieńcze?

Wyczekując, José Antonio Morales śledził wzrokiem buńczuczny lot gołębia. Przyglądał się, jak ptak wlatuje, uporczywie pionowo, następnie składa skrzydła i wykonuje niezwykle piruety, jak gdyby właśnie odkrył przygotowującą o zawrót głowy pokusę spadania w próżnię. Później odzyskiwał płynność lotu i niknął za budynkiem, żeby znów pojawić się na kawałku nieba, widocznego z tej perspektywy dziedzińca, gdzie José Antonio wyczekiwał rozliczenia rachunków. Pomyślał wtedy, że podczas dwudziestu ośmiu lat kañery kierowcy autobusu, przebywając w tym miejscu, nigdy nie widział gołębia, i poczuł z większą siłą niż wcześniej, że zabije tę kobietę.

Do tego dnia José Antonio sprawiał wrażenie wyważonego i odpowiedzialnego, kogoś, kto nigdy nie myślał o pozbawieniu nikogo życia, a już na pewno nie z zimną krwią i z premedytacją. Przy różnych okazjach, prowadząc autobus, gdy padał ofiarą nierozwagi i bezmyślności innych kierowców, odczuwał przyływ gniewu, pozwalający mu wyobrazić sobie siebie ładującego broń, jak w sycylijskich historiach, i wychylającego się przez szybę, dokonującego egzekucji na piracie drogowym naruszającym zasady bezpiecznej jazdy. Ale nawet te sądy kapturowe z upływem lat stawały się coraz rzadsze, a działało się tak, gdyż José Antonio oswoił 168-

się z istnieniem nierozsądnych kierowców, których występowanie wydawało mu się zupełnie naturalne, jak to, że mrówki buszują w cukrze, kwiaty róży pączkują na różanych krzewach. A może był to przejaw starzenia się?

Dlatego tak mocno zdziwił go nagły głos świadomości: zabije tę kobietę, tę konkretną, i nic w świecie nie będzie w stanie mu w tym przeszkodzić. Potrzeba objawiła się tak przejrzysta, że An-



tonio przestraszył się, iż wszystko to sprawka miłości od pierwszego wejrzenia. „Nie mogło być inaczej” - pomyślał, podpisując codzienny kwit rozliczeniowy, i przeliczył, że skoro zebrał 47 pesos i 35 centów, oznaczało to, że do autobusu wsiadło 947 osób, nie licząc pracowników firmy, którzy się wylegitymowali i nie płacili za przejazd, i nieodłącznych krętaczy, zdolnych wykonać każdą magiczną sztuczkę, żeby tylko nie zapłacić za podróż albo zamiast monet używających kawałków metalu lub blaszki. Zaokrąglając: tysiąc osób, i tylko jedna twarz tej kobiety, liczącej między trzydzieści a trzydzieści pięć lat, raczej sympatycznej, może zbyt wychudzonej, ubranej z dbałością, ale nie elegancko, ledwie podmalowanej, tylko ona zapisała się w jego pamięci, i jakby tego było mało, wraz z jej wizerunkiem pojawiał się nakaz: zabić ją.

Wróciwszy do domu, José Antonio oddał się rutynowym zajęciom dopełniającym profesję kierowcy autobusu: wyszedł na boczny korytarz, prowadzący w stronę tarasu, odłożył na krzesło poduszkę, tę samą, której używał w pracy, i umył ręce, namydlając się po same łokcie, z chirurgiczną precyzją. Uważał takie postępowanie za jedyny możliwy sposób pozbycia się niebezpiecznego brudu z autobusu, którym podróżują pasażerowie wszelkiej maści, chorzy i czyści, brudni i zdrowi, zarażeni i nowo narodzeni, pachnący wodą kolońską. Zabrał poduszkę i pogwizdując, ruszył ku drzwiom w głębi, gdzie ujrzał swoją żonę, jak zawsze o tej porze krzątającą się między zlewem i kuchenką. Pocałował ją w policzek, nadstawił własny, zapytał, czy Tonito wrócił ze szkoły, i zaciągnął się zapachem szykowanej potrawy, a żona zapytała, jak tam minął mu dzień, na co odparł, że dobrze. Zjedli, zamienili parę słów o tym, o czym zawsze - brakuje pieniędzy, transport w żalonym stanie, upał nie ustępuje, możliwe, że będzie musiała wrócić do pracy

w fabryce - i zaliczył dwie godziny sjesty. Obudził się, wsunął gumowe kapcie, wypił świeżo zaparzoną przez żonę kawę i zasiadł na tarasie do lektury dziennika, i pomyślał ponownie o kobiecie z wyrokiem, i spróbował porzucić przekonanie, że ją zabije.

Następnego ranka kobieta nie pojawiła się. José Antonio Morales pamiętał, że wsiadła do autobusu podczas trzeciego kursu (wyjazd z pętli -8.16 rano), na przystanku przy San Leonardo i Dziesiątego Października (8.29 rano). Nieobecność kobiety jednak nadto go nie zmartwiła, nie spowodowała też, że poczuł się lepiej, bez względu na wszystko, nie potrafił o niej zapomnieć i był przekonany, że ją zabije.

Przez sześć kolejnych dni nie było po niej śladu, aż we wtorek - ten sam dzień, w którym ujrzał ją w zeszłym tygodniu - objawiła się, nieelegancka, w skromnym makijażu i z wyblakłą aktówką z książkami i dokumentami, której ostatnim razem José Antonio przy niej nie zauważył; wrzuciła monetę za bilet, nie spoglądając nawet w stronę szofera, który postanowił ją zabić. On spojrzał na nią, jak patrzy na wszystkich pasażerów, zamknął drzwi i ruszył, żeby chwilę potem wjechać na szeroką i brudną Calzadę Dziesiątego Października, niegdyś noszącą nazwę Jesús del Monte.

Tego wieczoru, oglądając wiadomości w telewizji, José Antonio próbował sobie wytłumaczyć, że przekonanie, jakoby skądś znał kobietę, nie miało sensu. W rzeczywistości do ubiegłego wtorku nie wiedział o jej istnieniu i może całe życie przeżyłby bez tej wiedzy, jeśli trzy tygodnie wcześniej, podczas układania rozkładu jazdy na drugą połowę roku, nie powziąłby zaskakującej - dla niego samego, żony i pozostałych kierowców - decyzji o zamianie trasy 4 na trasę 68, na której kurs rozpoczynał się dwie minuty wcześniej niż ten, który odbywał zazwyczaj, i kończył się trzy minuty później, o 13.27po południu. Decyzja była tyle nieoczekiwana, ile bezsporna, później José Antonio starał się znaleźć dla niej usprawiedliwienie:

zarabiał dziennie trzydzieści dwa centy więcej, trasa numeru 4 w sumie znudziła mu się, pasażerowie podróżujący na trasie 68 różnili się, minuty, jakie zajmowało pokonanie odcinka do Apolo, uznać należało za przyjemne... Całkiem możliwe, że w dniu powzięcia 170-

decyzji temperatura w gabinecie zebrań była wyjątkowo wysoka, a on czuł się nieswojo z nieumytymi rękoma. A może to oznaka, że się starzeje? Liczył już czterdzieści siedem lat, a kiedy zaczynał jako kierowca, zaraz po odbyciu służby wojskowej, miał ledwie dziewiętnaście, i przez cały ten czas jeździł na trasie 4: od tamtego dnia, codziennie pięć okrążeń wokół Hawany, przez jedenaście miesięcy w roku, te same ulice, te same godziny, te same przystanki, a nawet wożenie tych samych ludzi, którzy z upływem miesięcy, biegiem lat zmieniali się w jego przyjaciół, chodził na śluby, miał na koncie odwiedziny w szpitalu, uczestniczył w przyjęciach urodzinowych, a nawet w pogrzebach pasażerów wożonych przez cały ten długi czas i ani razu nie pomyślał o zabiciu któregoś z nich. Przez cały ten czas nie wydarzyło się też nic nieprzewidywalnego, wszystko zachowywało logiczny ciąg: w wieku dwudziestu jeden lat ożenił się, potem urodził mu się syn, któremu nadał imię, jakie sam nosił, jego matka zmarła śmiercią naturalną, we śnie, niedługo po sześćdziesiątych drugich urodzinach, nigdy nie został wysłany na wojnę do Angoli, choć raz, w 1975, wezwano go i zgodnie ze specjalnością wojskową oświadczone, że znajduje się w rezerwie artylerzystów jednostki 2154, i zapytano go, czy jest gotów walczyć jako żołnierz sił międzynarodowych, gdziekolwiek pośle go Rewolucja, i odpowiedział, że tak. Tamtą noc José Antonio przespał spokojnie, po tym jak uprawiał miłość z żoną, w pozycji, jaką stosowali zawsze: ona usadzała się na nim, wprowadzała członek i poruszała się rytmicznie, podczas gdy kręgosłup José Antonia, sfatygowany latami

pracy jako kierowca, odpoczywał na materacu. Resztę tygodnia przespał równie spokojnie, choć w noc z poniedziałku na wtorek odczuwał pewien niepokój związany ze spotkaniem, jakie czekało go o poranku. Ale zamknął oczy i po czterech minutach zasnął, oddalając się w głąb snu jak szalony gołąb.

Kiedy ktoś ma przepracowanych dwadzieścia osiem lat jako kierowca, ma też opanowane do perfekcji, bez zastanawiania się, wszystkie sposoby, by przetrwać w zawodzie: kłamstewka, jakich można użyć wobec inspektora, który zjawia się kilka minut przed

- 171 -

czasem; sposób reagowania na rozgniewanych pasażerów, wiedząc kiedy i jak odpowiedzieć, kiedy tłumaczyć się, a nawet udawać, że się nie słyszało zaczepki; jak poprosić bez kolejki o kawę w którymś z punktów sprzedaży na trasie; jak nawiązać z kimś kontakt, w zależności od płci, wieku i interesu, jaki się ma do załatwienia.

José Antonio ujrzał ją stojącą na przystanku, z aktówką pod pachą, w towarzystwie trzech innych pasażerów. Zatrzymał autobus w odległości dziesięciu metrów przed grupą, zmuszając oczekujących, by podeszli. Ona wsiadała jako ostatnia i gdy deponowała monetę, najwyraźniej poirytowana niewłaściwym zatrzymaniem się autobusu, on odezwał się:

- Myślę, że będę musiał zmienić wózek.

Gdyby powiedział coś bardziej konkretnego, jak: „Hamulce nie działają”, albo: „To przez dziurę w drodze”, albo coś w tym stylu, mógłby liczyć na zawiązanie rozmowy, o ile ona należałaby do osób rozmownych. Ale odezwał się tak enigmatycznie, że nie mógł liczyć na zrozumienie. Zatrzymała się przy nim i łapiąc się pionowej poręczy, zapytała:

- Dlaczego?

Podczas gdy wyjaśniał, że klocki hamulcowe w przednim pra-

wym kole się przetarły i nie działają jak powinny, zaproponował umieszczenie aktówki za tablicą rozdzielczą, potem dowiedział się, że jest nauczycielką angielskiego w szkole średniej w Luyanó i że dzisiaj zaczyna pracę od drugiej lekcji, o 8.55, a autobus dojeżdża na miejsce o 8.42, w sam raz, żeby zdążyć dojeść i zacząć lekcję, ale jeśli on musi zmienić autobus...

Przez resztę września i w październiku, w każdy wtorek, ona wsia- dała do autobusu, on przejmował od niej aktówkę i przez trzynaście minut prowadzili rozmowę. W tym czasie udało mu się dowiedzieć, że ma na imię Isabel María Fajardo, ma trzydzieści jeden lat i jest rozwiedziona, nie ma dzieci, nauczycielką jest już od dłuższego czasu, uważa się za osobę nudną. Podała mu też adres do siebie, a w trzeci wtorek października zaprosiła go do siebie na kawę.

- Po osiemnastej zawsze jestem w domu.

- 172 -

Pomimo że przeszła mu przez myśl wizyta u psychiatry, José Anto- nio szybko zrezygnował z podobnego pomysłu: nie był nienormalny, nic w tym rodzaju, a decyzja o zabiciu Isabel Marii nie była jego au- torstwa, była podyktowanym nakazem. Podyktowanym przez kogo? Może pomogą mu odpowiedzieć na to pytanie ksiądz albo szaman, ale z pewnością nie psychiatra. Problem w tym, że miał się za całkowitego ateistę, nieposiadającego żadnych oczekiwań, jakie wykraczałyby poza ziemskie doznania. Najbardziej jednak martwiło go, dlaczego akurat musiała to być Isabel María. Bo tak po prawdzie, jeśli już musiał kogoś zabić, może mógłby wybrać na ofiarę jakąś inną osobę, kogoś, kogo nie- nawidził albo nie darzył sympatią, albo jakiegoś chorego, który jeszcze by mu podziękował za akt litości, albo jeszcze lepiej kogoś szkodliwego dla społeczeństwa, które pozostałoby wdzięczne anonimowemu i samo- zwańczeniemu mścicielowi za wykonanie egzekucji. Jeśli o takich typów chodzi, znał ich sporo. A zatem dlaczego ona? Po siedmiu wtorkach

i w przybliżeniu dziewięćdziesięciu jeden minutach rozmów, kobieta ta nie wzbudziła w nim żadnych szczególnych emocji: ani nienawiści, ani miłości, ani pożądania, ani niechęci, nic, co usprawiedliwiłoby wysiłek (nakaz?) zabicia jej. Ona, podobnie jak on, należała do milionów szaraków zamieszkujących tę ziemię, ten kraj, właśnie teraz, do obywateli, którzy godnie przeżywali swoje życie, bez zbytnej euforii ani żalów, współżyjąc w zgodzie ze społeczeństwem w czasach, w których przyszło im żyć, nie posiadali określonych poglądów politycznych ani nazbyt ambitnych planów własnych. Pracowała, jadła, spała, doskwierała jej trochę samotność, ale też nie specjalnie i, jak przyznała, lubiła całymi godzinami słuchać muzyki, klasycznej lub popowej. Dlaczego zatem ona? „Może właśnie dlatego - pomyślał - że nie jest nikim specjalnym. .. ” Ale czy nie wiedział o tym, zanim ją poznał?

Najdziwniejsze, doszedł do wniosku, myśląc o konieczności zabicia jej, że nie spieszy mu się do tego, nie miał też sprecyzowanego planu działania i niewiele brakowało, by przekonał sam siebie, że to morderstwo nie powinno być czynem zdradzieckim ani popełnionym z premedytacją lecz powinno do niego dojść w wyniku nieszczęśliwego wypadku autobusowego. Potem jednak zrozumiał, że nie: zabije ją własnymi rękami, wybranego dnia, może już niebawem.

173-

José Antonio był uważnym czytelnikiem prasy: każdego popołudnia poświęcał temu zajęciu więcej niż godzinę i rozmyślał nad każdą przeczytaną informacją lub komentarzem, z zamiarem zapamiętania treści: tyle działo się na świecie każdego dnia, że pamięć ledwie była w stanie przechowywać informacje przez dwadzieścia cztery godziny, potem musiała zwolnić miejsce na nowe wiadomości, nowe wydarzenia. Tego czwartkowego popołudnia przeczytał z uwagą informację na temat AIDS i nikłej nadziei na wynalezienie antidotum, mimo wysiłków tysięcy lekarzy z całego świata. Pomyślał: „Jeśli

Bóg by istniał, należałoby to uznać za boską karę. Ale skoro nie istnieje, dlaczego podobne rzeczy dzieją się na świecie?". On, który nie miał w zwyczaju oddawać się refleksji, doszedł do wniosku, że skąd by nie nadeszła, plaga ta musiała stanowić karę wymierzoną w miłość. Pomysł ten spodobał mu się do tego stopnia, że podczas brania prysznic podzielił się nim z żoną i dodał:

- Idę przewieźć ciotkę Angelinę - wiedząc, że w rzeczywistości udaje się na kawę, na którą Isabel María zaprosiła go w zeszły wtorek.

Zapukał do drzwi i czekał na to, co się wydarzy, myśląc, jak się czuje: „Nie jestem zdenerwowany, nie jestem zaniepokojony, nie wiem, czy to dzisiaj ją zabiję" - kończył myśl, gdy drzwi się otworzyły. Stojąca w nich dziewczyna wciąż była tak samo jak wcześniej wychudzona, bez makijażu, choć bardziej schludna niż zwykle, włosy miała wilgotne, dopiero co umyte, nie sprawiała wrażenia zaskoczonej, zaprosiła gościa do środka. Miała na sobie szlafrok, całkiem skrętnie przewiązany w pasie, z głębi mieszkania sączyła się smętna muzyka, z tych, których to José Antonio nigdy nie potrafił zidentyfikować, a którą ona później nazwała: to Requiem Mozarta. Przeszli do kuchni, bo, jak przypominał, odwiedza ją w związku z zaproszeniem na kawę. Nastawiła kafetierę i usiedli przy stole. Kuchnia była czysta i jasna, José Antonio odczuwał spokój, jakby znajdował się w znanym sobie miejscu. Racząc się kawą, zdał sobie sprawę, że nie wie, co się wydarzy w ciągu najbliższych minut: będzie próbował uprawiać z nią miłość? Wyjdzie, gdy dokończy kawę?

174-

Przyzna się, że rozważał możliwość zabicia jej? Wówczas spojrzał jej w oczy: Isabel María również na niego patrzyła, spojrzeniem dorosłej kobiety, przygotowanej na każdego rodzaju ciąg dalszy, i usłyszała swój własny głos:

- Przyszedłeś, żeby się ze mną przespać?

Na co padła odpowiedź:

- Tak.

Isabel María nie miała nic na sobie pod szlafrokiem i kiedy osunęli się na łóżko, ona wspięła się na niego, wprowadziła jego członek do waginy i zaczęła poruszać się w górę i w dół, jakby wiedziała, że tym sposobem odciąża kręgosłup szofera z dwudziestoosmioletnim stażem, pozwalając mu odpoczywać na materacu. Całość aktu przebiegła bez zastrzeżeń, była dobrze zsynchronizowana, dając obojgu satysfakcję.

Wtedy opowiedziała mu:

- Od kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, dwa tygodnie zanim się do siebie odezwaliśmy, wiedziałam, że będziemy się kochać. Nie wiem skąd pojawiła się u mnie ta myśl ani dlaczego. Ale wiedziałam, że odezwiesz się do mnie i któregoś dnia przyjdiesz do mnie na kawę... Wszystko to było dziwne, bo gdy na ciebie patrzyłam, nie znajdowałam niczego, co by mi się podobało, poza tym, byłam przekonana, że wciąż czuję coś do Fabiana, dyrektora szkoły. Ale było to coś na wzór silnego przeczucia, jakaś potrzeba, bo ja wiem, nakaz - powiedziała i pocałowała go w usta, w pierś, brzuch i wciąż odsłoniętą główkę penisa. - A teraz tu jesteś. Najbardziej myślałam - ciągnęła wątek - nad jednym: dlaczego miałeś to być ty...

- Podobnie miałem z tobą - wyznał on i poczuł ochotę, by napić się kawy. - Pójdę sobie dolać - powiedział.

Wstał z łóżka i zanim skierował się w stronę kuchni, zmierzył wzrokiem nagie ciało Isabel Marii: dwie małe piersi, dwa różowawe sutki i trójkącik czarnych włosów, prawie gładkich i nieuczesanych. Nalał sobie kawy, zapalił papierosa i wrócił do pokoju z nożem w dłoni. Zanurzył go w jej piersi, po lewej stronie, a ona ledwie się poruszyła. „Dlaczego?” - ponowił pytanie, zanim zgasił papie-



rosa w popielniczce znajdującej się obok łóżka, i postanowił ubrać ofiarę, żeby nie była naga, gdy zostanie odnaleziona. Wyciągając 175-

poduszkę spod głowy Isabel Marii, poczuł zimny ciężar noża, który ona zostawiła w kuchni, ażeby być może, ktoś to wie, wypełnić własny nakaz. Wtedy José Antonio przypomniał sobie, że musi się pospieszyć, jego żona nie zносиła jeść obiadu sama.

Mario Conde, 9 sierpnia 1989

- Bestio, brakuje ci tytułu...
- Daj spokój, zostaw. Co sądzisz o opowiadaniu?
- Pierwszorzędne.
- I nic więcej?
- I brutalne.
- A choć wzruszające?
- Też.
- Podoba ci się?
- Jest okropne.
- Ale jest okropne, bo takie dobre, czy bo takie złe?
- Bo dobre, jasne, że dobre. Niech no cię uściskam, skubańcu.

Kurde, w końcu wróciłeś do pisania.

Conde nachylił się nad wózkiem i padł w ramiona Chudego Carlosa: przykleił się do spoconej i tłustej piersi przyjaciela. Fakt, że jest w stanie pisać i że to, co pisze, podoba się Chudemu Carlosowi, stanowił mieszankę wybuchową o sile znacznie przekraczającej uczuciowe możliwości Condego, który nagle poczuł, jakby zaraz miał się rozplakać, nie tylko z powodu własnych słabości, ale także dlatego, że nie wyobrażał sobie przyszłości bez tego człowieka, który od dwudziestu lat był jego jedynym, najlepszym przyjacielem i którego życie uposażyło w tyle dobroci, inteligencji, optymizmu i chęci, by kroczyć naprzód, choćby z kulą w plecach wystrzeloną

z jakiegoś nigdy nie odnalezionego karabinu, ukrytego za wydumą pustyni w Namibe.

- Gratulacje, bestio. Słuchaj, jutro czekam na kopię, albo nie odzywam się do ciebie nigdy więcej. Już ja cię znam, wiem, do czego jesteś zdolny, któregoś ranka obudzisz się, uznasz, że o dupę rozbić to wszystko i zniszczysz kartki z opowiadaniem.

176-

- Nie ma sprawy, stary.

- Ej, ale to, co się tu wydarzyło, musimy oblać, nieprawdaż? Sięgnij do szuflady, weź dwie dyszki, dołóż jedną i skocz po dwie flaszeczki Legendario. Dzisiaj mieli dostawę w barze Santa Catalina.

- Dwie butelki?

- A jak, po jednej na głowę, nie?

- Boże, co za horror! - powiedział Conde.

- Ej, a co to za Bóg z horrorem? Chłopcze, coś mi się zdaje, że przebywanie z pedałami nie służy ci, posłuchaj tylko sam siebie.

- No, nie ma bata, z kim obstajesz, takim się stajesz. Zawsze coś się przylepi, tyłeczek wróbla, dla przykładu.

- A to co znowu?

- Nic takiego, później ci opowiem. Idę po flaszki. Ani się stąd rusz, rozumiemy się?

- No, dalej, pędź. Dam opowiadanie do poczytania staruszce, jak się jej spodoba, szykuj się na porządne jedzonko.

- A jak się nie spodoba?

- Jaja na ryżu.

Josefina wytarła nos w chusteczkę i powiedziała:

- Ach, synku, biedna dziewczuszka, żeby tak ją zabił, dla przyjemności. Czego to ty nie wymyślisz... A ten nieborak kierowca...

Wcale się nie wzruszyłam, a ten mój synalek mówi, że to najlepsze

opowiadanie kubańskie na świecie, tak właśnie powiedział, no a skoro tak, to pomyślałam, co by tu wam przyszykować do jedzenia, żebyście nie pili rumu na pusty żołądek, takie tam głupstewko, pierwsze, co mi przyszło do głowy, i myślę, że wyszło smaczne, to indyk faszerowany ryżem z fasolą.

- Indyk?

- Faszerowany?

- No, tak, to bardzo proste do przygotowania. Wczoraj kupiłam indyka, no i jako że dzisiaj odmroziłam lodówkę, a on jeszcze nie zdążył całkiem zamarznąć, wyjęłam i przyprawiłam, on w tym czasie zdążył się rozmrozić. Trochę czosnku, pieprzu, kminku, 177-

oregano, liść bazylii i pietruszka, no i oczywiście gorzka pomarańcza i nieco soli - nasmarowałam ofiarę miksturą od środka i na zewnątrz. Następnie posypałam cebulą, o, takie duże pierścienie. Powinien tak poleżeć ze dwie godzinki, ale widzę, żeście wygłodniali... No, a że miałam już na kuchence przyszykowaną czarną fasolę, to ją zapiekłam: dwa kawałki rozdrobnionej słoninki, ciach, ciach, rzuciłam na patelnię, dosypałam jeszcze cebuli, dobrze rozdrobnionej, ugniecionego czosnku i sporą porcję ostrej papryki, i rrrazzz, opieczona, a kiedy się zrobiła miękka, dolałam wytrawnego wina, żeby nabrała troszkę kwaskowatości, dokładnie tak, jak panowie lubią, prawda?

- Ależ tak, ja tak lubię.

- Ja też.

-I co dalej?

- No i wtedy wymieszałam z białym ryżem, dodałam liść laurowy i trochę oregano, a co tam, szczyptę soli i odpowiednią ilość poszatowanej cebulki. Zaczekałam, aż ryż nasiąknął płynem, ale tak w sam raz, żeby nie za bardzo zmiękł, wiadoma rzecz,

wyłączyłam ogień i takim farszem wypełniłam indyka, żeby się tam w środku ładnie wszystko dogotowało, nieprawdaż? A wiesz, czego nie miałam? Wykałaczek, żeby zamknąć to wszystko... Ale wzięłam łydki gorzkiej pomarańczy, są dość mocne... I wsadziłam do piekarnika, tak że nie martwcie się, zaraz będzie gotowe. Popijajcie spokojnie, w pół do dziesiątej podajemy na stół. Należy mi tu troszkę rumu... Tak malutko, już, już, Condziku, jeszcze się upiję...

- Na ile osób będzie tego jedzenia, Jose?

- Ptaszysko ważyło z cztery kilo, tak że na dziesięć, dwanaście osób powinno wystarczyć... ale z panami dwoma to... No, mam nadzieję, że zostanie coś na jutro na podwieczorek. Idę zobaczyć, jak się sprawy mają.

- Słyszałeś to, brachu? Ta staruszka jest nienormalna.

- A ja cały czas sobie zadaję pytanie, skąd ona to wszystko bierze... Jedyne, czego jej zabrakło, to wykałaczek.

- Niech nie będzie z ciebie taki policjant. Polej no tutaj... Ten rumik wchodzi jak maselko, można się nałykać i dostać skrzydeł.

178-

- Co z tobą, Chudy?

Carlos łyknął rumu i nie odpowiedział na pytanie.

- Przejmujesz się wizytą Dulcity? - zapytał Conde i jego przyjaciół spojrzeli na niego przez chwilę.

- Czuć. Czujesz? Ptaszysko szykuje się do uczy - powiedział, uciekając od tematu. - Słuchaj, ty wiesz, co po takim żarcu jest najlepsze? Dobry kawałek cygara. Jakiś Montecristo albo coś w tym stylu, nie?

- No pewnie, Montecristo, to byłoby to - odparł Conde i wychylił swoją porcję rumu. - Właśnie, Montecristo - powiedział i ujrzał twarz, tę samą, która objawiła mu się we śnie. W jednej

chwili wzburzony nurt rzeki sprawił, że brudna woda nagle odsłoniła maskę, wykonaną z tysięcy kłamstw, za którymi ukryta była prawda. - Tak właśnie wygląda prawda.

Nie ma zbrodni, która byłaby tego warta, jedynie do takiej filozoficznej konkluzji był zdolny, czując, jak po jego plecach spływa zimna woda. Usta wciąż wypełniało mu kwaśne i błogie wspomnienie butelki rumu Legendario, choć zdziwiło go, że odczuwa głód i tylko nieznaczny ból głowy. Jak to możliwe? W kuchni, po łyknięciu dwóch aspiryn, dostrzegł z przerażeniem, jak kafetiera połyka ostatnie zapasy kawy i czekając, aż ta się zaparzy, oraz spodziewając się pojawienia Manuela Palaciososa, założył stare blue jeans. „Umierasz z pragnienia” - powiedział do siebie, przyglądając się brązowym plamom na materiale w okolicach uda i kieszeni - i wyszedł przed próg domu, jak robił to każdej niedzieli, żeby napełnić płuca odrobiną nostalgii, przyjrzeć się życiu dzielnicy, dziś zmienionej, już nie takiej samej, definitywnie różnej od tej, jaką była kiedyś, innej od tej, w której przeżywał chwile szczęścia i udręki, od kiedy tylko świadomość stała się jego towarzyszką życia. Dzwony kościoła od dawna nie były już na żadną okazję, z pobliskiej piekarni nie dochodził jak niegdyś zapach świeżo wypieczonego chleba. Właśnie, z czego dzisiaj wyrabia się chleb, że już nie pachnie? Dostrzegł jednak, że pomimo tych braków dzień zaczynał się okazale: wczorajsza silna ulewa sprawiła, że niebo się przejaśniło, brud ulicy rozmył, a blask słońca dominował każdą mącą jasność umysłu wątpliwość. „Dobry dzień, żeby pograć 180-

w baseball (a może i ubić interes?)” - pomyślał Conde i wrócił po kawę; zaserwował sobie dużą filiżankę, która swym gorzkim smakiem miała mu pomóc w pozbyciu się ostatnich sennych duchów, resztek smaku alkoholu i bólu głowy. Kiedy odpalał papie-

rosa, usłyszał dźwięk klaksonu wzywający go z ulicy. Z rozpiętą koszulą wyszedł na chodnik i otworzywszy drzwi, przywitał się z sierżantem Manuelem Palaciosem.

- Do dyspozycji - wybełkotał Manuel Palacios, dając do zrozumienia, że jest gotów na przyjęcie każdego rozkazu.

- Zepsułem ci niedzielę?

- Ależ skąd.

Conde uśmiechnął się. „Tylko tego jeszcze by brakowało” -

powiedział do siebie i pomyślał, że może i wolałby nie pracować w niedzielę, zostać w domu, spać, poczytać książkę, czy choćby pisać, zwłaszcza teraz, gdy znów zaczął pisać. Powiedział jednak:

- Jedziemy do Centrali, Stary na pewno tam jest... Jakieś nowe wieści o Salvadorze?

- Nie, na razie nic.

Manuel Palacios ruszył, nie spoglądając na szefa; na wysokości kościoła Conde postanowił przerwać milczenie.

- Słuchaj, Manolo, przyszło mi do głowy coś, co może pomóc nam skończyć z tą całą historią. Dlatego do ciebie zadzwoniłem.

Darmo oczekiwał pytania ze strony przyjaciela, postanowił więc kontynuować:

- Pamiętasz, że pośród rzeczy, jakie znaleziono w miejscu morderstwa Alexisa, była resztką cygara Montecristo? - zapytał, oczekując reakcji. Nie czekał długo.

- Kurde, rzeczywiście, Conde! Myślisz, że...? Nie, nie, to niemożliwe. Ojciec...?

- Zobaczymy, czy zostało coś jeszcze z Montecristo, którego podarowałem Staremu, i co powie laboratorium. Jeśli nie są takie same, Faustino Arayan będzie mógł powiedzieć, że wygrał los na loterii.

Całkowicie przekonany argumentami Condego, Manuel Palacios

przycisnął pedał gazu, aż szarpnęło autem.

- Spokojnie, mamy czas.

- 181 -

- Nie, im szybciej doprowadzimy tę sprawę do końca, tym prędzej będę mógł się zająć swoimi sprawami... Gdybyś tylko widział dziewczuchę, jaką wczoraj poznałem...

Podczas gdy Manuel Palacios opowiadał o zaletach swojej nowej narzeczonej - czasami sierżant tak się wyrażał o zapoznanych kobietach, choć nie miał podstaw, by cokolwiek sobie obiecywać, nawet we śnie, porucznik od początku roku naliczył już u podwładnego szesnaście narzeczonych - Conde próbował sobie wyobrazić, co zdarzyło się w Lesie Hawańskim w noc Transfiguracji i poddał się niemocy wyobraźni: „Do czego tam doszło? Ojciec zabija własnego syna? O co chodzi z tymi monetami?” - zadawał sobie pytania, gdy Manuel Palacios skręcił na parking przy Centrali, opustoszały i skąpany w słońcu, jak wszystko tej niedzieli.

Chcąc wykorzystać dzień wolny od pracy, Conde postanowił poczekać na windę, która, jak nigdy, powinna przyjechać pusta, nie miał ochoty wspinać się po schodach na ostatnie piętro budynku. Lecz kiedy metalowe drzwi się otworzyły, z wnętrza windy wynurzyły się postaci trzech mężczyzn, ubranych w mundury polowe, bez stopni wojskowych naszytych na ramionach, którzy utkwili w nim wzrok. Jego umysł, zmuszony podjąć w ciągu kilku krótkich sekund decyzję, zanim drzwi zaczną się zasuwać, zdecydował, że musi powiedzieć „Dzień dobry” i wejść do metalowej klatki, zamiast czym prędzej skierować się w stronę schodów, czego w tej chwili pragnął najbardziej. Mężczyźni odpowiedzieli powitaniem, Conde odwrócił się do nich plecami i utkwiał wzrok w tablicy wskazującej piętra. Czuł pieczenie skóry od obserwacji, jakiej stał się obiektem: może to tych trzech mężczyzn przesłuchi-

wało Manuela Palaciosą i może to oni udowodnili mu, że wiedzą wszystko o życiu Maria Condego. Być może to właśnie ci trzej mężczyźni zadekretowali zawieszenie jego przyjaciela Grubego Contrerasa i usunęli z Centrali Maruchi. Może byli zwiastunami nowej Apokalipsy: Conde wyobraził ich sobie w długich szatach inkwizytorów, gotowych podpalić stos i przyszykować pał pod tortury. Niezgodne z naturą prawo, według którego policjant kontrolował policjanta, w związku z pojawieniem się tych trzech niechcianych, lecz nieuniknionych egzekutorów, mogło zostać

182-  
zastosowane i Conde pożałował, że uczynił wobec nich uprzejmy gest, nawet jeśli chodziło tylko o powitanie przy wejściu do windy, i wtedy winda zatrzymała się na trzecim piętrze, a mężczyźni przeprosili i opuszczając windę, pożegnali się: „Do zobaczenia, poruczniku” - powiedzieli, a on, nachylając się, by ponownie przycisnąć czwórkę, zdecydował się nie odpowiadać, tak nakazywała mu jego osobista duma.

Gdy wszedł do opustoszałego sekretariatu przed gabinetem majora Rangela, Conde poczuł, że ma rozpaloną twarz, jak wtedy, gdy otrzymuje się cios, a w człowieku budzą się mordercze instynkty, jak u zaślepionego byka, gotowego do ataku. Postanowił zaczekać, aż zagotowana krew ostygnie, i ruszył ku szklanym drzwiom, zza których dobywał się głos. Stary rozmawiał przez telefon, ocenił, nie usłyszawszy odpowiedzi rozmówcy, i zapukał cicho do drzwi.

- Wchodź, na co czekasz - powiedział Stary.

Skąd ten dziadyga zawsze wie, że to ja? Conde przywitał się przez wyciągnięcie dłoni i zaczął, aż szef skończy rozmowę. Stary powiedział trzy razy „Tak” i odłożył słuchawkę, ostrożnie, jakby nie chciał, żeby się uszkodziła. Conde zauważył, że mimo niedzieli major miał na sobie mundur. Coś złego musiało się stać.



- Nie jest dobrze, Conde, nie jest dobrze - powiedział i spojrzął przez okno. - A co ty tutaj robisz? Widziałeś się wczoraj z Eligiem? A ta twoja sprawa, rozwiązałeś ją wreszcie?

- Chyba jestem tego bliski.

- Ile czasu się już tym zajmujesz?

- Cztery dni.

- Cztery dni i mówisz, że dopiero jesteś bliski!

- Potrzebuję twojej pomocy... - dostrzegł sceptyczny uśmiech na twarzy szefa. - Spokojna głowa, to nic takiego. Wypaliłeś już to cygaro Montecristo, które dałem ci ostatnim razem?

- Tak, a bo co? - odpowiedział zaskoczony Rangel i popatrzył na Condego.

- A gdzie wyrzuciłeś końcówkę?

- Można wiedzieć, co tu się dzieje, Mario?

- Potrzebuję końcówki tego cygara. Wpadł mi do głowy pewien pomysł...

183-

- Ty i pomysł. Niesłychane... Zobacz tutaj, w koszu, powinna być w środku, wczoraj nikt nie wyrzucał śmieci - powiedział major, podniósł z podłogi kosz na papier, i krzyknął: - Jest! Poznaje po grzbiecie... Po co ci to, Conde?

Conde przyjął końcówkę cygara, wypalonego znacznie starszej, niż major miał w zwyczaju. Zauważył, że końcówka była pogryziona, wyraźnie zniszczona, i wywnioskował, że Staremu cygaro musiało posmakować, choć w trakcie palenia musiał być czymś zaniepokojony lub podenerwowany, skoro tak ponadgryzał tytoń.

- Za pół godziny jestem z powrotem, majorze - obiecał i trzymając cygaro, jak zwykł to robić Rangel, opuścił gabinet.

- Nie pogrywaj sobie ze mną, Mario - usłyszał, przestępując

próg.

- A więc, Conde, to co prawda nie ostateczny wynik, ale można by powiedzieć, że oba cygara mają to samo pochodzenie. Zaczekaj, nie znaczy to nic więcej, niż to, że zostały wykonane z podobnego tytoniu, choć bezsporne jest też, że nie zostały przełamane przez tę samą osobę. To z Lasu jest większe, miejsce łamania jest trochę bardziej zgniecione i wygląda, że zostało zapalone tylko raz, przy ustniku nagromadziło się mniej substancji smolistych i nikotyny, poza tym zostało wypalone tylko do połowy, i może dlatego nie zdjęto z niego banderoli. Nie, żadnych odcisków palców. Trochę ziemi i nic więcej. Ale pamiętaj, że w jednym pudełku mogą się znajdować cygara zwinięte przez więcej niż jedną osobę, bo umieszczane są w kolejności, w jakiej opuszczają taśmę. Jestem jednak pewien, że jakoś tytoniu jest ta sama, a nawet jestem skłonny powiedzieć, że to ten sam tytoń, znaczy się ten sam zbiór, mam na myśli, chociaż to nic nie znaczy.

- Czyli nie można jednoznacznie stwierdzić, że te cholerne cygara to brat i siostra?

Pracownik laboratorium spojrział na Condego i uśmiechnął się:

184-

- Ale po cóż je w ten sposób swatać? Mają to samo pochodzenie i koniec kropka. Nie wymagaj ode mnie, żebym powiedział, że są rodzeństwem i że pochodzą z tego samego liścia albo krzewu.

- A jeśli przyniosę ci inne cygaro z tej samej paczki, myślisz, że będziesz w stanie stwierdzić coś z większą pewnością?

Mężczyzna spojrział na resztki dwóch cygar, rozwinięte na tacy, jak ciała przygotowane do przeprowadzenia autopsji.

- Mogłoby to znacznie pomóc, szczerze mówiąc.

- W takim razie przyniosę ci. Do której dzisiaj pracujesz?
- Spokojnie, będę tu jak nic do czwartej po południu, ale jak trzeba, zaczekam chwilę dłużej. Od czego ma się przyjaciół, nie?

Conde wyszedł na korytarz i po schodach zbiegł na niższe piętro, zmierzając do swojego pokoju. Miał dokuczliwe przecucie i pragnął, żeby się urzeczywistniło, najszybciej, jak tylko się da. Wszedł do niewielkiego biura i natknął się na Manuela Palaciosą, trzymającego w ręku kartkę papieru.

- Patrz, Conde, natrafiliśmy na ślad Salvadora K.
- Już zapomniałem o istnieniu tego gada. Gdzie go wywiało?
- Pojawił się w Cerro. Przytrafił mu się jakiś nowy romansik.
- Z kobietą?
- Prawie, prawie... ale nie do końca... ale coś z kobiety będzie miał. Greco, bo to on z nim rozmawiał po tym, jak go zlokalizowali, mówi, że kogucik wyznał, iż skoro wszyscy i tak wiedzieli o jego historii z Alexisem, nie ma potrzeby, żeby się dłużej ukrywał i od teraz będzie prowadził życie, o jakim zawsze marzył. Mówi, że typ wyglądał na najszczęśliwszego na świecie z powodu zostania pedałem pełną gębą. Co ty na to?

- Wydaje mi się, że jest jedynym, który na całym tym zamieszaniu wyszedł dobrze.
  - Co robimy? Przywieźć go tutaj?
  - Zostaw go, niech się nacieszy... Zobaczymy później, czy się nam do czegoś przyda. Niech mają go na oku.
  - Też tak myślę - powiedział Manolo i kartkę z adresem schował w leżącej na stole teczce, na której ktoś napisał czerwonymi, nieregularnymi literami: „Alexis Arayán/Morderstwo/Otwarta”.
- 185-
- To teraz postawimy wszystko na jedną kartę. Podaj mi te-

lefon.

Sierżant przysunął aparat na róg biurka, za którym siedział Conde, i przyglądał się, jak ten, zapalając papierosa, wykręca numer.

- Maria Antonia?... Z tej strony porucznik Mario Conde... Jak się pani miewa? Mario Antonio, potrzebujemy, żeby wyświadczyła nam pani przysługę... Nie, to bardzo proste... Chcielibyśmy z panią porozmawiać... Nie, nie. Porozmawiać, pomówić o kilku rzeczach związanych z Alexisem, wiemy, że bardzo się lubiliście i że miała z nim pani znacznie bliższy kontakt niż Faustino i Matilde, prawda?... Tak, ja też wolałbym, żeby to było tutaj... W porządku? Poślę kogoś po panią... Gdzie? Uhm, na rogu dwudziestej Drugiej, oczywiście... Ach, Mario Antonio, będę miał jeszcze jedną prośbę. Mogłaby mi pani przynieść jedno cygaro Montecristo z pudełka, które stoi w salonie?

- Dziękuję, Mario Antonio - powiedział Conde, kiedy Murzynka wyciągnęła z torebki i podała mu cygaro. Przyjrzał mu się uważnie, jakby zachwycając się urodą jasnego tytoniu, bez włókien, z wykwintnej plantacji Vueltabajo, i uśmiechnął się, wręczając cygaro Manuelowi Palaciosowi. - Proszę wejść - zwrócił się do kobiety i uchylił drzwi pokoju. Teraz kroki Marii Antonii nie sprawiały wrażenia delikatnych jak wcześniej; przypominały raczej ostrożne stąpanie zaszczutego zwierzęcia. Conde, patrząc na nią, wyobrażał sobie intensywność deszczu wątpliwości, jaki spadał na świadomość kobiety, która po wejściu odwróciła się, żeby sprawdzić, czy drzwi za nią się zamknęły. Poczul zawstydzenie, gdy wskazał jej krzesło, i wypowiedział komentarz na temat upału panującego na zewnątrz, kojącego oczy widoku, jaki rozpościerał się za oknem jego biura, i gdy stwierdził, że dlatego właśnie wolał swój gabinet od dużych biur znajdujących się w drugim skrzydle budynku,

w końcu zapytał, czy jest zamężna.

- Nie, jestem panną - oświadczyła kobieta, która w niedzielnej sukni w kwiaty, z torebką trzymaną na kolanach, włosami spiętymi

186-

pod chustką ze sztucznego jedwabiu i ustami potraktowanymi krwistoczerwoną szminką wyglądała jak wyjęta ze sceny Koloru purpury, pomyślał Conde.

- Od jak dawna zna pani rodzinę Arayánów?

- Od 1956 roku, od kiedy zaczęłam u nich pracować. Matilde i Faustino byli świeżo po ślubie, mieszkali wtedy w Santos Suárez, z mamą Matilde, która owdowiała. Po Rewolucji chciałam odejść, ułożyć sobie życie, nie mieć z nimi nic wspólnego, myślałam, żeby znaleźć inną pracę, ale urodziło się dziecko i zdążyłam się do niego przywiązać, a więc odkładałam decyzję, odkładałam, aż cztery dni temu wydarzyło się, co się wydarzyło... Teraz myślę, że odejdę, chociaż nie wiem dokąd. Cały czas mieszkałam u nich, nie mam własnego domu ani prawa do emerytury... Musiałabym zamieszkać u brata, ale tam to już istne piekło, żona, trójka dzieci i nie wiem ile wnuków.

- Dobrze pani było u Arayánów?

- Tak, Fabiola, mama Matilde, zawsze traktowała mnie jak należało, a dziecko kochałam jak własne. Przez wiele lat mieszkaliśmy w domu w trójkę, zwłaszcza tutaj, w Miramar, kiedy Faustino zaczął pracować poza Kubą. Dziecko spędzało więcej czasu ze mną i z babcią niż z rodzicami, chodziliśmy na spacer, do kina, do teatru, do muzeów, bo Fabiola była wykładowczynią na uniwersytecie i miała ogromną wiedzę. Faustino twierdzi, że to z naszej winy jego syn jest, jaki jest, no wie pan, ale przysięgam, wychowywałam go, jakby był moim rodzonym dzieckiem... Ale już jako mały chłopiec taki był, bezradny i taki wrażliwy, a Faustino

naciskał na niego i zastraszał go, więcej niż raz nawet go uderzył, i ja myślę, że on się na nim tak właśnie zemścił. Nie mogli się z sobą dogadać jak ojciec z synem. Przez długie lata nie odzywali się do siebie...

- Co pani myśli o Faustynie?

Maria Antonia wygrzebała z torebki małą chusteczkę i przetarła kropelki potu nagromadzone nad górną wargą. Powietrze w pokoju wypełnił zapach materiału i Conde mu zrobiło się jeszcze bardziej żal kobiety: posiadała przyzwyczajenia arystokratki, perfekcyjnie przyswojone, które pozostawały w sprzeczności z uległością, jaką 187-

prezentowała w domu Arayánów. Jak wiele prawdziwych aspiracji, zdolności, ukrywała przez lata, rezygnując z własnego życia, żeby wychowywać obce dziecko, które traktowała jak swoje?

- Myślę, że nie powinnam wypowiadać się w tym temacie... - odpowiedziała wreszcie.

- Niech pani coś powie, cokolwiek - nalegał porucznik. - Wszystko zostaje między nami.

- Co pan chce usłyszeć? Jest człowiekiem cieszącym się dużym zaufaniem w szeregach rządowych, sam pan wie, dlatego tyle podróżuje, był ambasadorem i całe to wszystko. Mnie zawsze traktował dobrze, chociaż nigdy nie był dla mnie jak Fabiola ani Matilde, rozumie pan. A ja nigdy nie wybaczyłam mu tego, jak postąpił z dzieckiem. Biedaczek Alexis, doszło do tego, że bał się ojca. Dlatego, kiedy się wyprowadził, ja się ucieszyłam, bardzo, i postanowiliśmy, że jak kiedyś będzie miał swój dom, ja się do niego przeprowadzę.

Gdy ujrzał łzy spływające po czarnych policzkach Mani Antonii, Conde pomyślał, że ten finał, jakby wyjęty z telenoweli, zdecydowanie wyczerpuje jego niedzielne pokłady wyrozumiałości. Zganił

sam siebie za to, że przez chwilę pomylił twarz przepelnioną miłością z poddańczą maską, i spróbował sobie wyobrazić bezmierną samotność kobiety, która przeżywała w sumie obce sobie życie i dla której najważniejszy był pewien uduszony transwestyta, wychowany i kochany jak własny syn. Conde podniósł się i pozwolił jej się wypłakać: pomyślał, że jej ból musi być równie wielki, jak samotność, którą musiała odczuwać. Usłyszał słowa przeprosin, dokładnie w chwili, gdy spoglądał na zegarek, kalkulując, że Manuel Palacios zaraz powinien się zjawić, i dziś bardziej niż kiedykolwiek pragnął dojrzeć V, znak zwycięstwa, wskazywany przez sierżanta palcami. Dla Marii Antonii, dla nieszczęsnego Alexisa, a nawet dla Marquesa i niego samego, wraz z jego kochanymi przesadami. Tak bardzo tego pożądał, że oto drzwi otworzyły się, w progu pojawiła się wychudzona postać Manuela Palacios, a palce jego prawej dłoni układały się w literę V.

- Mano Antonio - powiedział wówczas i wrócił, by zająć swoje miejsce naprzeciwko kobiety, która tymczasem zdażyła schować 188-

chusteczkę w maleńkiej torebce - od jakiegoś czasu towarzyszy mi wrażenie, jakby chciała nam pani coś powiedzieć, coś, co być może ma jakiś związek ze śmiercią Alexisa. Mam rację?

Kobieta spojrzała w oczy policjantowi.

- Nie wiem, skąd u pana takie wrażenie.

- Bardziej niż wrażenie, jestem o tym przekonany, a już całkowitą pewnością mam od wczoraj, gdy zadzwoniła pani do Alberta Marquesa i powiedziała mu, że znalazła medalion w szkatułce Alexisa. Nie wiem dlaczego, ale jestem pewien, że wiedziała pani, iż ten medalik należy do Alexisa i zadzwoniła do Marquesa, żeby on skontaktował się z nami. Mam rację?

- Nie miałam pewności...

- Proszę pozwolić sobie pomóc, bo teraz to pani jest jedyną osobą, która może nam pomóc, jeśli pani coś wie, a sędzę, że tak właśnie jest... Proszę posłuchać: w pobliżu zwłok Alexisa znaleziono niedopałek cygara Montecristo, które, jak potwierdziło laboratorium, bardzo możliwe, że pochodziło z pudełka przechowywanego przez Faustina Arayána w salonie... To, jak również medalion ze szkatułki, nie jest dowodem, ale może wiele wyjaśnić. Rozumie pani?

Z każdym słowem wypowiedianym przez Condego głowa kobiety pochylała się coraz niżej, jak gdyby cały ciężar prawdy spoczął na jej szyi, jakby jedynym pragnieniem kobiety było spoglądać na torebkę trzymaną w splecionych w tej chwili dłoniach. Conde zamilkł, czując, jak opuszcza go nadzieja. „Strach bierze górę” - wywnioskował, gdy ujrzał, że ciężar ustępuje i twarz Marii Antonii unosi się, by zatrzymać na wysokości jego błagającego spojrzenia. Oczy kobiety błyszczały, choć ona sama nie sprawiała wrażenia, jakby miała się rozplakać.

- W spodniach, które miał na sobie tamtej nocy, były dwie nitki czerwonego jedwabiu. Włożył te spodnie do pralki, ale ja je wyciągnęłam, bo były z niebieskiego materiału i mogły zafarbować resztę ubrań. Zdziwiłam się, bo nogawki były trochę ubłocone, dlatego przyjrzałam im się uważniej... Szlag by ich wszystkich trafił - powiedziała, a Condego zdziwiła siła głosu, dzikość spojrzenia i, jak u mordercy, drżenie rąk Marii Antonii, kobiety o łagodnych

-189-

stopach. - Czyli jednak on to zrobił. Sukinsyn jeden - podsumowała, wypowiadając starannie każdą sylabę, i rozplakała się, arystokratycznie i rozpaczliwie.

- Mam dla ciebie prezent, ale nie do wypalenia - zaznaczył Conde i położył na biurku majora Rangela tacę z trzema przeźroczytymi



woreczkami, w których znajdowały się kawałki cygar.

- Co to, kurwa, ma być?

- Najpewniej dowód numer dwa przeciwko Faustinowi Arayanowi w sprawie o zabójstwo jego syna Alexisa Arayana.

Major Rangel uderzył dłonią w biurko.

- Cożesz ty wygadujesz?

- To co słyszysz... Wielki Faustino zamordował własnego syna w Lesie Hawańskim. Teraz wyrażam się jaśniej?

Żeby jednak major Rangel zdołał zrozumieć, Conde musiał opowiedzieć mu o rozmowie z Marią Antonią Galarragą, zbadaniu i potwierdzeniu grupy krwi Faustina, AB, i historii z medalionem ze skazą oraz o znalezieniu czerwonych jedwabnych nitek w kieszeni spodni z zabłoconymi nogawkami, należących do tego samego Faustina Arayana.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego go zabił - wypowiedział z niedowierzaniem major Rangel.

- To wie tylko on, Alexis, który już nic nie może powiedzieć, i Bóg, którego coraz mniej, ale który w tej historii był obecny... Z tego, co mogę podejrzewać, majorze, Alexis zrobił, powiedział, zażądał albo wypomniał mu coś na tyle poważnego, że Faustino postanowił go zabić. Wygląda na to, że chłopak miał problemy z głową i myślał o samobójstwie, i to Faustina obwiniął za całe zło, jakiego doświadczył. Zerknij, co napisał na kartce wyrwanej z Biblii... Potem przebrał się za kobietę i poszedł się z nim spotkać, pokłócili się i Faustino go zabił. Po prostu.

- Czy ten kraj oszalał? - rzucił major i Conde pomyślał, że to dobra chwila, by przycisnąć Starego.

- Wygląda na to, że tak. To pewnie przez ten upał. Popatrz, co zrobili z Maruchi i Grubym Contrerasem...

Stary wstał z miejsca.

- Nie zaczynaj, Conde, nie zaczynaj - i jego głos rozbrzmiał zmęczeniem i zgorzknieniem. - Co zrobili z Grubym... Czy ty wiesz, co ja tutaj robię o tej porze? No więc jestem tu właśnie z powodu kapitana Contrerasa... bo kapitan Contreras załatwił się poza ustępem i przydybali go na całego.

Conde wysilił się na uśmiech. Stary nie umiał żartować, dlatego też nigdy nie pozwalał sobie na opowiadanie kawałów. Czyżby nagle mu się odmieniło?

- To jakieś szaleństwo, prawda?

- Żadne szaleństwo, Conde. Pierwsza rzecz: handel dewizami, przekupstwo i zawieszanie śledztw. Kolejna: wymuszenia i przemyt. Mają całą masę dowodów. I co ty na to?

Porucznik Mario Conde zagłębił dłoń w kieszeni w poszukiwaniu papierosów, ale mimo iż wyczuł opakowanie, nie był w stanie go wyciągnąć. Jego przyjaciel, kapitan Contreras, jeden z najlepszych policjantów, jakich w życiu poznał. „Nie” - pomyślał - „to niemożliwe”.

- Chcą go wpakować w jakieś gówno - powiedział, nie dowierzając.

- Gówna narobił on sam i do tego jeszcze załatwił się u mnie w gabinecie. To dzięki niemu zostanę prześwietlony na wylot... Wiesz co, pozwól, że zamilknę - ale nie zamilkł, zmienił tylko głos: na jeszcze bardziej zmęczony i zgorzkniały. - Spierdolił tę robotę, Conde, spierdolił i nie ma przebaczyć... Dzisiaj rano prokuratura wydała nakaz aresztowania, już pojechali po Contrerasa. Tak się sprawy mają... Wydaje mi się, że mnie znasz: miałem zaufanie do kapitana Contrerasa, tak jak ufam tobie, nieraz włożyłem ręce do wrzątku, po ramiona, ręcząc za niego i dwukrotnie uniemożliwiłem otwarcie śledztwa w jego sprawie, na tym biurku złożyłem własne odznaki, stanowisko,

pozycję, własne jaja za jego niewinność, nie dopuszczając, żeby go o cokolwiek podejrzewano... Ale to oni mieli rację, Conde, nie ja. A więc teraz będę musiał odpowiedzieć za to, że zaufałem Contrerasowi. Wiesz, co to oznacza? Że dla mnie to już koniec...

- Jadę do domu, Stary - powiedział Conde i odwrócił się w stronę wyjścia.

- 191 -

- Nigdzie nie jedziesz, weź się w garść. Masz dokończyć tę sprawę! Co, kurwa, z tobą? Przypadkiem nie jesteś policjantem? Najpierw masz być mężczyzną, potem dopiero gliną. Zrozumiano?

W końcu udało się Condemu wyciągnąć papierosa, zapalił i poczuł, jakby wdychał zapach gówna. Postanowił usiąść, ponieważ ogarnęło go niezmiernie zmęczenie, które odczuwał w mięśniach i umyśle. Stary wciąż był tym samym Starym, którego szanował i podziwiał, nie zasługiwał, żeby zachowywać się przy nim jak dzieciak. „Czy majorowi też przywala? Nie, tego nawet nie będę próbował sobie wyobrazić” - pomyślał.

- A skoro interesuje cię tak bardzo, co się stało z Maruchi, no więc posłuchaj: ona też jest z Wydziału Śledztw Wewnętrznych, była agentem, którego wsadzili nam pod nos, żeby rozpocząć śledztwo, zza pieprzonego biurka, tam na zewnątrz, przed drzwiami do mojego gabinetu. Jak ci się podoba taka historia?

- Pierwszorzędna i wzruszająca - to pierwsze, co przyszło mi na myśl, zaraz potem pokręcił głową: kolejna odsłaniająca się maska. - Dobra, Stary, skończmy z tym: jak rozwiązujemy sprawę z tym całym Faustinem? Zatrzymuję go, zamykam, daję kopa w dupę i czekam, aż mi wszystko wyćwierka, czy musisz do kogoś zadzwonić i wytłumaczyć w czym rzecz?

Major rzucił okiem na resztki cygar zapakowane w plastik.

Sięgnął do szuflady i wyciągnął czarnego kikuta, którego popalał w ostatnich dniach.

- Muszę zadzwonić, Mario. To będzie jak granat, sam wiesz. Wybuch może być słyszalny nawet w Genewie, jeśli Arayan nagle nie stawi się tam na konferencji poświęconej prawom człowieka... Tak jest, ten kraj ogarnia szaleństwo. Zobacz, wyrabiają cygara w Holguin, i jeszcze naklejają banderolę, że najwyższa jakość... Szlag by trafił Grubego Contrerasa...

Jedynym, czego Mario Conde, policjant śledczy z Departamentu Zabójstw Centrali, będzie żałował, jest to, że nie ujrzy twarzy Faustina Arayana w chwili zatrzymania go i oskarżenia o zamordowanie

192-

syna. Na długo przed wyrokiem sądu zostanie on skazany na utratę wszystkich przywilejów i błyszczących guayaber, ambasady, z której jakże blisko do nieba, i smakowitych cygar, posiadłości w Miramar i dwóch zaparkowanych w garażu samochodów, smaku kawioru i whisky - ja, który tak lubię whisky i nigdy nie mogę sobie na nią pozwolić - wpływowych przyjaciół i służącej, która na jego nieszczęście prała mu ubranie i zawsze przed praniem sprawdzała je, zacierając dowody jego coraz to nowych i przelotnych przygód seksualnych; ta sama służąca, która tym razem nie spełniła, jak powinna była, swoich obowiązków i postanowiła przechować spodnie, umorusane rzeczonym błotem, z dwiema nitkami czerwonego jedwabiu, przetrawionego przez wilgoć i lata cenzury... Conde zastanawiał się, czy wsadzą go do zwykłego więzienia i zamkną z pospolitymi więźniami. Nie, z pewnością nie. W końcu był Faustinem Arayânem i, co nie stanowiło dla Condego żadnego pocieszenia, nie zostanie umieszczony w jednej celi z mordercami najróżniejszej maści i upodobań, zdolnych zmusić go do sprzątania celi i chętnych, by wyładowywać na nim swoje

seksualne frustracje, i wymasować mu pośladki tak, że kolorem przypomniatyby flakon pełen róż, nie płacąc mu za przyjemność złamanego peso, tym bardziej dwóch... Oprócz tego cieszył się z doprowadzenia śledztwa do końca, oznaczało to możliwość powrotu do zwyczajowej melancholii i utrapienia, będących wynikiem wiecznego braku kawy, do myślenia o Poly i o napisaniu kolejnego opowiadania, o urodzinach Chudego, które wypadają za cztery dni, do przyglądania się ugruntowanemu nieporządkowi jego mieszkania i wyobrażania sobie, że przecież wszystko mogłoby być inne: nawet to, że Gruby Contreras też mógł być inny. Co zrobią ze Starym? Zadumał się i nawet nie próbował sobie odpowiedzieć na niewypowiedziane pytanie.

Dwójka funkcjonariuszy w randze kapitanów, ubranych po cywilnemu, przybyła w samo południe i Conde wyjaśnił im szczegóły sprawy oraz wręczył znikome dowody winy: trzy rozbebeszone cygara, medalion z wygrawerowaną postacią człowieka witrwiańskiego uniwersalnego, dwie monety koloru żółtego i kartkę z kilkoma biblijnymi fragmentami, które ujawniały ludziom boskie 193-

pochodzenie nieślubnego syna cieśli Józefa, i gdzie była mowa o zapowiadanymludzkim poświęceniu w imię ocalenia królestwa z tego świata. Następnie wskazał, gdzie znajduje się laboratorium, w którym dokonywano analizy włókien jedwabiu i błota znad rzeki Almendares. Funkcjonariusze pogratulowali tempa i efektywności, z jaką doprowadził śledztwo do finału, i zapewnili, że kara czasowego zawieszenia zostanie ponownie rozpatrzona, że ludzie jak on są policji potrzebni. Wyjaśnili też - „choć tego robić nie musimy, jest pan policjantem, więc dobrze pan wie” - że sprawa ta ma szczególny charakter i takiego też postępowania wymaga. Conde przyznał im rację. Tym, czego nie powiedział, otwierając

drzwi i wychodząc na korytarz, było to, że żałuje, iż nie będzie mógł spojrzeć w oczy Faustinowi Arayânowi, gdy będzie on zrzucił maskę, która w rezultacie stała się jego prawdziwą twarzą. Rozplącze się? Będzie przeproszał? Uklęknie, pochylając się w całej swej pyszałkowatości? Owszem, chciałby widzieć tę scenę, upadek, z siłą lawiny, tego człowieka, zdolnego do sądzenia i skazywania, oceniania i wykluczania, niszczenia ludzi i łamania żyć, kierującego się brakiem zasad moralnych i politycznych. Prawa człowieka? Do dupy z nimi, i jeszcze raz pożałował, że straci ostatnią scenę ze sztuki, nad którą tyle pracował... Wtedy też pomyślał, że w rzeczywistości zostało jeszcze coś, czego mógłby żałować: chciałby na przykład się dowiedzieć, co takiego powiedział Alexis ojcu, jakie słowa mogły wywołać w nim morderczy gniew, chciałby też się zapoznać z zawartością umysłu Alexisa Arayana, wystrojonego w nieprzyzwoity strój Elektry Garrigó, gdy wychodził w ciemną, samobójczą noc, by sprokurować własną śmierć. Miał jednak świadomość, że prawda ta odeszła raz na zawsze, przy udziale strachu i nienawiści, wraz z utratą życia przez tego okazjonalnego transwestytę. Chciałby też wiedzieć - i oczywiście odczuwał żal z powodu niewiedzy - dlaczego na świecie dochodziło do podobnych, strasznych wydarzeń, w których on, z racji wykonywanego zawodu, musiał się babrać, jak w tragicznym błocie znad rzeki... A Gruby Contreras? Skorumpowany policjant, używający stanowiska, munduru i oznaki do wykorzystywania innych? „Nie” - odpowiedział sobie, negując to, co, jak się wydawało, nie mogło zostać zanegowane.

194-

Gdy wyszedł na parking przy Centrali, poczuł, jak całe ciepło wypełniające miasto postanawia spocząć na nim, i pomyślał, że podobnie musiało być z czarnymi wodami Averno, u siarkowych wrót prowadzących do świata, z którego nie ma powrotu.

- Odwiozłeś Marię Antonię? - spytał Manuela Palacios, wsia-  
dając do samochodu.

- Tak, poprosiła, żebym ją odstawił do Miramar. Chciała zabrać  
swoje rzeczy. Powiedziała, że dzisiaj wieczorem wyprowadzi się  
do domu brata.

- Przynajmniej ona będzie mogła obejrzeć akt zrzucenia maski.  
Oby sprawiło jej to radość... Podwieź mnie do domu, chyba muszę  
się zdrzemnąć. Może nawet oddać się snu na dłużej - dodał, zapalił  
papierosa i splunął na ulicę. - Co za gówno, co nie?

- No, gówno jak się patrzy, Conde... Słuchaj, będziesz miał coś  
przeciwko, jeśli złożę na twe ręce przeprosiny za głupoty, które  
ostatnio nawygadywałem?

Obudziły go spływające po ciele, niczym wijący się węgorz, krople  
potu. Przewrócił się na bok w poszukiwaniu czerwonych cyfr na  
elektronicznym zegarze, lecz jedynym, co znalazł, była wygaszona  
tablica świetlna urządzenia. Również wentylator przestał pracować.  
„Jak to możliwe, żeby o tej porze zabrakło prądu" - zaprotestował  
i sięgnął po zegarek, który wskazywał zaledwie czwartą po południu.  
Przeciskające się przez gęste zasłony w oknie promienie zuchwałego  
słońca buszowały po pokoju, niczym wyrok, którego nie można  
odroczyć. Zanim się położył, pomyślał, że obudzi się, gdy na ze-  
wnątrz będzie już ciemno. Podniósł się i wyruszył na poszukiwanie  
obumarłych resztek kawy przygotowanej o poranku. Popijając napój,  
spoglądał przez okno, wypatrując perspektyw, jakie czekają go  
w najbliższej przyszłości, i pierwszy raz od wielu miesięcy wydały  
mu się one całkiem korzystne. Wypalił w spokoju papierosa i kiedy  
szykował się, by pójść pod prysznic, zadzwonił telefon.

- To ja, Mario.

- Słucham, majorze, co się stało?

- Mamy go u nas, już zeznawał.

195-

-I jak poszło?

- Mówi, że miał chwilę słabości, nigdy nie myślał, że jest zdolny do czegoś podobnego, całą winę zrzuca na Alexisa. Mówi, że wyszedł z hotelu Riviera, gdzie miał spotkanie z włoskim deputowanym, który jest jego przyjacielem, i spotkał kobietę stojącą przy jego samochodzie. Powiedział, że w pierwszej chwili jej nie rozpoznał, ale wydała mu się dziwna. Wtedy zorientował się, że to Alexis - jednostajny głos majora Rangela kontynuował opowieść, a wyobraźnia Condego, postawiona w gotowość, zaczęła pracować, widział scenę za sceną, aż do tragicznego finału: postać wielkiego mężczyzny, do dzisiejszego poranka nieposiadająca twarzy, teraz przybrała rysy Faustina Arayána, który daje się zaskoczyć wyglądomi syna, przebranego za kobietę, czekającego na niego przy wyjściu z hotelu:

„ - Co ty tu robisz w tym przebraniu?

- Nic, czekam na ciebie, żebyś mnie zawiózł do domu. Toña powiedziała, że tu będziesz. Możesz podwieźć mnie swoim autem, czy wstydzisz się jechać ze mną, kiedy jestem tak ubrany?"

Alexis nie otrzymuje odpowiedzi, ale jego ojciec, po tym jak wsiada do samochodu, otwiera drzwi od strony pasażera. Faustino, poirytowany, zapala cygaro Montecristo, wyciągnięte z kieszeni, i wewnątrz samochodu wypełnia się dymem, który rzędnie, gdy auto rusza.

„ - Co zamierzasz robić w domu w takim przebraniu? Odbiło ci? Nie wstyd ci paradować tak po ulicy? Skąd ty w ogóle przyszedłeś tak ubrany?

- Przebrałem się w toalecie hotelowej i nie jest mi wcale wstyd... Przez cały dzień miałem przeczucie, że dzisiaj w moim życiu coś się zmieni. Zobaczyłem światło i usłyszałem: Zrób to, co musisz



zrobić, i idź na spotkanie z twoim ojcem.

- Tobie naprawdę odbiło.
- Czuję się doskonale.
- Powiedz raz a porządnie, o co ci właściwie chodzi i przestań pieprzyć jak potłuczony.
- Skręć do Lasu, tam będziemy mogli na spokojnie porozmawiać".

196-

Faustino znów nabiera przekonania, że jego syn oszalał, że chce go sprowokować i może lepiej będzie wyjaśnić to sobie przed powrotem do domu. Skręca w lewo i samochód zmierza w stronę Lasu Hawańskiego, gdzie o tej porze daje się czuć bryzę, kontrastującą z ciepłem spowijającym resztę miasta.

„ - Jedźmy nad rzekę, chcę popatrzeć na rzekę.

- W porządku. Co w takim razie chciałeś mi powiedzieć?"

I Alexis wyznał mu, że go nienawidzi, że nie czuje dla niego szacunku, że ma go za hipokrytę i oportunistę, i nagle rzucił się na niego z pięściami. Faustino cisnął cygaro i odepchnął Alexisa, który upadł na kolana, ale tylko na chwilę, zaraz się podniósł i ponownie zaatakował, i Faustino, nie wiedząc jak to zrobił, złapał czerwoną szarfę, zwisającą u pasa tej pomyłonej i rozwścieczonej kobiety, która jednocześnie wywoływała wściekłość u niego, napadała na niego, doprowadzała go do spazmów, i kiedy zdał sobie sprawę z własnych poczynań, Alexis osuwał się na ziemię, a w jego płucach nie było...

- Co o tym sądzisz?
- Brzmi nieźle, ale pominąłeś przynajmniej połowę historii. Alexis powiedział mu jeszcze coś, co wzbudziło w nim gniew: zagroził, że coś zrobi albo coś powie, nie wiem... Myślę, że to dlatego zapłacił mu dwiema monetami.

- Nie wymyślaj, Conde.
- Nie wymyślam, Stary. To z tym oportunistą, hipokrytą, nienawiścią, jaką do niego czuł, to wszystko mówił mu wielokrotnie. Pomyśl, co takiego mógł wiedzieć Alexis i co mogło zaszkodzić jego ojcu... Alexis musiał powiedzieć coś, o czym wiedział, że wywoła u ojca furję. Spójrz na całą sprawę na chłodno, a zobaczysz, co się z tego wyłoni, mówię ci, jak jestem Mario Conde. Ale musicie go przycisnąć, Stary, jak zwykłego bandytę.
- Spoglądam...
- A co powiedział o monetach?
- Powiedział, że się wystraszył i przyszło mu do głowy coś takiego, żeby zmylić ślad i zasugerować, że to jakaś pedalska historia.
- Kawał skurwysyna z niego, co nie? A o medalionie co mówi?  
197-
- Pomyślał, że może nikt nie zidentyfikuje ciała, więc zerwał mu z szyi medalik. Nie wpadł jednak na to, że syn może mieć przy sobie dokumenty.
- No, ja też jestem zdania, że to nieładnie ze strony tej kobiety, że miała przy sobie dokumenty. Tutaj się zgadzamy. Stwierdzam to z przykrością.
- Mówi, że umieścił medalion w szkatułce jeszcze tej samej nocy... Teraz już tylko oskarża o wszystko Alexisa i powtarza, że nie wie, jak to się stało. Wiesz, o co chodzi.
- Wiem, Stary, wiem, o co chodzi, ale nie zapominajcie o jednej rzeczy: ten typ to kawał skurwysyna ze znakiem jakości i kartą gwarancyjną... Trzeba być niezłe powalonym, żeby wpaść na taki pomysł, żeby chcieć zdjąć z szyi uduszonego trupa, który jest twoim rodzonym synem, medalion tylko po to, by odsunąć od siebie podejrzenia i do tego wepchnąć mu w tyłek dwie monety.

A dlaczego nie wrzucił go do rzeki?

- Mówi, że w pobliżu ktoś przejechał na motorze i się przestraszył. Wtedy też zerwał medalion.

- No to dał ciała... Posłuchaj, Stary, obejdźcie się z nim bez taryfy ulgowej...

- Nie bądź taki, Mario, zrobimy wszystko, jak trzeba.

Głos majora brzmiał teraz miękko i spokojnie i Conde pomyślał, że tak jest lepiej: wszystko powinno być miękkie i spokojne, i postanowił rozpocząć proces pozbywania się z ramion ciężaru czerwonego ducha Alexisa Arayana.

- Dobra, zostawiam was, w takim razie... Stary, chciałbym cię prosić o tydzień wolnego.

- Co z tobą? Tylko mi nie mów, że zamierzasz coś napisać.

- Nie, jasne, że nie. Już nie pamiętam, jak to się robi. Jestem zmęczony i mam dosyć. A ty jak się masz?

Cisza na łączu przeciągnęła się znacznie dłużej, niż należało oczekiwać po majorze Rangelu.

- A ja jestem znudzony, Conde. I rozczarowany... Coś mi się zdaje, że nadszedł czas złożyć broń. Ale ty nie masz się co nad tym rozwodzić. Weź tydzień wolnego i jak dasz radę, weź i coś napisz. Naucz się robić sobie dobrze i nie użalaj się nad życiem...  
198-

Wpadnij w przyszły poniedziałek. Jak będziesz potrzebny wcześniej, dam znać, okej?

- Okej, Stary. Uważaj na siebie. Może uda mi się skołować dla ciebie jakieś porządne cygarka - powiedział i rozłączył się.

Stojąc pod prysznicem, pomyślał, że ma wystarczająco dużo czasu, by spotkać się z Poły, poczuł też potrzebę opowiedzenia Marquésowi ostatniego rozdziału tej plugawej historii, której końca nigdy z całkowitą pewnością nie uda się poznać. Czuł się zobowią-

zany. Już sobie wyobrażał, w jaki sposób przedstawi dramaturgowi wydarzenia, i przyłapał się na tym, że odczuwa prawdziwą ochotę, by złożyć mu wizytę: zaniesie dramaturgowi swoje opowiadanie. Spodoba mu się? Zastanawiał się pod prysznicem, ubierając się, kiedy wychodził na ulicę, i jeszcze wtedy, gdy po raz trzeci docierał do jego uszu dźwięk kołatki uczepionej drzwi, a on stał w oczekiwaniu, aż kurtyna teatru świata Alberta Marqueza uniesie się.

- Potrafi pan zaskakiwać, przyjacielu policjancie. Teraz zacznę myśleć, że jest pan fałszywym policjantem. Że używa pan swoistego rodzaju transprzebrania. Z tą różnicą, że tutaj się pan obnażył...

i widać każdy szczegół - powiedział Marqués, wachlując się kartkami z zapisanym opowiadaniem.

- Ale... co pan o tym sądzi? - zapytał błagalnie Conde, zawstydzony dostrzeżoną nagością.

Dramaturg uśmiechnął się, ale tym razem nie dostał czkawki. Tego niedzielnego popołudnia miał na sobie szlafrok z pluszu, wyraźnie mniej znoszony niż poprzedni jedwabny, i żeby móc przeczytać opowiadanie, pootwierał wszystkie okna w salonie i przybliżył kartki blisko do oczu, jak gdyby chciał namacalnie poczuć je samymi powiekami. Conde tym samym mógł dojrzeć w całej okazałości scenografię, w jakiej przez tych ostatnich kilka dni się spotykali. Dopełniało ją poddasze, jedno z tych miejsc, jakie wyobrażamy sobie zakurzone i zapleśniałe, właściwe dla filmów grozy, i jakie nie występują w kubańskich domach, tym bardziej w tych zbudowanych dawno temu. Kiedy Marqués czytał, Conde wypalił dwa papierosy i dokonał inwentaryzacji przedmiotów, 199-

próbując znaleźć pośród wszystkich tych nagromadzonych i surrealistycznych również i takie, które uznać by można za przydatne: oprócz dwóch zajmowanych przez nich foteli, porucznik uznał

za nadający się do użycia stół z pociemniałego drewna, stojak z brązu, który kiedyś zapewne podtrzymywał lampę w stylu art nouveau, i kilka talerzy, które nie były obtłuczone, a nawet mogły być wykonane z porcelany. „Wszystko inne to wyborne rupiecie” - pomyślał - „niemożliwe do odzyskania: musiała być to końcowa faza autofagii, jakiej Marqués z pewnością poddawał swój dom”.

- Co sądzę, powiem później. Najpierw chcę się czegoś dowiedzieć. Czytał pan ostatnio Camusa albo Sartre'a?

Conde sięgnął po kolejnego papierosa.

- Nie, ostatnio prawie nic nie czytałem. Dlaczego pan pyta?

- Zna pan Obcego? - Conde potwierdził, a jego gospodarz znów się uśmiechnął. - Widzi pan, kierowca z pańskiego opowiadania przypomina mi Meursaulta z Obcego... Piękna jest ta możliwość metafory, co nie? Francuski egzystencjalizm i kubańskie autobusy, powiązane wzajemnie przez uporczywe słońce - i znowu się rozeźmiał, a Conde poczuł chęć chwycenia go za szyję. Skurwiel jeden się naigrawa.

- Czyli, że jest śmieszne.

- Nie ma tytułu - kontynuował Marqués, jak gdyby nie usłyszał lamentu Condego, który teraz poruszał głową: nie było tytułu.

- Mam pomysł, patrząc na te postacie, martwe jeszcze zanim spotka je śmierć fizyczna: Śmierć w głębi duszy. Co pan o tym sądzi?

- Nie wiem, ale wydaje mi się, że jest dobry.

- Jeśli tak, podarowuję go panu. Jest taki sartre'owski...

- Dziękuję - powiedział machinalnie Conde i pomyślał, że nie ma sensu dłużej prosić o zdanie na temat jakości, teraz już zdewaluowanej, jego opowiadania o duszy.

- To ciekawe móc ponownie przeczytać takie opowiadanie... W innych czasach z pewnością zostałby pan oskarżony o przejęcie postaw estetycznych o charakterze burżuazyjnym i antymarksi-

stowskim. Niech pan sobie wyobrazi takie uzasadnienie: nie istnieje logiczne ani dialektyczne uzasadnienie dla irracjonalizmu przedstawionych postaci ani ich losu; ewidentnie widać niezdolność

200-

tych osobników do wyjaśnienia braku zorganizowania ludzkiego życia. Taka estetyka, można by zatem rzec (i co powiedziano wielokrotnie), jest niczym innym jak przejawem duchowej degeneracji współczesnej burżuazji. Ponadto pańskie dzieło nie proponuje koniunkturalnych rozwiązań społecznych w temacie, jaki podejmuje, by nie rzec tego, co jeszcze bardziej widoczne: mianowicie, iż przekazuje plugawy obraz człowieka żyjącego w społeczeństwie takim jak nasze... Jak pan widzi takie odczytanie opowiadania?

Biedny egzystencjalizm... Cóż wtedy pocniemy z dziełami tak pięknymi, jak te stworzone przez Camusa, Sartre'a, Simone?...

A co z nieszczęsnym Scottem Fitzgeraldem i eschatologicznym Henrym Millerem, i poczciwymi bohaterami Carpentiera, co z mrocznym światem Onettiego? Powinniśmy ściąć łeb historii kultury i ludzkim wątpliwościom?... A wie pan, co zaskakuje mnie najbardziej: pańska umiejętność prowadzenia opowieści.

Nie napisał pan opowiadania w stylu adepta, lecz opowiadanie, którego autorem jest, no cóż, pisarz. Choć ja preferowałbym inne zakończenie: żeby to ona zabiła kierowcę... I, niech pan powie, skąd wziął pan pomysł na to opowiadanie? Zawsze fascynowała mnie tajemnica tworzenia.

- Nie wiem, chyba stąd, że zobaczyłem kierowcę o twarzy kierowcy, a potem usłyszałem, że ja mam twarz policjanta.

Śmiech Marquesa przerodził się teraz w rytmiczną czkawkę, którą Conde odebrał jak wymierzony wprost w niego policzek, cios w resztkę poczucia wartości, jaka mu pozostała, i był o krok, żeby podnieść się z fotela i wyjść.

- Uwierzył mi pan, przyjacielu policjancie? To tylko taki żart. Albo reakcja obronna, sam nie wiem co. Moim zamiarem było wprowadzić dystans, wie pan? Obawy i zwątpienia. Tak to już jest, że jak ktoś otrzymał odpowiednią liczbę ciosów, umie podnosić gardę odpowiednio wcześniej, zanim będzie bity ponownie. Jak pies Pawłowa. Ale myślę, że trochę mnie poniosło, naprawdę: nie jestem tak perwersyjny ani tak ironiczny, nie jestem też takim... pedałem, jak się panu zaprezentowałem. Nie aż takim. Dlatego chciałbym prosić pana o wybaczenie, jeśli poczuł się pan urażony. Człowiek z pańską wrażliwością, zdolny do napisania tak niepokojącego

- 201 -

i wzruszającego tekstu, do tego jakże sprawnego i szczerego, nie zasłużył na takie traktowanie. Proszę o wybaczenie wszystkich uszczypliwości.

- Czyli mówi pan, że podoba się panu opowiadanie? - ponownie nacisnął Conde w poszukiwaniu prostego potwierdzenia, pozbawionego werbalnych wygibasów wywołujących wątpliwości.

- Nie słyszał pan? Właśnie to powiedziałem... I dodam coś jeszcze: podziwiam pana również jako policjanta. Ten numer z cygarem zaświadcza o geniuszu, czyż nie? Sam nigdy nie wpadłbym na podobne rozwiązanie dla tragedii... Bo nie wiem, czy zwrócił pan uwagę, że wszystko to przypominało grecką tragedię, w najlepszym wydaniu Sofoklesa, wypełnioną dwuznacznościami, historiami równoległymi, które mają swój początek dwadzieścia lat wcześniej, łączą się i przenikają tego samego dnia; zasiedloną postaciami, które nie wiedzą, kim są, albo które ukrywają, kim naprawdę są, i w najmniej oczekiwanym momencie wzajemnie się rozpoznają, i tragedia osiąga kulminację. Wszyscy stają wobec przeznaczenia, które ich przerasta, zmusza do akcji dramatycznej: z tą różnicą, że tu Lajos zabija Edypa, albo Aigistos wy-

przedza w działaniu Orestesa... Nie mówimy o dzieciobójstwie?...

I wszystko zaczyna się dziać lawinowo, ponieważ mamy do czynienia z hybns. Pojawia się nadmiar pasji, ambicji władzy, jątżzonych nienawiści, a to zazwyczaj są wykroczenia zasługujące na surową karę... Najsmutniejsze w tej całej teatralnej rozgrywce jest to, że bogowie posłużyli się samym Alexisem, aby makabrycznie dopełnić jego losu. To, co uczynił ten dzieciak, sprawiło mi wielki ból, bo przez wiele lat mojego życia widziałem już dość śmierci, dziesiątki moich przyjaciół umierało, członkowie rodziny. Każda śmierć kogoś bliskiego jest jak ostrzeżenie, przypomnienie, że ja mogę być następny, i im jestem starszy, tym większy strach odczuwam wobec śmierci. Teraz jednak bardziej się cieszę, że zdemaskował pan tego typu i że zamknęli go w więzieniu... I jeszcze coś panu powiem: wie pan, gdzie zaczęły się przecinać wątki tej tragedii? W Paryżu, tamtej wiosny 1969 roku: to Faustino Arayan był urzędnikiem ambasady, który zapukał do drzwi Recia, żeby poinformować go, że Ten Drugi przebywa w komisariacie. I to on podjął decyzję, że

- 202 -

Ten Drugi ma zostać odesłany na Kubę, i zapakował go w papier, na którym zanotował to, na co mu przyszła ochota, największe brednie na temat Tego Drugiego, a także na mój temat. Oczywiście, że Alexis wiedział i o tym...

Impreza dobiegła końca i nadszedł czas pożegnania. Paryż opuściliśmy w deszczu. Wiosna paryska taka jest: delikatna, i każdy agonalny pomruk odchodzącej zimy zdolny jest ją zainfekować z bezkarnością istnie odpychającą. Zła pogoda nadeszła niezapowiedziana i okna, które za dnia otwieraliśmy, by powitać zapachy i posłuchać przyjemnych odgłosów wydawanych przez przyrodę, trzeba było zamknąć. Pozostało przyglądanie się z zaskazyby, jak mroźny deszcz poniewiera na pobliskim placu drze-



wami, z dopiero co wypuszczonymi pąkami. Dwa dni wcześniej zakończyłem poszukiwania dokumentów dotyczących Artauda oraz zamknąłem cykl zajęć w Teatrze Narodów, gdzie po raz pierwszy zaprezentowałem publicznie swój pomysł na wystawienie Elektry Garrigó, posługując się tym, co nazwałem estetyką transwestytyzmu. Odniosłem sukces i był to mój ostatni sukces... Od Sartre'a po Grotowskiego, przez Truffaut, Nestora Almendrosa, Julia Cortázara i Simone Signoret, od nich wszystkich usłyszałem słowa pochwały, publicznie i prywatnie, i to już wtedy tam otrzymałem zaproszenie, ażeby w następnym roku pokazać gotowe przedstawienie w sześciu francuskich miastach. Było to apogeum marzeń, i wtedy w Paryżu zaczęło padać, z taką siłą, jakby nie padało nigdy wcześniej, i postanowiłem wrócić do bezlitosnego, acz pewnego słońca Hawany, żeby czym prędzej rzucić się w wir pracy. Recio towarzyszył mi w drodze na lotnisko Orły i nigdy by nam do głowy nie przyszło, że tamten uścisk i pocałunek, jaki złożył mi na szyi, będzie naszym ostatnim fizycznym kontaktem. Nigdy więcej się nie spotkaliśmy.

Po powrocie rozpocząłem pracę. Repertuar zaplanowany do końca roku przekazałem pod obróbkę innym reżyserom, żeby oni się tym zajęli, ja tymczasem zamknąłem się w domu z tekstem Virgilia i oddałem mu się całkowicie. W grudniu miałem gotowe

- 203 -

pierwsze libretto, ze wszystkimi szkicami scenografii i kostiumów, scenicznym podziałem na akty i sceny i kuszącym rozdziałem ról, gdzie uczestniczyli aktorzy o różnym rodowodzie, potrzebowałem bowiem mieć to, co scena kubańska mogła zaoferować najlepszemu. Ale wtedy rozpoczęła się zbiórka trzciny cukrowej i cały kraj zabrał się za ścinanie i mielenie: nawet aktorzy i technicy teatralni, musiałem więc poczekać do czerwca, żeby móc pracować z tymi,

z którymi chciałem. Napisałem do Paryża, wyjaśniając przyczyny opóźnienia, a oni ze swojej strony grzecznie zaprosili mnie na rok 1971, jakże pamiętny, ja natomiast wykorzystałem ten czas na przygotowanie wydania Teatru i jego sobowtóra, najpiękniejszego, jakie ukazało się po hiszpańsku...

Wreszcie szóstego września udało mi się zebrać w teatrze wszystkich, którzy mieli wystąpić w inscenizacji i odbyliśmy pierwsze czytanie libretta, wyjaśniałem zasadność elementów scenografii, światło, stroje i sposób grania, jaki był wymagany. Na koniec aplauz, na stojąco, co całkowicie przekonało mnie, że oto dotarłem do bram niebios: pozostało tylko zapukać, ażeby święty Piotr przyjął mnie z otwartymi ramionami... Zaczęliśmy pracować. Chociaż napotykałyśmy wiele trudności (mieliśmy kłopot ze zdobyciem materiału do wykonania strojów, trzydziestu dwóch masek, jakie były potrzebne do sztuki, stroju Pedagoga-centaura, fragmentów scenografii), powoli udawało się zebrać, co konieczne, a w styczniu skończyliśmy próbować na surowo i rozpoczęliśmy ze scenografią oraz gotowymi kostiumami. Praca aktorska była naprawdę skomplikowana, a ja oczekiwałem perfekcyjnego zagrania roli. Musieli się posługiwać maskami, jakby chodziło o ich własną twarz, a to wymagało specjalnego treningu i dużego wkładu pracy, tak więc wiele czasu poświęciliśmy na oglądanie projekcji teatru japońskiego. Zacząłem zapraszać pojedyncze osoby na próby i wszyscy opuszczali teatr zachwyceni. Jedyne Virgilio powiedział mi coś, czego w stanie euforii, jaką odczuwałem, nie wziąłem do siebie: „Marqués, to, co proponujesz, jest dużo lepsze, niż to, co ja napisałem, intensywniejsze, bardziej prowokujące, gdy na to patrzę, czuję się, jakby mnie ktoś smagał po... plecach. Ale, stary, to nazbyt niesforne i okrutne, ciarki mnie przechodzą, prawie robię

204-

pod siebie...". Faktycznie, atmosfera była już niespokojna, ale ja nie potrafiłem dostrzec sygnałów dochodzących z różnych stron, niejako zapowiadających burzę. Nigdy nie wierzyłem w przepowiadanie pogody, taką już mam naturę. Zawsze daję porwać się pasji, zamykam oczy i zakrywam uszy na wszystko, co nie ma związku z tym, do czego dążę... Ustaliliśmy zatem premierę hawańską na kwiecień, a rozpoczęcie występów we Francji na maj. I tak rozpoczął się ostatni akt historii, która skończy się przedstawieniem odegranym za biurkiem, w scenerii jak najbardziej teatralnej, przez czterech biurokratów... Któregoś dnia otrzymałem telefon z informacją, że jest jakiś problem z podróżą do Paryża. Dotarli do raportu, i mieli go przed oczami, który wspominał, że w czasie mojego ostatniego pobytu w Paryżu wystąpiły problemy natury moralnej, dość poważne, i że wiadome jest, iż zakwaterowałem się w domu Recia, którego postawa wobec słusznej sprawy jest dwuznaczna, a nawet pozostawał on w bliskich kontaktach z pewnymi kręgami francuskich intelektualistów, pseudorewolucjonistów i rewizjonistów... Że spotykał się z Nestorem Almendrosem oraz innymi prezentującymi krytyczne stanowisko w temacie, nawet z wiernym Juliem Cortazarem, i to wtedy zacząłem słyszeć z ich ust rzeczy, o których wcześniej wiedzieli tylko Recio i Ten Drugi... Powiadomili mnie, że ambasada w Paryżu posiada wiedzę o tych wszystkich historiach, w których, jak odkryłem, prawda i kłamstwo przenikały się z wyjątkową zwinnością: wydarzenia odpowiadały prawdzie, a mógł je opowiedzieć tylko Ten Drugi, ponieważ w tym, co mówili, można było wychwycić właściwą dla niego wulgarność, jednak już oceny, jakim mnie poddano, wywoływały śmiech, a tak przynajmniej byłoby, gdyby nie powaga sytuacji. W zasadzie na mój temat mogło zostać powiedziane dosłownie wszystko, zarówno o mnie samym, jak i o mojej sztuce, moralności, postawie,

ideologii, nawet o zapachu mojego oddechu... Ja, mimo to, jeszcze się nie poddawałem. Napisałem do Recia z prośbą, żeby użył kontaktów w Paryżu dla ułatwienia procedury wystawienia zaproszeń, i żeby nakazał nadać je drogą jak najbardziej oficjalną. Premierę hawańską pozostawiłem niezmienną, na kwiecień. Ale wtedy nadszedł mistrzowski cios: w ciągu tygodnia straciłem odtwórców

- 205 -

ról Orestesa, Pedagoga, Klitemnestry Pla, a nawet samej Elektry Garrigó... Myślałem, że to już koniec, ale wciąż nie dawałem za wygraną i rozpocząłem poszukiwania innych aktorów, do dnia, w którym zwołano wszystkich do teatru i ogłoszono, in absentia, iż zostają usunięty z zespołu, za którym to rozwiązaniem opowiedziało się dwudziestu czterech członków, dwóch wstrzymało się od głosu.

Po upływie dwóch miesięcy Ten Drugi opublikował tekst o współczesnym teatrze kubańskim, w którym nie wymienił mojego nazwiska ani moich sztuk, jakbym nigdy nie istniał, a możliwość, żebym kiedykolwiek powrócił z niebytu, nie była brana pod uwagę... Wtedy też pojąłem, że nic się nie da zrobić, że nie pozostaje mi nic innego, jak schować się w muszli, jak ślimak, i takim pozostać na wieki. Pozwoliłem, żeby kurtyna zapadła. Dałem za wygraną i przyjąłem wszelkie kary: najpierw pracę w fabryce, potem w bibliotece, zapomniałem o teatrze i wydawaniu książek, o podróżach i wywiadach, przestałem istnieć. Wcieliłem się w rolę żywego ducha, grającego w masce i w ogóle, tyle czasu to już trwa, sam pan widzi: biała maska to teraz moje prawdziwe oblicze.

- Prawda? - powiedział Marqués i dodał: - Niech pan teraz pójdzie za mną - i Conde ruszył w krok za nim, przeszli przez salon, potem minęli jeden pokój, szli wzdłuż korytarza, aż dotarli do pokoju, z którego dobywał się zapach wilgoci, kurzu i starych papierów.

Dramaturg zapalił światło i policjant ujrzał otaczające ich góry książek, od podłogi po wysoki sufit, niezliczona ilość książek, różniących się od siebie rozmiarem i kolorem: książki.

- Niech pan się dobrze przyjrzy, co pan widzi?

- Książki.

- Tak, książki, ale pan jest pisarzem, widzi więc pan coś więcej: zbliża się pan do wieczności, do tego co niewymazywalne, do cudowności, do czegoś, czemu nic ani nikt nie da rady, nawet zapomnienie. Proszę spojrzeć, tam jest wydanie Raju utraconego, które wyniosłem... Jak pan wie, autorem dzieła jest poeta Milton, a ilustracje są autorstwa Gustava Doré. Teraz zadam panu

- 206 -

pytanie: kto wie, jak nazywał się sąsiad Milтона, ten przebogaty i wszechmocny w swoim czasie człowiek, siejący postrach, który może i oskarżył go kiedyś o coś? Może pan wie? Jasne, że nie: nikt nie wie, ani nikt nie ma prawa wiedzieć, ale wszyscy znają imię poety. A Dante, był gwelfem czy gibelinem? Też pan nie wie, prawda? Ale owszem, wie pan, że napisał Boską Komedię, i że sławą prześcignął wszystkich współczesnych mu polityków. To właśnie nazywa się być niepokonanym... A teraz zdradzę panu, dlaczego go tu przyprowadziłem.

I ruszył w stronę jednej z półek, sięgnął po czerwoną teczkę, sklejona taśmami, które kiedyś były białe, teraz mieniły się brudem.

- Powiem panu o tym, przyjacielu policjancie, bo czuję, że jestem panu coś winien, jak wcześniej przeprosiny za pozwolenie sobie na zbyt wiele... A więc, tutaj znajduje się osiem sztuk teatralnych, napisanych w ciągu tych lat milczenia, a w tej drugiej tezcze, którą tutaj pan widzi, znajduje się trzystustronicowy esej poświęcony przywróceniu do życia greckich mitów w zachodnim teatrze w dwudziestym wieku. Co pan na to?

Conde pokręcił głową.

-I dlaczego pan to tutaj chowa? Dlaczego nie spróbuje pan tego opublikować?

- Z tego samego powodu, o którym panu wcześniej wspomniałem: moja postać musi milczeć do samego końca. Taka rola: aktor zrobił, co miał zrobić, dlatego przez cały ten czas pisałem, ponieważ, jak w przypadku Milтона, kiedyś będzie się pamiętało o pisarzu, nie o żalosnym biurokracie, który skazał go na niebyt. Nie pozwolili mi publikować ani reżyserować, ale nikomu się nie udało zabronić mi pisać ani myśleć. Te dwie teczki tutaj to najśłodsza z zemst, teraz pan rozumie?

- Chyba tak - powiedział Conde i dotknął z czułością wydrukowanych kartek z opowiadaniem, z którym, jak właśnie zdał sobie sprawę, nie wiedział, co uczynić. „Może ta historia została napisana tylko dla trzech czytelników: dla niego samego, Chudego Carlosa i Alberta Marquesa” - pomyślał i poczuł się usatysfakcjonowany. Nie, nawet nie miał potrzeby ujawniać się gdzieś dalej ani nie miał zbyt wysokich wymagań względem literatury: pisać, to jedynie

- 207 -

go interesowało. Marqués miał rację: na tych kartkach znajduje się to, co niepokonane.

- Ja też chciałbym przeprosić, Alberto. Nie raz byłem dla pana zbyt szorstki.

- Ależ, drogi kompanie! Anioł z pana wcielony! Nie ma pan najmniejszego pojęcia, co znaczy być dla mnie szorstkim. Mogę opowiedzieć. .. Ale lepiej nie, zostawmy to.

Conde uśmiechnął się, przypominając sobie erotyczne przygody Marquesa, o których usłyszał w tym domu. „Cóż, czego by nie opowiedzieć, jest pedałem, to akurat jedna z niewielu prawd, ale przynajmniej sympatycznym”.

- Chodźmy, usiądziemy sobie - zaproponował Marqués, po czym wrócili do salonu, gdzie Conde zapalił papierosa.

- Muszę przyznać, że teraz to ja jestem przestraszony i czuję się, jakby ktoś mnie smagał po... plecach - zdradził policjant, siadając na krześle i zajmując miejsce pośród scenografii. - Wszystkie te wyznania potwierdziły tylko coś, co chodzi mi po głowie od jakichś trzech dni: nie powiedział mi pan jednej rzeczy, o której pan wie, i która może pomóc w pełniejszym wyjaśnieniu śmierci Alexisa. Powie mi pan to teraz, czy będę musiał wezwać pana na przesłuchanie?

- A więc myśli pan, że jest coś jeszcze?... Wychodzi z pana prawdziwy pies gończy. Co więcej chce pan usłyszeć? - zapytał Marqués i nie czekając na odpowiedź, podwinął rękaw jak wprawny mag, szykujący się do wykonania czarodziejskiej sztuczki, by sprawić radość Condemu. - Chce pan usłyszeć, co Alexis powiedział Faustinowi, że ten dał się wyprowadzić z równowagi? Właśnie... ależ ja mam długi język. Nie, nie powinienem tego panu wyjawiać, bo kiedy Alexis dokonał odkrycia i powiedział mi o tym, kazał mi przysiąc na Biblię, że cokolwiek by się działo, nikomu tego nie zdradzę. I nikomu nie powiedziałem... To dlatego nie wspomniałem o tym wcześniej, wie pan?

Conde roześmiał się.

- Od kiedy to pan wierzy w wartość świętej przysięgi? Nie piśnie pan słowem, choć wie pan, że zachowanie sekretu może ocalić lub złagodzić karę mordercy?

Marqués przyłożył dłoń do porośniętej rzadkim włosom głowy i uśmiechnął się diabolicznie.

208-

- To prawda, przecież ja nie wierzę w nic, a ten typ to... Niech pan jednak wie, że nic nie wyjawiałem, bo nie wyobrażałem sobie, że ten człowiek był zdolny do czegoś podobnego... No więc Alexis wyznał mi, że wie o nadużyciu, jakie jego ojciec popełnił w 1959 roku,

kiedy sfałszował kilka dokumentów i zdobył parę fałszywych zeznań potwierdzających, że konspirował przeciwko rządowi Batisty... Czyli, krótko mówiąc, Faustino wsiadł na wózek Rewolucji, poprawił sobie przeszłość, co pozwalało widzieć w nim człowieka godnego zaufania, zasługującego na rekompensatę... Wyobraża pan sobie, co by się stało, gdyby to wyszło na jaw? Dobrze pan wie: zabawa skończona.

Conde chciał się zaśmiać, ale nie było mu do śmiechu. „To jakaś inna historia z tym skurczybykiem” - pomyślał.

- Dlatego te dwie monety, forma zapłaty... Jakim sposobem Alexis się o tym dowiedział? Kto mógł mu o tym powiedzieć?

- Maria Antonia...

- A dlaczego to zrobiła?

- Nie wiem, może myślała, że Alexisowi przydałby się jakiś as w rękawie, na wszelki wypadek.

W końcu Conde się uśmiechnął.

- A więc Maria Antonia. Ileż to Maria Antonia wiedziała; a ja myślałem...

- Tak, pan jest myślicielem, przyjacielu policjancie. Ale to dobrze: lepiej być myślicielem niż cynikiem. Dlatego wyznam panu jeszcze coś: wiele z oskarżeń, jakie przeciwko mnie wysunięto, jest prawdziwych. Jestem samowystarczalny, dumny, eksperymentuję i od kiedy skończyłem dwanaście lat i zdałem sobie sprawę, że jestem zakochany w chłopaku mojej siostry, zrozumiałem, że nie mam innego wyjścia, jak dorwać jakiegoś mężczyznę i unurzać się w nim, i od tego czasu to robię. Bo to coś, co jest mi najbliższe, wczoraj, dziś i jutro, jak to się mówi...

Conde nie sądził nigdy, że będzie słuchał podobnych wyznań, a tym bardziej że wydadzą mu się one sympatyczne, a w jego głowie nie pojawią się myśli, żeby wstać i skopać siedzącego przed nim uradowanego ptaszka. Mimo dobrego samopoczucia



przeczuwał też, że nadeszła chwila pożegnania, postanowił zatem powoli zamknąć rozmowę.

- 209 -

- Raport z Paryża napisał Arayân?

- Któż jak nie on? Zawsze był bydlakiem, intrygantem i karierowiczem.

- Co się stało z Reciem?

- Przerażające to wszystko, nieprawdaż? Słyszałem, że źle z nim, jest w bardzo ciężkim stanie. Ponoć zostało mu kilka miesięcy... Biedny stary przyjaciel. Bardzo cierpiał po tym, co mnie spotkało. Może nawet bardziej niż ja sam.

- Dobrze - powiedział Conde, podnosząc się - będę musiał iść. Jeszcze tylko chciałbym zapytać o dwie rzeczy...

- Zawsze to samo: jeszcze tylko.

- Kim jest Ten Drugi?

- Nie domyślił się pan? Ach, czyli nie jest pan aż tak dobrym policjantem. Udzieliłem wszystkich możliwych wskazówek. Proszę się dobrze zastanowić, jeśli chce pan zostać prawdziwym pisarzem i nie mieć kłopotów. A drugie pytanie?

- Podczas pierwszej wizyty u pana, jak poszedłem do toalety, śledził mnie pan?

Marqués przybrał znaną już Condemu pozę zaskoczonego: ułożył usta w kształt litery O i przyłożył prawą dłoń do klatki piersiowej, jakby szykował się do przysięgi.

- Ja? Sądzi pan, że byłbym do tego zdolny?

-Tak.

Wtedy się roześmiał, ale bez czkania.

- No więc, ma pan kudłate myśli...

- Skoro pan tak mówi.

- Pewnie, że mówię... Drogi panie, chcę pana o coś prosić:

niech pan zachowa mój sekret. Polubiłem pana, a gdy kogoś polubię, staję się wylewny. O zawartości tych teczek wiedzą tylko trzy osoby, i pan jest jedną z nich.

- Nie ma obawy. Nie zapytam nawet, kim oprócz Recia jest trzecia osoba... No, a teraz to już muszę iść. Dziękuję za wszystko.

- Kiedy pan mnie odwiedzi ponownie?

- Kiedy napiszę kolejne opowiadanie i zabiją następnego transwestytę. Oddaję książkę Recia, którą mi pan pożyczył, żeby nie pozostawać dłużnym. No, powiedzmy... - powiedział i wyciągnął 210-

rękę w stronę Marquesa, który zrobił to samo ze swoją wysuszoną kończyną. „Gdyby cię chwycił Gruby Contreras” - pomyślał porucznik, po czym ścisnął lekko rękę dramaturga, ale szybko puścił, gdy wydało mu się, że Marqués niebezpiecznie zbliża w jego stronę twarz. „Chce mnie pocałować? Nie, nie, tego to już za wiele” - pomyślał i wyszedł na ulicę, gdzie magentowe słońce żegnało delikatnymi purpurowymi tonami apatyczne i aksamitne niedzielne popołudnie, jeszcze bardziej pedalskie niż Alberto Marqués we własnej osobie. Wchodząc w starą część miasta, Conde przyglądał się pytającym wzrokiem każdej mijanej kobiecie: czy jesteś transwestytą?, i próbował dopatrzeć się u nich jakiegoś śladu zarostu, patrzył na dłonie, kształt piersi i linię pośladków. Dwie nastolatki, śmiało poruszające biodrami, idące pod rękę, wydały mu się podejrzanym, niedalekie od transformizmu, lecz nie zdołał się upewnić w słuszności oskarżenia, gdyż uniemożliwił mu to cień padający na ulicę. Zdał sobie sprawę, że tym, czego chce, to spotkać transwestytę. Po co? Zadał sobie pytanie, nie znajdując odpowiedzi, i pomyślał, zbliżając się do mieszkania Poly, że musi czym prędzej pozbyć się podobnych myśli, jeżeli kiedykolwiek chce jeszcze doświadczyć uniesienia, przyglądając się spacerującej kobiecie, najlepiej

kubańskiej, najlepiej na ulicach Hawany, i jeśli chce rozmarzyć się o jej roztańczonych piersiach i pośladkach nie do okiełznania, o ustach jak na ssaka przystało, o tym, że, kto wie, może są one przeznaczone dla niego.

Poły przywitała go w drzwiach, miała na sobie ledwie zakrywający ciało biały szlafrok, pod którym różowiły się brodawki i, nieco niżej, prześwitywało czarne uczesanie. Nie pozwoliwszy wypowiedzieć mu choćby słowa, padła policjantowi w ramiona i wsunęła w jego usta język wygłodzonej wężycy.

- Boże, istny cud, heteroseksualny policjant - powiedziała po zakończonej penetracji ustnej i gdy zaczęła się oddawać ugniataniu coraz większego obrzęku w spodniach Condego, ten wystosował dumne pytanie:

- Czekałaś na mnie?

- 211 -

- A jak myślisz, stalinowski macho? Co tu przynosisz w kieszeni? - odpowiedziała pytaniem na pytanie i spróbowała zajrzeć w głąb, ale on uniemożliwił jej to.

- Zaczekaj, najpierw chcę cię o coś spytać... Mogę się u ciebie zatrzymać, powiedzmy, że na jakieś trzy dni, i nie wychodzić stąd nawet po to, żeby popatrzeć na słońce?

Ona uśmiechnęła się, pokazując ostre ząbki wróbla.

- Żeby robić co?

- Coś, co nigdy się nie nudzi...

- Myślę, że tak.

- W takim razie rozpakuj torbę z zapasami. Przyniosłem dziesięć jaj, puszkę sardynek, dwie butelki rumu, pięć paczek papierosów, bochenek chleba i opakowanie makaronu. Z pomocą takiego ekwipunku przetrwamy każde oblężenie... Masz kawę? No to pięknie, teraz to już nikt nas nie pokona, jesteśmy niezwyciężeni, jak Milton.

- Jaki Milton?
  - Taki brazylijski grajek... Muszę jeszcze tylko zadzwonić - powiedział, zdejmując koszulę.
- Wykręcił numer bezpośrednio do majora Rangela i nie zdziwiło go, że zastał szefa o tej porze w Centrali.
- Stary, mam ci coś do powiedzenia, przygotuj się - powiedział, roześmiał się i opowiedział mu ostatnią rewelację związaną z zamaskowanym Faustinem Aryanem: - I co ty na to?
  - Naprawdę: ten kraj już całkiem oszalał - głos majora rozbrzmiał niewzruszony, daleki od zdziwienia i zmęczenia: słysząc w nim było pustkę i Conde raz jeszcze utwierdził się w przekonaniu, że głos majora jest odbiciem jego duszy.
  - W nagrodę należy mi się tydzień wolnego, nieprawdaż?
  - Prawdaż, należy ci się. Żebyś tak któregoś dnia postanowił jeszcze zostać dobrym policjantem... A skoro już o tym mowa, Conde, zamierzasz zdradzić mi kiedyś tajemnicę, po kiego diabła zostałeś gliną?
  - Jak się dowiem, na pewno cię powiadomię... Teraz mogę powiedzieć ci jedno, co wiem na pewno: jest pan, panie majorze, najlepszym szefem policji na świecie, co by nie mówili i czego by nie robili.
- 212-
- Dzięki, Mario, to miłe słyszeć takie słowa, choćby niewiele mogły zmienić.
  - Mogą, Stary, dobrze pan o tym wie. Proszę na siebie uważać, widzimy się w poniedziałek - powiedział i odłożył słuchawkę, żeby za chwilę wykręcić do Chudego. Czekał tylko trzy sygnały.
  - Chudy, to ja.
  - Cześć, bestio. Wybierasz się do mnie?
  - Nie, dzisiaj nie dam rady, jutro też nie, pojutrze też... Mam

pod opieką wróbli tyłeczek. Poprosiłem o trzydniowy azyl.

- Ejże, czyżbyś się zakochał w tej wariatce?

- Nie wiem, Chudy. Ale zdrowy rozsądek nie pozwala mi się zakochiwać, tak jest bezpieczniej.

- No to całe szczęście... Ale uważaj na rozsądek poniżej pasa, bo ten jeszcze gotów skłonić cię do zmiany zdania...

- Słuchaj, zanotuj numer telefonu: sześć, jeden, trzy, cztery, pięć, sześć. To dla ciebie i twojej staruszki Josefiny, jakbyście czegoś potrzebowali, ale nikomu innemu nie przekazuj numeru, nawet za ciężarówkę rumu. Fundacji Guggenheima też nie, ani Salingerowi, na wypadek gdyby przyjechał do Hawany się ze mną zobaczyć, rozumiemy się? Aha, jakby szukał mnie Czerwony Candito, podaj mu numer...

- A jak ci śledczy będą rozpytywać?

- Niech spadają na drzewo, Chudy, prostować banany, poszczuj ich psami. Nakręcimy kubańską wersję Ściganego... Ach, wygaduję głupoty, a zapomniałem o najważniejszym: na środę przyszykuj dwie butelki rumu, o pieniądze się nie martw. To prezent na urodziny. Zadzwoń do Andresa i Królika, zobaczmy co się da zorganizować w związku z okazją, dobra?

- Nie ma potrzeby. Wiesz, co staruszka wymyśliła na moje urodziny? Mówi, że przyszykuje argentyńskie osado, z befsztykami, stekami, żeberkami, filetami... Aha, i pamiętaj, że wciąż mi nie przyniosłeś kopii opowiadania.

- W środę masz ją jak w banku... Ej, a co postanowiłeś w sprawie Dulcity?

Conde wiedział, że będzie musiał poczekać na odpowiedź, co też cierpliwie uczynił.

213-

- Nic, Conde, co niby mam, kurwa, postanowić? Jak przyje-

dzie, to przyjedzie, zobaczymy się i tyle, powiem jej: „Takie życie, mała”.

- I to jest właśnie największe kurewstwo, że takie życie. Dobra, pogadamy później. Trzymaj się, bracie - i rozłączył się.

Poly czekała na niego na brzegu łóżka, siedziała, trzymając w każdej ręce szklanekę rumu, i Conde pomyślał, że to niesprawiedliwe czuć się szczęśliwym, gdy Chudy, który nie był już chudy, ofiara geopolitycznej wojny, w której wziął udział jako pospolity żołnierz, nie miał dostępu do niektórych, jakże niezbędnych rozkoszy, i cierpiał na myśl, że jego była dziewczyna zobaczy go w takim stanie, na krawędzi przepaści. Dotknął czule włosów Poly, chwycił szklanekę, w której było więcej rumu, i z nagim torsem wyszedł na niewielki balkon, szukając ukojenia dla gorąca, zarówno tego odczuwanego fizycznie, jak i tego nagromadzonego w głowie, i przyjrzał się dachom domów w Habana Vieja, pogrążonych w zapadającym zmroku, patrzył na nastroszone anteny, widmo ruiny, wyobraził sobie niemożliwe do ogarnięcia historie. Dlaczego, kurwa, wszystko musi takie być? Bo wszystko takie jest, Conde. Można się cofnąć i zapobiec krzywdom, błędom, pomyłkom? Nie można, Conde, choć ty masz jeszcze szansę zostać niepokonanym" - powiedział do siebie, kiedy pośród zmierzchu dostrzegł buńczuczny lot białego gołębia, przybyłego tu teraz jakby ze snu, na przekór zwyczajom dziennego ptaka, ażeby zmierzyć się z gorącym nocą, wzlatującego, uporczywie pionowo, aby po chwili złożyć skrzydła i wykonać niezwykle piruety, jak gdyby właśnie odkrywał przyprawiającą o zawrót głowy pokusę spadania w próżnię, i wtem zniknął za budynkiem, sponiewieranym przez upływ czasu. „To ja jestem tym gołębiem" - uznał i pomyślał, że, jak ptak, nie ma on nic lepszego do roboty: jedynie zebrać się w sobie i wznieść ku niebu, ku nocy.

Mantilla, 1994-1995

Książki Leonarda Padury w Znak

Gorączka w Hawanie

Wichura w Hawanie

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak,

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. Wydanie I, 2010.

Druk: Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN Sp. z o.o

ul. Lelewela 4, Wrocław.